

De. II 4.
TOM CCLXI.

SERYA 9.

ROK 66.

ZESZYT 781.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

STYCZEŃ.

1906.

TOM I. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1906.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. Z ŻYCIA MINISTRA LUBECKIEGO, — przez <i>Stanisława Smolkę</i> . . .	5
2. NAD GŁĘBIAMI, — przez <i>Dr. T. Konczyńskiego</i>	43
3. WPŁYW STREJKÓW NA SOCYALIZM PAŃSTWOWY, — przez <i>J. Kirsztot Prawnickiego</i>	76
4. PATRYOTYZM SŁOWACKIEGO, — przez <i>Juliusza Kleinera</i>	90
5. UNARODOWIENIE TEATRÓW WARSZAWSKICH, — przez <i>Władysława Bogusławskiego</i>	121
6. NIEOBECNI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	141
7. ROZMAITOŚCI (Błędy językowe), — przez <i>Henryka Ułaszyna</i>	151
8. PIŚMIENICTWO:	
ALEKSANDER KRAUSHAR: Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. 1824—1828, — przez <i>A. R.</i>	164
Ks. ARCYBISKUP TEODOROWICZ: Z ostatnich doświadczeń. Uwagi po strejkach, — <i>A. R.</i>	170
J. K. KOCHANOWSKI: Szkice i[drobiazgi historyczne. 1904, — przez <i>A. R.</i>	176
IGNACEGO DANIŁOWICZA, b. profesora w uniwersytetach: wileńskim, charkowskim i kijowskim, „Kodeks Napoleona w porównaniu z prawami polskimi i litewskimi,“ — przez <i>A. R.</i>	181
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Lud wiejski na arenie politycznej. — Próba charakterystyki chwili obecnej. — Artykuł „pana“ Nałkowskiego w „Młodości.“ — Walka bratobójcza.	184
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	197

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 1.

Z przyczyn niezależnych od Redakcyi zeszyt niniejszy zamiast w pierwszych dniach Stycznia został wydany dopłoro na początku Lutego.

Wydawnictwo Biblioteczne Towarzystwa Bibliotekarskiego

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Rok 1906. — Tom I.


WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne Towarzystwa Bibliotekarskiego

ul. Miodowa 10. — 1906

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA


Ogólnego zbioru Tom 261.



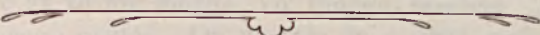
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1906.—Tom I.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1906.

Opis biblioteczny Tom 201

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De. 11.

podwójne nauce, literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Rok 1906—Tom I.

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne Państwowe w Warszawie

Wydawnictwo Biblioteczne Państwowe w Warszawie

Z życia ministra Lubeckiego.

I.

Wigilia Św. Andrzeja.

Dziwny urok poezji osłania u nas wigilią św. Andrzeja; odgaduje się przyszłość; lud wierzy, że tego wieczora rozstrzygają się jej tajemnicze zagadki...

Lubecki nie miał nigdy nic wspólnego z poezją. W jego papierach zachował się, co prawda, bilet przedpłaty na *Poezycie Adama Mickiewicza* z własnoręcznym podpisem 22-letniego poety; w rachunkach zaś z pobytu ministra w Petersburgu z r. 1828 czytamy: „29 lutego J. W. Jelskiemu za dwie książki Mickiewicza przez Xięcia prenumerowane Konrad Wallenrod zapłacono 20 rub. ass.“ Może zatem książę-minister czytał Mickiewicza, choć zaręczyć za to nie można, co innego bowiem „prenumerować“ a co innego czytać. On wogóle do r. 1831 mało czytał, bo nie miał na to czasu; i później, gdy w przymusowym bezrobociu nie brakło czasu do czytania, z początku czytał „książki pięknym stylem pisane, ale więcej dla przepędzenia czasu, jak żeby jaki z tego był użytek.“ Dopiero, gdy mu się sprzykrzyła ta lektura „kazał sobie przynieść dzieło o gospodarstwie,“ i to go — pisze — „tak zainteresowało, że w domu od trzeciej zrana do siódmej wieczór z krzesłami nie wstał...“ Może też książę-minister nie widział tak dalece różnicy między poezją Mickiewicza a tym pięknym „kantem,“ wyrobu jakiegoś poleskiego rymarza, który w r. 1807 śpiewano w Ponoście na jego własnym weselu:

Teraz głośna muzyko ozwij się wesolo,
 Wszak to Xawer z Marysią zaczynają koło,
 Radosne formują skoki;
 Niech im sprzyjają wyroki...
 Tu to wszelka uciecha, tu wszystkie są gody,
 Kędy z kniahynią nową rej wiedzie Pan Młody...

A jednak były przedmioty, które ten zimny, szlakami ścisłej logiki kroczący, umysł wprawiały w nastrój poetycznego istotnie entuzjazmu i nawet ze zwykłej równowagi łatwo mogły wytrącić. Wtedy styl jego listów suchy i bezbarwny, nabiera dziwnego, poetycznego niemal ożywienia, mimo wszelkich niedostatków formy i wadliwej budowy zdania. Widać to mianowicie w listach, pisanych z Akwizgranu, podczas kongresu monarchów r. 1819, gdy przerwa w rokowaniach dyplomatycznych pozwoliła Lubeckiemu wyrwać się na krótką wycieczkę, dla zwiedzenia różnych fabryk belgijskich. Pod urokiem widzianych maszyn i urządzeń fabrycznych, Lubecki wypełnia długie listy istnemi „marzeniami“ na temat stworzenia i rozkwitu krajowego przemysłu. Zdawałoby się, że jedną znał poezję, poezję cyfr, rzecz jasna, cyfr o długich szeregach zer; w niższych cyfrach za wiele było prozy i dla niego. Może to, między innemi, było także przyczyną, że w miarę zajmowania się wysokiemu cyframi, w interesach publicznych, obojętniał coraz bardziej dla toku własnych interesów, powierzając je wyłącznej opiece nieocenionej siostry i teściowej, ruchliwej zawsze i czynnej pani starościny ludzkiej.

Napróżno starała się go z tej obojętności rozbudzić sama starościna, w imię uczuć, które temu uosobieniu prozy zastępowały od młodości wszelką poezję, bo z nich tryskała żywa, szczerą poezją życia: w imię uczuć rodzinnych. Miłość żony i dzieci, serdeczne przywiązanie dwóch ukochanych sióstr: to poezja życia księcia-ministra, niewyczerpane źródło silnych uczuć, jasnych, pogodnych wrażeń; przez długie lata krzepił i odradzał niemi niespożytą energię woli i inteligencji, nie domyślając się nawet istnienia potrzeb, które innym zaspokajał nieznanym mu świat piękna, poezji, sztuki. I tego się niezawodnie sam nie domyślał, ile poezji było w tych uczuciach, w pełnem prostoty a tylu subtelnemi odcieniami nacechowanem przywiązaniu zimnego męża stanu do licznej gromadki dzieci, od dorosłej już księżniczki Augusty do dwuletniego „hajdamaki“ Olesia; do ich młodej w oczach ministra zawsze — w r. 1830 istotnie młodej jeszcze, a przez męża jak dziecko pieszczonej — matki; do oddanej

mu całą duszą starościny, *soeur et maman*; do Józii, drugiej siostry, którą inaczej znowu kochał, jeżeli sobie życzył — ten trzeciżwy człowiek — znaleźć grób przy jej grobie. Gdy ostatni raz — jako minister — przebywał w Petersburgu, od grudnia 1829 do końca kwietnia 1830 r., częste przerwy w zajęciach urzędowych dozwalały mu nieraz rozpisywać się szerzej, niż kiedyindziej; prowadził wówczas mozolne rokowania z rosyjskim ministrem Skarbu i z posłem pruskim. Nigdy nie było mu w listach żony i starszych córek dość szczegółów o figielkach Olesia, o kaszlu Sewerynki, o naukach i haftach Julki, której silne „jak postronki“ nerwy uważa za dziedzictwo po ojcu. Wśród zapasów z Kanrynem — było o co mocować się, o 67 milionów — polski minister Skarbu tem samem piórem, którem do muru przypiera rosyjskiego ministra, spisuje całą litanię szczegółowych pytań o Gucię, Julkę, Józia, Wefcię, Sewerynkę, Olesia; nie zapomina i o najmłodszym, którego nie może jeszcze nazwać, bo nie wie, czy to będzie trzeci syn, czy też piąta córka, ale tem więcej wzdycha do upragnionego powrotu, żeby znaleźć się w domu przed przybyciem nowego gościa. Tem bardziej irytuje go niepotrzebny atak podagry; musi beczymnie w domu siedzieć; w Warszawie mógłby dyktować raporta, leżąc na kanapie, lub przygotowywać materyał do przyszłorocznego budżetu; a wreszcie mógłby sobie na to pozwolić, na co rzadko znalazła się chwilka wolnego czasu, mógłby spokojnie poleżeć na kanapie „z lulką w ustach“, wśród „szumu“ młodziej dziatwy, w towarzystwie Guci i Julci, którym przesyła z Petersburga obfity zapas włóczki o najróżnorodniejszych kolorach... Książę minister zanadto był zajęty, by myśleć o wychowaniu dzieci, by wchodzić w ich duchowe potrzeby; nie miał czasu, bo nie umiał nic robić połowicznie; gdyby się tem zajmował a nie oddawał takich rzeczy razem z interesami majątkowemi, wyłącznemu staraniu siostry, musiałoby go to odciągać od wyłącznego zajęcia sprawami publicznemi. One i tak nieraz ledwie mu dozwalały czterogodzinnym snem pokrzepić siły Ale w tem słońcu domowego szczęścia odradzały się niespożyte siły niestrudzonego ministra. Nie skąpił też on sobie wygrzewania się w złotych promieniach tego słońca, ile razy znalazła się wolna chwila; ilekroć jasny blask jego przysłoniła jaka chmura złowroga, jedyna to była rzecz, co go mogła wytrącić ze zwykłej równowagi umysłu. A nie wiedział jeszcze, gdy w maju 1830 spieszył do domu, że ten nektar życia dopóty był nektarem, póki pił go z ambrozyą niezachwianego powodzenia w życiu publicznem. Ostatnie to zaś już były błyski słoneczne w życiu

księcia-ministra; później „nie było szczęścia w domu, bo go nie było w ojczyźnie.“

W jesieni 1830 r. smutno było na Placu Bankowym, w pałacu ministra Skarbu: żałoba zacieżyła nad domem, szczerą i serdeczną żałobą po marszałkowej Pusłowskiej, tej ukochanej Józi, która umarła w Karlsbadzie z początkiem września. Mimo silnych nerwów ministra, obawiano się o jego zdrowie, gdy z Karlsbadu spadła niespodziewana wiadomość o śmierci „Józi.“ Liczne grono najbliższych osób koiło niezabliźniony jeszcze ból kochającego serca, tym ciosem istotnie zdruzgotanego: ohydwy starsi bracia, ksiązę Onufry i ksiązę Karol, ich synowie dorośli, Ignacy i Włodzimierz — obaj już urzędnicy w ministerjum Skarbu — wreszcie syn „Józi,“ młody Franciszek Pusłowski, szczególnie faworyt obojga księstwa Ksawerych. Starościny tylko nie było do końca października; była na Litwie, by pod pozorem spełniania ostatnich rozporządzeń siostry, czuwać nad biednym szwagrem po powrocie starca do domu. Oczekiwano jej przybycia na imieniny ministra, 3-go grudnia. Listy jej z Litwy, pełne wspomnień o „Józi,“ a zarazem nacechowane jakimś niepokojem, jak gdyby na tem nieszczęściu nie był jeszcze koniec. „Nowy nasz Anioł familijny czuwa nad nami u Boga i uprosi błogosławieństwo Jego dla nas wszystkich...“

Gdy Starościna odpędzała od siebie w Szczuczynie takie niepokojące myśli, pragnąc co rychlej pospieszyć do Warszawy, w pałacu ministerjum Skarbu pasował się już ze śmiercią jej najmłodszy wnuczek, ten, którego ojciec nie umiał jeszcze nazwać przed kilku miesiącami, malutki Jaś. Ksiązę Ksawery, czuły dla wszystkich dzieci ojciec, najwięcej przywiązania zawsze uczuwał dla najmłodszego. Całą noc z 28-go na 29-ty listopada spędził przy konającym dziecku; nazajutrz, zamknąwszy powieki na zboliałych oczętach zgasłej dzieciny, uczuł potrzebę wypoczynku; trzeba było powrócić do życia i do pracy, siły pokrzepić. Położył się zatem o zmroku krótkiego dnia; niebawem go obudzono nielitościwie: „Mości ksiązę! w Warszawie rewolucya! 1).

1) Postępowanie Lubeckiego w pierwszych dniach listopadowego powstania — to niezawodnie jedna z najzawilszych zagadek nowszej naszej historii, zagadka, której rozwiązanie nie może być obojętnem dla sądu o tem wydarzeniu dziejowem; por. Barzykowski: „Historia listopadowego powstania“

W tej samej chwili na innym końcu miasta, kto inny wpatrywał się w stygnące oblicze starego ojca, pragnąc z obunierających rysów wyczytać: wyżyje czy nie wyżyje — Joachim Lelewel. Obu czekały ważne zadania, dziś jeszcze, jutro, pojutrze. Nikt ani się domyślał, ile w losach, w przyszłości Polski miała w tych dniach zaważyć „dobra wola“ i „przytomność umysłu“ Lubeckiego i Lelewela.

Gdy obudzono Lubeckiego, już wrzało na ulicach Warszawy. Który to był moment, która godzina, niepodobna ściśle określić. Zapewne około ósmej. Już odegrał się posępny i nie bezkrwawy dramat w Belwederze, już wojska rosyjskie z koszar, bliskich placu Bankowego, pociągnęły ku rezydencji Wielkiego Księcia, za nimi podążały i niektóre polskie oddziały, w ich liczbie przede wszystkim pułk konnej gwardyi strzelców. O tem wszystkim może nawet i nie wiedział Gustaw Małachowski, który obudził Lubeckiego. Był on członkiem Komisji umorzenia; pospieszał do Banku, z Morozewiczem, drugim kolegą, a słysząc, że minister w głębokim śnie pogrążony, mimo oporu służby dostał się do jego sypialni. Lubecki „z początku nie chciał wierzyć, lecz gdy go Małachowski uroczyście zapewnił, zerwał się, otarł powieki ze snu i łez i rzekł: *Trzeba być na swym miejscu.*“

I, 126. 368, 389. Zawdzięczając uprzejmości wnuka ministra, księcia Władysława Druckiego-Lubeckiego, swobodny w całym tego słowa znaczeniu dostęp do nietkniętych jeszcze dotychczas osobistych papierów ministra, opracowałem ten przedmiot, w znacznej przynajmniej części na podstawie nieznanych materiałów. Obok papierów Lubeckiego danem mi było także korzystać z ważnych materiałów do historii wybuchu listopadowego powstania, znajdujących się w Bibliotece Polskiej w Paryżu (Quai d'Orléans 6), pomiędzy którymi wymieniam zwłaszcza: protokoły posiedzeń Rady administracyjnej, Wydziału wykonawczego i Rządu tymczasowego (wydane wprawdzie jeszcze w r. 1872, choć dotąd niemal zgoła niespożytkowane, a ze względu na właściwość pobieżnych zapisek protokółowych, wymagające niezbędnie krytycznego oparcia się o podstawę rękopiśmienną); dziennik Krysińskiego, generalnego sekretarza Dyktatora; protokoły posiedzeń sejmowych, które wprawdzie zakresem czasu wykraczają po za pierwsze dni powstania, lecz w przemówieniach posłów zawierają liczne reminiscencye i pierwszorzędnej wagi wyjaśnienia, odnoszące się do pierwszych dni grudnia 1830 r. Nadmieniam tu tylko, że praca niniejsza jest częścią większej całości, która wkrótce ukaże się, jako książka osobna, z obfitym aparatem krytycznym i dowodowym.

I Małachowski nie zdawał sobie jasno sprawy, co się właściwie dzieje. „Rewolucya...“ Od miesiąca i więcej wywieszano straszaka rewolucyj. Już na 14-go października zapowiadano powstanie; w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, tak smutnych w domu Lubeckich, żałobnych miesięcy, każdy dzień przynosił posępne wiadomości o ważnych niby odkryciach różnych tajnych policyj, nawzajem sobie w działaniu przeszkadzających; o aresztowaniach między młodzieżą uniwersytecką i w szkole podchorążych. Lubecki gardził zawsze podłymi zausznikami Wielkiego Księcia, którzy w tych „odkryciach“ maczali ręce, przedewszystkiem obłowienie własnej kieszeni mając na celu, i nie wierzył złowrogim wieściom. Ocknąwszy się ze snu twardego, mimo zapewnień „pana Gustawa“, jeszcze im nie dowierzał: może to jakieś awantury uliczne, które lada patrol uśmierzy. Wysyłano na zwiady urzędników, którzy znaleźli się w gmachu ministerjum Skarbu. I z ich opowiadania nie wiele można było się dowiedzieć. Słychać strzały; przed arsenałem, o jakich tysiąc kroków od placu Bankowego, pełno ludu i wojska; podobno u Karmelitów rozbito bramy i uwolniono uwięzionych studentów. Naraz i plac Bankowy zaroił się od wojska: przybył z niem generał Mroziński bronić Banku Polskiego. Wtedy i Lubecki uwierzył, że to chyba coś więcej, niżli prosty rozruch uliczny.

„Wojskowi spieszyli do Belwederu — mówi Barzykowski — cały świat cywilny do pałacu ministra Skarbu, który pomimo woli Lubeckiego stał się nietylko głównym punktem schadzki, ale nawet — może to jak na tę chwilę zawiele powiedziano — główną kwaterą powstania. Nikogo nie było u prezesa Rady Administracyjnej, nikogo u ministra Spraw Wewnętrznych, do którego spokojność kraju należała; przeciwnie, u ministra Skarbu napchano, pełno było. Widziano tam posłów, urzędników, obywateli, nawet generałów, co zdania i rady jego szukali i zasięgali. Przez napływ tylu osób wiedziano już coraz lepiej, co się dzieje w mieście; prócz tego urzędnicy ogólnej służby, Łęski, Wolicki, Thys — ludzie, wszystko Lubeckiemu zawdzięczający i szczerze przywiązani do niego — jako galopeny głównej kwatery, byli wysyłani do miasta dla dowiedzenia się, jaki obrót rzeczy biorą.“

Pomiędzy przybyłymi około jedenastej, zjawił się generał Potocki, „Staś Potocki“, jak go nazywał każdy Warszawiak pomimo siwych oddawna włosów, równie znany jak lubiony w Warszawie. „Staś“ miał podobno najwięcej do powiedzenia. Przybywał wprost od W. Ks. Konstantego, do którego pospieszył na

pierwszą wieść o powstaniu, odwiódłszy po drodze, na placu św. Aleksandra, sześć kompanij karabinierów, 'grenadyerów i strzelców pieszych od połączenia z czerwonymi podchorążymi, sprawcami rewolucyi. Zdał o tem raport Wielkiemu Księciu, zapewnił go o swojej wierności i oddał się na jego rozkazy. Konstanty, wystraszony i ogłuszony, miał w tem spotkaniu z Potockim pierwszą jaśniejszą chwilę od nocnego napadu na Belweder. Może przejdzie jeszcze ta burza i nic złego nie będzie, jeżeli kilka słów jenerała wystarczyło do „opamiętania“ żołnierza; sześć kompanij dało się otoczyć przez kawaleryę i zaprowadzić do Belwederu. Kto wie, czy to chwilowe powodzenie Stasia Potockiego nie wpłynęło na losy listopadowego powstania, więcej niż na to w każdym razie zasługiwało. Była to podobno pierwsza jakaś pozytywna wiadomość, którą Konstanty otrzymał z miasta, pierwsza, jaką w swem oszołomieniu jasno zrozumiał. Odtąd jedno ciągle powtarzał: *Que les Polonais s'arrangent eux-mêmes; je ne m'en mêle pas*. Miał przy sobie kilka tysięcy rosyjskich wojsk, a nie pozwolił się ruszyć ani jednej rocie, mimo próśb i nalegań rosyjskich generałów, ani teraz, gdy jedna szarża kawaleryi mogła powstanie stłumić w samym zawiązku, ani nazajutrz, czy po dwóch lub trzech dniach, kiedy istotnie wystąpienie rosyjskich pułków nie mogłoby się już było obejść bez poważnego starcia. Żle uczynił czy dobrze — jak na Cesarzewicza i wodza polskiej armii — to nie da się zaprzeczyć, że uśmierzenie powstania bez jednego strzału z *rosyjskiej* strony byłoby miało wielką doniosłość polityczną i wartość nieobliczoną. Nic dziwnego zatem, że popularny Staś Potocki wydał mu się człowiekiem opatrnościowym; tak dobrze zaczął, niech tylko dalej robi to samo; kazał mu też czemprędzej spieszyć do miasta i — uśmierzać powstanie.

„Staś,“ stary żołnierz, znał swoje „dzieci,“ przekonał się wreszcie w powrocie z Belwederu, że nie ze wszystkimi pójdzie tak gładko, jak z temi sześcioma kompaniami na placu św. Aleksandra. Na tem samem miejscu spotkał — co prawda — podchorążych, z Wysockim i ze Szleglem na czele. „Ci, poznawszy go, pobiegli ku niemu, prosząc o przyjęcie dowództwa. Gdy ich ofuknął, błagali, zaklinali, do stóp jego się schylając...“ Wszak w marzeniach gorącej młodzieży Staś Potocki albo Chłopicki — jeden z nich miał być wodzem w boju o niepodległość; wierzo no więcej w geniusz wojskowy Chłopickiego; „Staś“ za to, serdeczny, zawsze z sercem na dłoni, bohater z pód Raszyna, Zamościa i Możajska, przyjaciel ks. Józefa, a w młodych latach także

kościuszkowski żołnierz — był oddawna ulubieńcem całej młodzieży w wojsku. On teraz, spotkawszy podchorążych, nie próbował już z nimi szczęścia; jakże odwieść od rewolucyi tych, co wracali z napadu na Belweder. Łajał tylko szalonych młokosów. Zaklinania Szlegla i Wysockiego, do prośb podchorążych dodane, wywoływały tem większy opór i gniew generała; zamilkł nareszcie, jakby ogłuchł, i stał pośród proszących, jak posąg niemy. Podchorążowie, straciwszy wszelką nadzieję, opuścili go bez gróźb, bez złorzeczeń, i dalej idąc w miasto, krzyczeli „do broni!“ ale echa żadnego nie znajdował ten okrzyk.“ Generał mógł w tem czerpać nadzieję, że da się jeszcze zażegnać katastrofę, byleby jąć się dzieła roztropnie... U kogo zaś szukać rady, jak nie na placu Bankowym, u Lubeckiego. Książę minister utwierdził go w zamiarze dalszego spełniania rozpoczętej misyi, „a Potocki, przyrzekłszy uczynić wszystko, co tylko będzie w jego mocy, by uśmierzyć powstanie, pożegnał go i ku arsenałowi pospieszył. Po drodze spotkał kompanię 5-go pułku piechoty liniowej, która od Leszna strzegła przystępu do arsenału. Zaraz więc zbliżył się do żołnierzy i począł ich namawiać, aby opuścili powstanie, nie mające żadnego celu i nie mogące mieć dobrego skutku, wzywał ich do wierności wykonanej przysiędze i wreszcie dał rozkaz Lipowskiemu, dowodzącemu oddziałem, aby z kompanią udał się do Belwederu. Kilku cywilnych, widząc, co się dzieje, pragnęło wstrzymać wahających się już żołnierzy. Pobiegli do Zaliwskiego, stojącego opodal na Tłómackiem, i donieśli mu to, czego naczynymi byli świadkami. „To palcie mu w łeb, jak psu“ zawołał Zaliwski; ci też, przypadłszy do Potockiego, ściągnęli go z konia, odgrażając się i złorzecząc. Otacza pospółstwo siwego, jak gołąb starca, nastaje na niego i ściska. Potocki, dobywszy szpady, chce sobie torować drogę, łamιά mu szpadę, zrzucając z białej głowy kapelusz. Wtem nadechodzi patrol żandarmów. Posypały się do nich strzały z grenadyerskich szeregów i padł Potocki od kuli nie jemu przeznaczonej.“ Po krótkim pasowaniu się ze śmiercią, wyzionął ducha w pobliskim pałacu Zamoyskich. Przytomny do ostatka, żałował, że ginie od polskiej kuli.

Gdyby był został przy Wielkim Księciu; kto wie nawet, gdyby Lubecki nie był go zagrzał, nie dalej jak przed kwadranssem, do niebezpiecznej misyi: nie byłby tak marnie skończył życia, steranego w bojach o cześć i niepodległość narodu. Na placu Bankowym słyhać było tę salwę, od której padł generał, przed chwilą gość Lubeckiego, przezeń jakby na śmierć wysłany

do żołnierzy... Przykro było „gawędzić“ z coraz nowymi gośćmi... W salonach ministeryalnego pałacu stawało się coraz luźniej i gwarniej. Już rozbiegła się publiczność z teatru, gdzie Chłopicki nie pozwolił aresztować obecnych na przedstawieniu rosyjskich oficerów, biorąc ich pod swoją opiekę. Z teatru, z kilku większych wieczorów, gdzie wigilia św. Andrzeja zgromadziła towarzystwo warszawskie, mnóstwo osób spieszyło do salonów ministra Skarbu, tak pustych do niedawna i pępnych z powodu świeżej żałoby. Co raz to świeże przybywały nowiny; każdy niemal gość słyszał przez zamknięte szyby karety: „Polacy! do broni! Moskale naszych w pień wycinają!“ Niektórzy już wiedzieli o towarzyszach losu Stasia Potockiego, jak on zabitych, o sędziwym legioniście, hohaterskim obrońcy Zamościa, o Trębickim i Siemiątkowskim — tych dwóch gwiazdach wojska polskiego, po których zdolności i dzielności ojczyzna miała prawo tyle się jeszcze spodziewać...

Lubeckiemu coraz duszniej było w salonach ministeryum Skarbu. Nie jego to rzecz uśmierzać powstanie; jego rzecz, członka rządu, czekać tylko wezwania na posiedzenie Rady Administracyjnej, której zwołanie należało do prezesa Rady, Walentego Sobolewskiego. A kwadrans mija po kwadransie, stary safandula nie daje znaku życia... Dość już tego: Lubecki kazał zakładać konie.

Zanim konie podano, wpadł nowy gość; miał więcej do powiedzenia, niż wszyscy razem wzięci, więcej nawet od „Stasia.“ Młody, 27-letni podporucznik, Władysław Zamoyski, przybywał, jak Potocki, od Konstantego, ale ważniejsze, bo świeższe przywoził wiadomości o W. Księżu, a po drodze widział się ze swoim wujem, Adamem Czartoryskim, i od niego był do Lubeckiego wysłany.

Zamoyski nie miał służby 29 listopada, nie był zatem w Belwederze podczas napadu. Dowiedział się o nim od rosyjskiego kolegi Bezobrazowa, także adjutanta W. Księcia. Honor wojskowy i obowiązek służby kazały mu pośpieszyć do wodza. W. Książę wysłał go jednak napowrót do miasta po wiadomości. Młody adjutant z trudnością już dotarł do placu Bankowego, gdzie spotkał się z Potockim, przed samą katastrofą nieszczęśliwego „Stasia;“ obecnie, gdy się pojawił u Lubeckiego, już po raz drugi przebył tę niebezpieczną drogę z Belwederu do Banku. Wówczas bowiem, więcej niż przed godziną, Potocki polecił mu być powiedzić Konstantemu: „Niech W. Książę rzuci całą jazdę

w ulice; niech szwadrony kłusem zmiatają, co tylko napotkają, i na wszystkich z kolei punktach się ukazują. Oto, co mu pozostaje do zrobienia; lecz niech nie traci czasu; od trzech godzin powinien był to zrobić.“ Takie były ostatnie niemal słowa Stasia Potockiego. Z niemi pośpieszył Zamoyski do belwederskich alei, gdzie W. Księżę się przechadzał, wylękły, wśród licznych szwadronów rosyjskiej kawaleryi, obok pułku polskich szasserów i paru innych oddziałów polskiego wojska.

„Zsiadłem z konia — opowiada Zamoyski — i powtórzyłem słowa generała Potockiego. W. Księżę z żywością odpowiedział: „Kawaleryi? Nie mam kawaleryi.“ Widząc zaś moje zdziwienie i oczy moje zwrócone ku dywizyi kawaleryi na tym samym punkcie zebranej, dodał: „To są Rosyanie, a żaden Rosyanin, jeżeli dla własnej obrony nie będzie zmuszony, nie da ani jednego strzału, ani szabli nie dobędzie w tej całej sprawie... Zbrodnia jest po waszej stronie; ja do niej nie chcę przykładać ręki. Przyszli mnie zamordować w moim domu; zarabali mojego pierwszego adjutanta; to wojsko mnie zastania od nowego napadu; ale, jeżeli by chcieli nas atakować — ha, to wojsko się cofnie... Żaden Rosyanin nie wmiesza się do tej sprawy: Polacy ją zaczęli; to ich rzecz; niech sobie radzą ze swoimi. Teraz pokaże się, czy zasłużyli na tyle dobrodziejstw.“ W końcu powiedział: „Wreszcie, są tu szassery, weź ich, zaprowadź do Stasia; to Polacy; niech z nimi robi, co mu się spodoba, albo zresztą...“ Urwał, przyzwał generałów Krasińskiego i Kurnatowskiego i rozkazał im udać się do miasta z tym pułkiem.“

Obaj ci generałowie nie dotarli z pułkiem szasserów do Banku; może po drodze doszła ich wiadomość o Stasiu Potockim. Skończyło się na paru dość miękkih szarżach w okolicy Saskiego placu, gdzie pułk pozostał przez resztę nocy.

Zamoyski też pogalopował do miasta, zdaje się, jeszcze przed szasserami. Młody podporucznik, syn prezesa Senatu, bystry, inteligentny, żołnierz dotychczas tylko, ale politycznym sprawom nie obcy, chociażby tylko przez częste przysłuchiwanie się roznowom w salonach rodziców lub wujostwa: Zamoyski rozumiał doskonale, że musi zanieść w tej chwili Czartoryskiemu słowa, które usłyszał z ust samego W. Księcia. Słowa te w każdym razie olbrzymiej doniosłości, bo dawały rękojmię bezczynności Cesarzewicza, a na Polaków zwałały wyłączną odpowiedzialność za dalszy przebieg krytycznego w dziejach Polski momentu, powinny były niezwłocznie dojść do wiadomości tego człowieka, któ-

ry był, obok Aleksandra I, twórcą Królestwa Kongresowego; a ten człowiek był przecież rodzonym wujem podporucznika.

Czartoryski wrócił był właśnie z wieczoru u wojewodziny Potockiej, gdzie go zaskoczyło powstanie. Długo się nie namyślał. Był członkiem Rady Administracyjnej, najwyższej krajowej magistratury, właściwego rządu Królestwa. Od lat czterech szczególnie, od śmierci pierwszego i ostatniego w konstytucyjnym Królestwie namiestnika, który zresztą był nie czem innym, jak namiestnikiem królewskim w Radzie, ona w pełnym swym składzie reprezentowała pod nieobecność króla osobę konstytucyjnego monarchy. Książę Adam od lat dwunastu wprawdzie nie pokazywał się wcale na posiedzeniach Rady; zawsze jednak miał prawo w niej zasiadać, a w takiej chwili miał i prawo i święty obowiązek. Widząc, że Sobolewski nie zwołuje Rady na posiedzenie, pośpieszył w lot do niego, Zamoyskiemu zaś kazał popędzić do Lubeckiego i namówić go do jaknajrychlejszego przybycia, zanim w tem zamieszaniu otrzyma urzędowe wezwanie. Zamoyski przybył na plac Bankowy, gdy Lubecki miał siadać do karety, by właśnie jechać do Walentego Sobolewskiego. Zamoyski siadł obok niego; powóz podążył szybko do pałacu Branickich, do prywatnego mieszkania prezesa Rady. Nie było chwili do stracenia. Zamoyski mówił, że za kwadrans będzie już napewno za późno i żadna siła nie utworzy drogi powozowi ministra na ulicach, przytykających do placu Bankowego. Rozbito już w pobliżu arsenał, lud uzbrojony w broń rozchwytaną przeciągał po ulicach. Osoba ministra Skarbu nie była szczególną rekomendacją dla przeciskającej się wśród tłumów karety; konwój młodego adjutanta Wielkiego księcia nie dodawał jej bezpieczeństwa, jeśliby go poznano w karecie Lubeckiego. Czy próbowano go powstrzymać od niebezpiecznego wyjazdu: żona, starsze córki, bracia, Wolicki, Thys...? Niewiadomo. Powóz zajechał; Zamoyski siadł obok Lubeckiego. Pojechali na Krakowskie Przedmieście, do pałacu Branickich; tam mieszkał Walenty Sobolewski.

Było już dobrze po północy, gdy Lubecki i Czartoryski spotkali się w mieszkaniu prezesa Rady. Wystraszony gospodarz — bliski powinowaty króla Stanisława Augusta — zamiast myśleć o obowiązkach prezesa Rady, kazał był tylko zatarasować bramy pałacu, tak, że Błotnicki, sekretarz Czartoryskiego, musiał przez mur przełazić, żeby wymódl otwarcie bramy. Widząc u siebie Czartoryskiego, a zwłaszcza Lubeckiego, szczęśliwy był Sobolewski, że ma z kim odpowiedzialność podzielić. Nie domyślał się

jednak, ile w losach nieszczęśliwego narodu zaważyć miało to spotkanie dwóch książąt, potomków Ruryka i Gedymina. I oni sami nie mieli o tem wyobrażenia.

II.

W pałacu Branickich.

Lubecki i Czartoryski znali się blisko od lat 18-tu. W Petersburgu bowiem nie spotykali się chyba przed laty 35-u, gdy Lubecki uczył się jeszcze musztry i geometryi w kadeckim korpusie, a starszy o sześć lat książe Adam przyjaźnił się z przyszłym samowładcą wszej Rosyi, ulubionym wnukiem carowej Katarzyny, marząc razem w cesarskich ogrodach o uszczęśliwieniu narodów i odbudowaniu Polski. Poznali się podobno dopiero w r. 1813, gdy pamiętny list Aleksandra, datowany z Lejpun 13 stycznia, podczas pościgu za armią napoleońską, wyprowadził znowu na polityczną widownię Czartoryskiego, w imię dawnych, tylekroć zbladłych, brutalną rzeczywistością zdeptanych, i tylekroć znów jutrzemką nadziei różowiejących młodzieńczych marzeń. Zawiązała się wówczas korespondencya między oboma książętami; Lubecki, zarządzając w Najwyższej Radzie w Warszawie wydziałem spraw wewnętrznych, uciekał się nieraz do pośrednictwa Czartoryskiego, by wykołatać jaką ważną decyzję u Aleksandra w dalekiej głównej kwaterze w Troyes, w Paryżu, lub w końcu na Kongresie wiedeńskim. Gdy Lubecki na dobre znowu osiadł w Warszawie, jako minister Skarbu, Czartoryski uważał już od lat kilku zawód swój za skończony; rzadko nawet w Warszawie się pokazywał. Zamało zatem i zarzadko spotykał się z Lubeckim, żeby się zawiązała prawdziwa przyjaźń; dość jednak było między nimi styczności przez lat 18-cie, żeby się utwierdził stosunek, nie bliski wprawdzie, ale oparty na wzajemnym, szczerym i rzetelnym szacunku. Cenili się nawzajem — rzecz można — wyjątkowo; Czartoryski wierzył niezachwianie w rozum i charakter księcia Ksawerego, Lubecki mu tem samem odpłacał, a nadto liczył się z szeroką skalą bogatych a wszechstronnych doświadczeń księcia Adama.

Ktoby trzymał się ściśle tekstu listów, które mamy przed sobą, mógłby zaprzeczyć powyższemu twierdzeniu, że stosunek obu książąt nie był „przyjaźnią“ we właściwem znaczeniu tego

słowa. „Dajeś mi W. X-ca Mość tyle dowodów swej przyjaźni...“ — „Udaję się do łaskawej przyjaźni J. O. W. X. Mości z prośbą, abym mnie raczył wesprzeć dobrą radą...“ — każdy list kończy się zapewnieniem „przyjaźni,“ istotnie brzmiącej nie jak czezy frazes; świadczy o tem dobór przymiotników: mowa tu raz o „dawnej,“ to znów o „stałej,“ to o „nieodmiennej“ przyjaźni. Mało tylko styczności mieli z sobą. Za to, gdy zaszło coś szczególnie ważnego, umieli zawsze odszukać się wzajemnie, choć w oddaleniu. Wiadomo, jak Czartoryski nie poznawał się długo na Nowosilcowie, „serdecznym przyjacielu“ z czasów petersburskich, którego Lubecki — choć równie skłonny do łagodnego o ludziach sądu, rychlej nierównie przejrzał i ocenił, jak należało. Zapóźno przyznaje mu książę Adam słuszność w liście z Wilna, z pamiętną datą 13-go września 1823 r.: „Naprawdę W. X. Mość objawiłeś wcześniej prorocstwo swoje, aby od jego wykonania odstręczyć. Prorocstwo się ziściło; raport p. Nowosilcowa (o Uniwersytecie wileńskim) uniewinnia niektóre osoby, żadnego *factum* nie dowodzi, ale wszystkie szkoły i cały systemat i sposób uczenia oskarża, jako najniegodziwszy i najniebezpieczniejszy. Tak wogóle z pewnością mi powiadano, lecz nie wiem nic o szczegółach, jakie zawiera i jaki obrót dany oskarżeniom i jak poparte. Niech Xiążę będzie łaskaw da mi wiedzieć, jeśli można, szczegóły o tym raporcie, jakie wrażenie uczynił i co prorockim swoim duchem dalej z tego przewidujesz. Uczynisz mi W. X. Mość wielką przysługę i łaskę, abym mógł obronę przygotować i swoją decyzję wziąć.“ Gdy na Lubeckiego sarkano za ucisk fiskalny, Czartoryski bronił go w rozmowach ze znajomymi przy każdej sposobności, do niego samego jednak nie zawałał się pisać z ostrzeżeniem 10 lipca 1824 r.: „Znam dobrze, mój Xsiążę kochany, że nie wiele dbasz o popularność, kiedy w sercu swoim jesteś przekonany, że wszystko czynisz, co tylko można, dla dobra ojczyzny; lecz nie wiem, czy jesteś i czy możesz być zupełnie uwiadomionym o prawdziwym stanie kraju. W rządzie przyjaciół, pozwól, abym się między najprawdziwszymi policzył. Powodowany przywiązaniem mojem, nie ukryję...“ Cały list wypełniony wyjaśnieniem opłakanego stanu materialnego kraju, wymagającego zdaniem księcia Adama większej łagodności w funkcyjach maszyny fiskalnej; kończy się zaś pięknym prawdziwie a tak serdecznym ustępem: „Niech Bóg W. X. Mość oświeca i wspiera, i dozwoli, aby Jego niezmordowane starania kiedyś szczęściem kraju były uwieńczone. Niech się doczekam momentu, w którymby Polska

cała tak Xięcia poznała, jak ja Go znam, i oddała zupełną sprawiedliwość Jego rzadkiemu poświęceniu i nieskażonej duszy.“

Najciekawszy jednak dokument do poznania stosunku między Lubeckim a Czartoryskim, to list księcia Adama z 23-go sierpnia 1825 (z Puław):

„Z prawdziwą wdzięcznością przyjmuję propozycję W. X. Mości zjechać się z Nim. Będzie to dla mnie chwila nader przyjemna i interesująca. Wiem, że w niej wiele zaczerpnę nauki z uwag W. X. Mości i tyleż pociechy z niez mordowanej jego stałości w dźwiganiu biednego naszego kraju. Ja tu do 10-go przyszłego miesiąca bawić mogę. Wieś mojej siostry starszej, Pilica, będzie może W. X. Mości dogodną; tambym zjechał 10-go września. Jeżeliby Xięciu prędzej wypadło wyjechać, prosiłbym o uwiadomienie, w którym dniu mam się zjawić w Pilicy; ta wieś jest blisko drogi W. X. Mości do Radomia. Nie będę teraz wchodził w żadne dyskusye i odkładam to do szczęśliwego momentu, w którym Kochanego Xięcia uściskam i choć godzin kilka z Nim się nagadam...“

Istotnie, we wrześniu Lubecki wyjechał w Kieleckie, dla obejrzenia tamtejszych zakładów górniczych i przemysłowych; przed 18-ym września był już w Kielcach. Spotkanie obu książąt, umówione na dwa tygodnie naprzód, odbyło się niezawodnie w Pilicy, jakby przypadkiem. Widocznie Lubecki pragnął zobaczyć się z Czartoryskim; do Puław nie było mu znów tak bardzo z drogi; mimo to, proponuje księciu Adamowi na dwa tygodnie naprzód spotkanie, jak gdyby przypadkowe, w drodze, gdzie nie zwracając niczyjej uwagi, w majątku księżnej wirtemberskiej, mogliby odbyć swobodną konferencję. Było to w dwa miesiące po ostatnim pobycie Aleksandra I w Warszawie, w parę miesięcy po słynnym, przez Lubeckiego jedynie kontrasygnowanym t. zw. dodatkowym akcie do Konstytucyi Królestwa, znoszącym jawność sejmowych obrad. Propozycja tej tajnej konferencji, wychodząca od Lubeckiego, i to, że Czartoryski ją przyjmuje, jako rzecz naturalną, jak gdyby Lubecki nie mógł przybyć do Puław bez narażenia sprawy — to dokument niezmiernie charakterystyczny, ze względu na sytuację w ostatnich miesiącach życia cesarza Aleksandra I. Wszakże to było tuż niemal po zamknięciu ostatniego za jego życia sejmku, podczas którego konstytucyjny król polski bez ustanku powtarzał dawne przyrzeczenia w sprawie przyłączenia polskich gubernij do Królestwa. I do stosunku między intelektualnym twórcą konstytucyi z r. 1815 i urzędowym jej „gwałcicielem“ przyczynek bardzo ważny i wiele objaśniający.

Obaj książęta — szczęśliwymi czuli się bez wątpienia, że w tak doniosłej chwili mogą sobie dłoń podać i wspierać się wzajemnie. Lubecki, choć nie było jego zwyczajem poddawać się jakimkolwiek wpływowi, wyjątkowo, w tym zaiste historycznym momencie, musiał uczuć wielką ulgę w sumieniu, że niepokojące pogłoski o spiskach i aresztowaniach sprowadziły od paru dni do Warszawy tak rzadkiego w stolicy gościa, jak książę Adam. Książę minister czuł niezawodnie, że w tych trudnych okolicznościach koledzy w Radzie pójdą ślepo za jego zdaniem, zwłaszcza, jeżeli będzie wiadomem, że cesarzewicz w nic się nie miesza i bierną zupełnie zachowuje postawę. Na to mógł liczyć tem pewniej, im trudniej mu było zawsze przeciągnąć na swoją stronę biernych i apatycznych kolegów, ilekroć jego zdanie było w jawnej sprzeczności z wolą wielkiego księcia, której bezmyślnymi wykonawcami gotowi byli stawać się na wyścigi członkowie Rady administracyjnej Królestwa. Odwykły z dawna od tego, żeby mieć własne zdanie, pozbawieni nagle bussoli, za którą obracali się niewolniczo, pójdą dziś za Lubeckim — tak on mógł i musiał przypuszczać — pod naciskiem jego rozumu, silnej woli, energii; pod wpływem ustalonego oddawna przeświadczenia, że Lubecki z najtrudniejszych okoliczności umie wyjść cało, i jak kot z wysokiego piętra rzucony, zawsze padnie na cztery nogi. Tem większa była jego odpowiedzialność; tem większe uczucie ulgi, że minister-urzędnik — bo to pewna, że Lubecki był raczej urzędnikiem, niż mężem stanu — może podzielić się odpowiedzialnością z dawnym ministrem-dyplomata, co kierował zagraniczną polityką Rosji w owych czasach, gdy on ledwo zrzucił był z siebie mundur rosyjskiego podporucznika, okopcony dymem bojowym pod Marengo i Novi. I jedno jeszcze. Lubecki, urzędnik-obywatel w całym tego słowa znaczeniu, był Polakiem i miał się niezawodnie za dobrego Polaka; dzielić jednak odpowiedzialność w tej ciężkiej nocy z Adamem Czartoryskim — to było niezawodnie nieporównaną ulgą dla polskiego sumienia księcia ministra Skarbu. „Znam, co Ci Polacy winni — pisał do niego jeszcze przed 13 latami — Nie ustawaj Xiąże, byśmy Jego idąc przykładem tyle przykładali się, ile to od nas zależeć będzie.“

Obaj książęta — Lubecki i Czartoryski — przybyli do pałacu Branickich z tą samą myślą, z jednym i tym samym pro-

jektem, który wpłynął decydująco na historię listopadowego powstania. Na jednego i na drugiego w równej zupełnie mierze spada za to odpowiedzialność. Czartoryski mieszkał opodal Sobolewskiego, pierwszy też pieszko do niego przyszedł i nie czekając na Lubeckiego, bezzwłocznie zwierzył mu się z tym doniosłym projektem. Oto Rada administracyjna zapracowała skutecznie na jedno tylko w ciągu piętnastoletniego urzędowania: na powszechną nieufność, mało powiedzieć, na niechęć i pogardę. W oczach całego społeczeństwa, nie warchołów tylko ulicznych, ale najtrzeźwiejszych, najrozumniejszych ludzi, Rada administracyjna Królestwa — to było stado tchórzliwych i bezmyślnych baranów, ślepo spełniających nietylko każdą komendę z Petersburga, ale — co gorsza — każdą zachciankę Konstantego, każdy rozkaz Nowosilcowa. Co się napracował Lubecki, żeby w tej Radzie odwrócić tyle razy złe, płynące z jednego i drugiego, a zwłaszcza z trzeciego źródła — o tem wiedział dokładnie Czartoryski, wiedział może to i owo niejedyn dobrej woli senator albo poseł; nie wiedzieli tylko lub też nie chcieli wiedzieć ci, co dali hasło do rewolucyi. Mniejsza wreszcie o „jednego sprawiedliwego“; w opinii o całości najwyższej magistratury — jeden był sąd, i słuszny najzupełniej, zarówno niepoprawnych warchołów, jak i filarów konstytucyjnego tronu polskiego, o ile w nich nie zgaśło narodowe sumienie. Zasiadali w niej dwaj ludzie niecni, generałowie bez wojskowej zasługi, kreatury wielkiego księcia, orderów łaknący i awansu. Na drugim końcu stał człowiek zacny, dobry Polak, szczerze pragnący dobra kraju, z piękną przeszłością, ale sterany wiekiem i zmiennymi kolejami losu, wygodny, bez żadnej inicjatywy i bez szczypty odwagi; rozbitek na zdruzgotanym burzą statku nieszczęśliwej ojczyzny, zawnąwszy do bezpiecznego portu, lękał się trwożliwie wszystkiego, cohy mogło zagrozić nową burzą i statkowi i sztabowi załogi. Imi, nieźli nawet ludzie, „szambelańskie natury“ temi samemi obawami osłaniali przed swem własnem sumieniem brzydkie serwilizm wobec cesarzewicza i ohydnych kreatur Belwederu. W żadnym z nich nie miał Lubecki sprzymierzeńca, na nikogo nie mógł się spuścić, gdy przyszło wybrać między dobrem kraju a kaprysem wielkiego księcia.

Ta Rada nie zażegna powstania, skoro już raz wybuchło, nie opanuje; *po za nią* zaś, *po za* legalnym, przez króla ustanowionym i mianowanym rządem, utworzyć jakiegokolwiek ciało z pretensją do rządzenia — to byłby jawny bunt, woda na młyn rewolucyi. Jedyne wyjście: wzmocnić zdyskredytowaną

Radę przybraniem kilku poważnych ludzi, z pośród senatorów szczególnie, posiadających powszechne zaufanie. Nie był to krok legalny; w takiej chwili, gdy cesarzewicz od wszystkiego umywał ręce: *aux grands maux grands remèdes...*

Sobolewskiego — i nie dziw — zgroza przejmowała na samą myśl takiego *rewolucyjnego* kroku; wszak mianowanie członków Rady — to, według art. 63 Konstytucyi, jedna z najważniejszych atrybucyj samego Króla. Ale i z tego Sobolewski zdawał sobie najjaśniej sprawę, że Rada, której on przewodniczył, powstania nie uśmierzy; dlatego na wieść o rewolucyi — kazał tylko zatarasować bramę mieszkania... więcej nic. Pod naciskiem argumentów Czartoryskiego, zaczynał już się zwolna oswajać z tym projektem, ale pod jednym tylko i jedynym warunkiem, *conditio sine qua non*, jeżeli za tem będzie — Lubecki...

Zadudniło na Krakowskiem Przedmieściu, zatrzymał się powóz przed pałacem Branickich; wszedł Lubecki z Władysławem Zamoyskim. Wszedł i począł z właściwą sobie siłą argumentacyi wykazywać nieodzowną konieczność wzmocnienia Rady przybranymi członkami, nieposzlakowanymi w czystości uczuć patrio-tycznych, posiadającymi powszechne zaufanie. I tak był przekonany o *wyłącznem*, własnem autorstwie tej brzemiennej w następstwa myśli — że nie zaparł się go po czterech tygodniach, w okolicznościach, w których przyznawać się do niego było niezmiernie niepolitycznie. „Trzeba było zastąpić brak siły materialnej siłą moralną, że zaś członkowie Rady nie wzbudzali u społeczeństwa żadnej ufności, ja zaproponowałem, żeby do jej grona powołać kilka osób, które zażywały powszechnego szacunku...” Oto słowa, których Lubecki nie wahał się wypowiedzieć przed Mikołajem 26-go grudnia 1830 r., czem — niedziw — ściągnął na siebie straszliwe gromy z ust Jowisza z nad Newy. Gdyby rzeczywiście było inaczej — byłyby to z jego strony zupełnie niepotrzebny heroizm: osłaniać sobą nieobecnego i bezpiecznego w Warszawie księcia Adama. Prawość nakazywała jednak nie zaprzeć się przed cesarzem autorstwa niebezpiecznej myśli, i dla tego jej się nie zaparł; to niewątpliwe, w tych okolicznościach klasyczne świadectwo w całym tego słowa znaczeniu, że Lubecki nie tylko zgodził się z propozycją Czartoryskiego, ale sam z tym wnioskiem wystąpił, niezależnie od poprzedniej rozmowy, która przed przyjazdem jego toczyła się u Walentego Sobolewskiego.

Wiedział on już może, że w Czartoryskim znajduje sprzymierzeńca; może po drodze, w karecie, dowiedział się być o tem od Zamoyskiego. Ale to mogło go tylko utwierdzić silniej w je-

go własnej myśli, z którą jeszcze przed przybyciem Zamoyskiego wybierał się do prezesa Rady Administracyjnej. Zrodziła się w nim ta myśl w salonach Ministerstwa Skarbu, wśród rejwachu, pomiędzy rozmową z coraz nowymi gośćmi a raportami „galopenów,” przybywających z miasta z nowymi szczegółami. Kto wie, czy nie zrodziła się pod wpływem pewnej sugestyi; czy z tym pomysłem nie odezwał się pierwszy Gustaw Małachowski, nie spodziewając się nawet, że znajdzie u ministra dla niego grunt tak przyjazny. Lubeckiego bowiem jedno najwięcej interesowało od samego początku; o jedno tylko wypytywał każdego nowego przybysza z miasta i na każde takie pytanie żadnej odpowiedzi nie otrzymywał, bo żadnej odpowiedzi na to — nie było. Pytał, kto jest przywódcą ruchu, kto kieruje tą rewolucją, która nie miała wodza. Nie wierzył temu; w logicznej głowie Litwina nie mogło się pomieścić pojęcie takiego „bezhołwia.” Myślał jeszcze, że wódz gdzieś tak zręcznie ukryty. Ale wszystkie doniesienia zgadzały się: niema wodza, ani żadnego planu działania niema. Wszakże sami podchorążowie, ci, co rewolucję podnieśli, chcieli zmusić biednego „Stasia Potockiego,” by stanął na czele ruchu, na chwilę przed jego zgonem za króla i legalny rzeczy porządek. Nie było zatem wodza. Dziwne. Dziwniejsze, że się dotąd jeszcze nie znalazł, byle kto. Nie generał, to jaki niższy oficer, weźmie władzę leżącą na ulicy. A weźmie ją — to już trudniejsza sprawa będzie z tą rewolucją. Chwili nie było do stracenia. Dopóki nie ma wodza, władzę może wziąć byle kto, nawet i rząd legalny, rząd królewski i w króla imieniu działający — byle osłonięty powagą takich ludzi, jak książę Adam, legalny zresztą choć od dawna nie czynny członek Rady, i paru innych poważnych, wpływowych ludzi, których się przybierze do składu Rady. Nielegalny to środek, ani słowa. Niechaj tylko przezeń wróci legalny porządek, a nielegalność da się usprawiedliwić przed królem Mikołajem. To już *cura posterior*; w tem Lubeckiego głowa.

Tak stało się, że w rządzie królewskim, w obliczu wybuchłej rewolucyi, gładko, bez żadnego protestu, powzięto to pamiętne postanowienie, które było samo przez się krokiem na wskroś rewolucyjnym, przywłaszczającym Radzie królewskie atrybucye, bez innej racyi, jak dla zdobycia sobie powagi u rewolucyjnej ulicy. Nie sprzeciwił się już prezes Rady, nie namiestnik wprawdzie królewski, ale przewodniczący ciała, które „w nieobecności króla zarządza w jego imieniu sprawami publicznymi Królestwa,” a tem samem przedewszystkiem obowiązany stać na straży nieetykalnych atrybucyj Korony; odkąd myśl Czartoryskiego przybrała

postać pozytywnego wniosku ministra skarbu, Sobolewski nic mu nie miał do zarzucenia. Zgodził się nawet szwagier Sobolewskiego, Stanisław Augusta syn, lekliwy minister oświaty i wyznań, Stanisław Grabowski, zawsze skory do sprzeciwiania się Lubeckiemu, ilekroć to mogło podobać się w Belwederze. I generał Kossecki, nie zdobył się na słowo protestu czy wątpliwości, Rautenstraucha nie było. Ich starszy kolega, sędziwy weteran Hauke, minister wojny, padł trupem przed dwoma godzinami; kto wie, czyby on był podzielał to powszechne milczenie. Fredry nie było na nocnem posiedzeniu, równie niebezpiecznem i dla przedmiotu, dla którego je tak nagle zwołano i dla uzbrojonych tłumów ulicznych, u których kurator królewskiego Uniwersytetu nie mógł liczyć na szczególną sympatyę. Mostowskiego zaś, ministra spraw wewnętrznych, niepodobna było nawet zawezwać, „bo mieszkanie jego — świadczy Zamoyski — przytykające do arsenału, było w samym ognisku powstania.“

I o to nie było długiego sporu, kogo przybrać do Rady. Lubecki szybko porozumiał się z Czartoryskim; inni potakiwali. Pięciu postanowiono przybrać: Paca, księcia Michała Radziwiłła, Kochanowskiego, senatorów; starego Nienczewicza, sekretarza Senatu i generała Chłopickiego, bożyszczę armii i goretszej młodzieży, choć od dawna usunął się od służby i ani jednym nie schlebiał, ani drugim; przeciwnie, ofukiwał opryskliwie niespokojne duchy, zarówno między wojskowymi jak cywilnymi.

Jasny, logiczny umysł Lubeckiego rozumiał to doskonale, jak nielegalne było postanowienie, które zapadło na jego wniosek. Jeśli prawda, że tę myśl podsunał mu Małachowski, pewno do niej większej nie przywiązywał wagi, dopóki się nie dowiedział o beczynności cesarzewicza. Bierność Konstantego, jego słowa, wyrzeczone do Zamoyskiego — a z drugiej strony uzasadniona troska, żeby rewolucya przeciw się nie zdobyła na utworzenie rządu rewolucyjnego: oto było — w umyśle Lubeckiego — dwa elementy tego śmiałego i ryzykownego pomysłu, na gruncie którego zeszedł się tak dziwnie z księciem Adamem. Jedno tylko mogło usprawiedliwiać ten krok „rewolucyjny:“ beczynność tego, do kogo należała komenda nad siłą zbrojną. Rządu obowiązkiem było uśmierzyć rewolucyę; w tym krytycznym jednak momencie mściła się na ustanowionym przez Aleksandra porządku rzeczy ta monstrualna istotnie anormalność, że rząd nie miał siły zbrojnej na swe rozkazy, a wódz naczelny, brat panującego monarchy, odmawiał wszelkiego współdziałania i mimo to nikomu nie oddawał komendy: położenie było rzeczywiście zupełnie wy-

jątkowe. „W braku materyjalnej siły — należało ją zastąpić moralną,“ jak Lubecki wkrótce potem powiedział w oczy cesarzowi Mikołajowi. Dla tego też zatrzymał Zamoyskiego i zawezwał go, by do protokołu podyktował słowa cesarzowicza. Adjutant wielkiego księcia uczynił to bez wahania, dodał nawet: „Rada Administracyjna może wysłać deputację do cesarzowicza, dla przekonania się o jego usposobieniu i o jego woli.“

Tymczasem przybyli zawezwani na posiedzenie senatorowie. Zapytani, czy są gotowi „wpływem swym wspierać Radę w trudnym zadaniu, jakie jej przepisują jej obowiązki względem Najjaśniejszego Pana“ — wszyscy oświadczyli, że są gotowi, i usługi swoje ofiarowali. Nie było tylko jednego Chłopickiego; z teatru, gdzie się dowiedział o rewolucyi, nie powrócił do domu, nocował u znajomych i nikt go nie mógł odszukać tej nocy.

Pac, Kochanowski, Radziwiłł i Niemcewicz przyrzekli współdziałać z rządem w interesie króla i tronu; to nie było jeszcze ich wstąpieniem do rządu. Dla czego tak sformułowano zapytanie, wystosowane do czterech senatorów, jakoby cofając się przed śmiałym krokiem, na który była przed chwilą zgoda? Wskutek myśli poruszonej przez Zamoyskiego, Lubecki i Czartoryski postanowili udać się w niebezpieczną drogę do Belwederu. Były wszelkie widoki, że cesarzowicz nietylko powtórzy im to samo, co powiedział był Zamoyskiemu, ale że jeszcze więcej, coś ważniejszego jeszcze przywiozą z Belwederu na dalszy ciąg posiedzenia. Obaj książęta — a obu się zdawało, że znają przecież dobrze cesarzowicza — nie mogli dotąd wyjść z zadziwienia, że ten satrapa w takiej chwili od wszystkiego umywa ręce, mając na swe rozkazy 7,000 doborowego wojska rosyjskiego, oprócz polskich oddziałów, które nie złamały wierności i stały w pogotowiu bojowym opodal belwederskich alei. Lubecki, który tyle z Konstantym miał do czynienia, w rozmaitych okolicznościach, nie widział go naturalnie nigdy w podobnem położeniu, gdzie główną, jedyną niemal sprężyną wszelkich ruchów psychicznych wielkiego księcia — był bezgraniczny strach. Jak zatem długo nie mógł uwierzyć w taką lekkomyślność inicjatorów powstania, iżby rozpoczynali dzieło rewolucyi bez planu i bez przywódcy: tak i w podanych przez Zamoyskiego słowach wielkiego księcia skłonny był podobno czegoś głębszego się dopatrywać, niż instynktowego odruchu tchórzliwej natury. Ludzie z głową i charakterem nieraz błędzą, mierząc drugich własną mniej więcej miarą, nie licząc się dostatecznie z ludzką głupotą i brakiem charakteru. Wiedział Lubecki o niezmordowanej w ostatnich czasach nagonce

szpiegów, o licznych śledztwach, o przepelnieniu więzień aresztowaną młodzieżą. Trudno było uwierzyć, żeby wybuch powstania zaskoczył cesarzowicza nieprzygotowanego zupełnie, bez jakichś jasnych instrukcyj czy chociażby wskazówek z Petersburga, dokąd nieustannie, w ostatnich zwłaszcza czasach, wysyłano sztafety z Belwederu; Lubecki wiedział, że przedwczoraj, w sobotę, przybyła sztafeta od cesarza z ważnymi papierami. I to wiedział dobrze, że w obecnym właśnie momencie polskie powstanie byłoby bez przesady ciosem dla Mikołaja, bo sam prowadził korespondencyę z sekretarzem stanu, Grabowskim, o wojennych planach cesarza, z powodu lipcowej rewolucyi i belgijskiego powstania. Jeśli zatem bezczynność Konstantego była może dziełem petersburskich instrukcyj, kto wie, czy nie da Radzie wyraźnego upoważnienia do wzmocnienia się przybranymi członkami. W każdym razie, rozmowa z cesarzowiczem mogła odsłonić motywy jego niezrozumiałego postępowania i dostarczyć jakiejś dyrektywy dla rządu, w nowym składzie odrodzonego. Jak dotąd, błąkać się trzeba było w gęstym lesie najzawilszych zagadek, bez wiadomości, kto stoi za powstaniem, do czego ono zmierza, czego chce wreszcie ten, który wbrew konstytucyi, wbrew pisanemu prawu, trząsł dotąd Królestwem przez lat piętnaście, a teraz, z założonemi rękami przechadzał się w cieniach nocy po belwederskich alejach.

„Książę Czartoryski i Lubecki — słowa Barzykowskiego — wyznaczeni zostali w deputacyi do wielkiego księcia. Dwie pierwsze to ilustracye, ale i dwie osoby, których Konstanty najwięcej nie cierpiał. Przyjął ich też zimno i źle. Zamiast zacząć od wysłuchania, po co przybywają, on, człowiek namiętny, od wyrzutów rozpoczął. Czartoryskiemu przypomniał Uniwersytet wileński, kuratoryę jego, sąd sejmowy, i dowodził, że rewolucya jest skutkiem zaszczipionego przezeń ducha. Lubeckiemu zaś monopolia, prawa skarbowe wytykał i twierdził, że one to są przyczyną powszechnego nieukontentowania i że tem samym na nich dwóch spada cała wina zerwania się do broni i insurrekcyi.“

Ciekawa anegdota, niezawodnie zupełnie wiarogodna. Lubecki pominął ją naturalnie milczeniem w ustnym raporcie, który o ostatniej swojej wizycie w Belwederze złożył cesarzowi Mikołajowi 14 (26) grudnia 1830 roku. Oto słowa tego raportu:

„Przybywszy do Belwederu, usłyszeliśmy z ust Jego Cesarskiej Wysokości szczegóły zbrodniczego napadu, tak niedawno dokonanego, a zarazem stanowcze postanowienie tego Dostojnego Księcia, żeby nie używać rosyjskiego wojska do uśmierzenia buntu. Z naszej znów strony przedstawiliśmy W. Księciu obraz za-

palnego stanu, w jakim stolica się znajdowała, i niebezpieczeństwa grożące życiu i mieniu obywateli. Na oświadczenie nasze, jaki krok zamierza uczynić Rada (przybranie nowych członków), J. C. W. odpowiedział, że taki krok przekracza atrybucyę Rady, ponieważ pomnożenie jej składu jest zastrzeżone wyłącznie dla Monarchy. Staraliśmy się wyjaśnić, że — co do nas — nie widzimy bezwarunkowo żadnego innego środka, któryby mógł skutecznie posłużyć do podźwignięcia się z anarchii, że jednak mimo to z wszelką gotowością pójdziemy za *radami* J. C. Wysokości, jeżeli tylko raczy wspierać nas swą mądrością (*mais que nous nous empresserions de suivre les conseils de Monseigneur, s'il Lui plaisait de nous aider de sa sagesse*). „Róbcie, co wam nakazuje sumienie — była odpowiedź W. Księcia — ja ani nie aprobuję waszej idei, ani jej też nie ganię“ (*je n'approuve ni ne désapprouve votre idée*). To rzecz Rady, obmyślać stosowne środki dla przywrócenia porządku i spokoju. Usłyszawszy to, prosiłem W. Ks., żeby pozwolił Radzie przenieść się do Belwederu i przy Jego osobie zająć siedzibę, ale ta propozycja nie spotkała się z uznaniem J. C. Wysokości. „Ja nie chcę“ — była objekcja W. Ks. (*objectait Elle*) — „mieszać się do rzeczy, która się mnie nie dotyczy (*qui ne me concerne pas*); to obowiązek Polaków: uśmierzyć ruch, który oni sami wznieśli!“ W ten sposób Rada, sama sobie pozostawiona, po naszym powrocie jeszcze raz odbyła dyskusyę, rozważając kwestyę praktycznej nieodzowności i legalności zamierzonego kroku, a to w obecności generała Rautenstraucha, który na rozkaz J. C. Wysokości wziął udział w naszych naradach. Nie znając jednak żadnego innego środka, któryby rokował tyle widoków powodzenia, a nadewszystko rozumiejąc, że przybierało się nowych członków w imieniu Króla i w interesie królewskiej służby: Rada zamieniła dotychczasowy projekt w stanowczą uchwałę (*ordonnance*); zredegawaliśmy ją w zwykłej, przyjętej formie, a ja ją kontrasygnowałem.“

Oto brzmienie uchwały, podpisanej przez przewodniczącego Rady Administracyjnej, Sobolewskiego, kontrasygnowanej przez Lubeckiego, z datą 30 grudnia 1830 r., ponieważ zapadła ostatecznie o 3-ej po północy:

„Zważywszy nagłość obecnych okoliczności Rada Administracyjna postanowiła wezwać, jako też niniejszem wzywa do zasiadania w swem gronie i wspólnego działania: Księcia Adama Czartoryskiego, Senatora Wojewodę, Księcia Michała Radziwiłła, Senatora Kasztelana, Ludwika hr. Paca, Senatora, J. U. Niemcewicza, sekretarza Senatu i generała Józefa Chłopickiego.“

Pierwszym krokiem Rady, w nowym jej składzie, było wydanie odezwy do narodu.

Jest w niej ubolewanie nad „smutnemi wypadkami wczorajszego wieczora;“ są zaklęcia w imię „drogiej a skołatanej ojczyzny;“ jest wyraz troski o „samo jej istnienie;“ nie brak ustępu o „poszanowaniu praw i konstytucyjnych swobód krajowych“ — brak tylko jakiegokolwiek wzmianki o królu i jego prawach, o monarchszczyźnie, w imieniu którego i ta „wzmocniona“ Rada przecież działała. A jednak — tu cytujemy dalej znowu dosłownie Barzykowskiego — „tak postanowienie co do zmiany składu Rady Administracyjnej, jak i odezwa do narodu, wydane były w imieniu Mikołaja, cesarza rosyjskiego a króla polskiego. Odezwa była podpisana z dawnego składu tylko przez Sobolewskiego i Lubeckiego, oraz przez wszystkich członków nowo powołanych. Niepodpisanie jej przez innych członków Rady nie było skutkiem przypadku, lecz owszem namysłu. Mniemano, że przez opuszczenie tych imion nada się i rządowi i odezwie więcej popularności i stanie się ona gwarancyą, iż w duchu narodowym nowa władza postępować będzie. Chłopicki odezwy nie podpisał, bo mimo najstaranniejszego szukania wynalezionym być nie mógł, dodaniem więc tylko było, iż do składu rządu przybranych został.“

Tak, pierwszym swoim krokiem, nowa Rada wstąpiła na pochyłość, po której miała się staczać coraz bardziej — ku rewolucyi, chociaż ją i jej samo istnienie już nazajutrz nazwano „kontrrewolucyą.“ Czy Lubecki zdawał sobie jasno sprawę z doniosłości swego podpisu, położonego — co prawda — obok podpisu przewodniczącego, z królewskiej nominacyi, ale zresztą tylko w towarzystwie nowych członków, o których król nic nie wiedział, a których przybranie brat króla, bądź co bądź, napiętnował jako krok nielegalny, a z wykluczeniem innych kolegów, ministrów i radców stanu, mianowanych przez króla? . . . Może — o drugiej po północy, po nieprzespanej poprzedniej nocy, po stracie dziecka przed kilku godzinami — i jego żelazne nerwy były wyczerpane . . .

O drugiej bowiem dopiero, po zredagowaniu odezwy, dawni i nowi członkowie Rady opuścili pałac Branickich; na wniosek Lubeckiego naznaczono następne posiedzenie na ósmą rano.

Powracając do domu, rozpamiętując wydarzenia ostatnich godzin, Lubecki — o tem nie wątpić — był kontent z siebie. Ludzie z jego temperamentem nie mogą, wśród gorączkowego działania, oddawać się wątpliwościom, czy się nie mylą, czy dobrze robią; inaczej nicby się im nie udało. Lubeckiemu, z jego

temperamentem i charakterem, dość było tej pewności, że spełni obowiązek, niczem innem się nie kierując, jak rozsądkiem, który go jeszcze nigdy dotąd nie zawiodł, i sumieniem, które mu nie miało do wyrzucenia. Nie przywiózł wprawdzie z Belwederu aprobaty dla przybrania nowych członków do Rady, ale tej jazdy do Belwederu chyba nie żałował. Nie trzeba było na to bystrości Lubeckiego, żeby się przekonać w rozmowie z wielkim księciem, że biedny Konstanty poprostu stracił głowę, że nie działa bynajmniej według jakichś instrukcyj z Petersburga; i to ważne dla zorientowania się w sytuacji.

Z takimi to zapewne myślami wstępował o trzeciej w nocy na schody ministeryalnego pałacu, spiesząc do swej ukochanej Marysi, która przy zwłokach dziecka drżała o życie męża. Uściśkał żonę i starsze córki; nie było czasu rozpowiadać, co przeżył w tych ostatnich godzinach. O ósmej posiedzenie; ledwie cztery godziny snu zostawało, jeśli potrafi zasnąć. Byle zasnąć... Kto wie, co będzie o ósmej rano, w mieście i w Belwederze, co tam powie Warszawa, gdy odczyta odezwę rządu, którą w nocy drukują. A tu trzeba myśleć za wszystkich; i dziś, co Lubecki wymyślił, to się stało; wszyscy tylko potakiwali...

III.

Wzmocniony Rząd.

O ósmej rano, w ostatni dzień listopada 1830 r., jakież był bilans minionej nocy? Rozgrabiono arsenał, uzbrowiły się ładajako uliczne tłumy, kilka magazynów rozbito i poturbowano przechodniów: nieporządki, nie wiele gorsze od tych, na które Warszawa spoglądała przed paru miesiącami, w styczniu czy w lutym 1905 roku. Kilkunastu żołdatów padło pod arsenałem, przypadkiem zginął jeden Francuz generał, ranny był ciężko jeden Niemiec w rosyjskiej służbie; rosyjscy generałowie: Isaakow, Engelmann i pewna liczba oficerów bezpiecznie przebywali w mieście pod strażą; zakłóto — prawda — pułkownika Sassa, „dubeltowego“, jak mówiono szpiega, bo należał do tajnej policji cesarzowicza, a zarazem szpiegował go i posyłał o nim tajne raporty do Petersburga. Zresztą żadnemu żołdatowi włos nie spadł z głowy. Natomiast poległo sześciu polskich generałów; dla każdej armii ciężka stra-

ta, zwłaszcza dla polskiej, w przededniu wojny; w ich liczbie, przestało bić niejedno gorące serce, gorętsze od tych, które los oszczędził pod generalskim mundurem polskiego wojska. Król polski miał wszelki powód żałować wiernych generałów, którzy w młodości tyle zasług sobie zdobyli w bojach o niepodległość, tyle krwi rosyjskiej przelali. Cara — obrażał głównie nocny atak na Belweder, nieudany zamach na brata, którego, jak wiadomo, nie lubił, płacony za to najrzetelniej taką samą monetą.

Lubecki żałował poległych generałów, ale o wojnie ani myślał i łatwiej było mu przeboleć tę stratę, niż gdyby się krew rosyjska polała na ulicach Warszawy; ona wołałaby o pomstę, pomsty domagałby się honor Rosyi i jej samowładnego monarchy, trudniejsze byłoby zatem porozumienie, zawilsza sytuacja.

I tak — dobrze nie było w mieście. „Rada administracyjna — raportował Lubecki cesarzowi — zebrana nazajutrz na posiedzeniu, nie mogła nie uznawać poważnych niebezpieczeństw, które ją otaczały i groziły zupełnym wywrotem dawnego porządku rzeczy. Tłuny pospółstwa, uzbrojone, rozgrzane trunkiem, chciwe łupu, włóczyły się po ulicach. Żołnierze, przez całą noc wystawieni na zimno i na trudy służby pod bronią, byli nieodżywieni, głodni, zniecierpliwieni; lada chwila groziła ruina wszelkiej dyscypliny wojskowej, jeżeli dłużej pozstaną bez wodza...“

Obraz posępny a jednostronny. Co prawda, Lubecki nie mógł go malować szeroko w obliczu niecierpliwego cesarza, chodziło mu zaś o to, żeby kilku słowami jaskrawo zaznaczyć zamęt i brak zupełny wszelkiego bezpieczeństwa i osób i mienia prywatnego, a tem usprawiedliwić dalsze kroki odmłodzonego Rządu. Nie minął się wreszcie z prawdą, nie dopuścił się nawet przesady. Właśnie około ósmej, gdy się Rada zbierała na posiedzenie, na ulicach zawrzało rabunkiem pijanego motłochu. Dziwić się tylko, że nieprzyszło do większych nieporządków, gdy władze bezpieczeństwa ukryły się pod ziemią, wojsko było bez wodza, a szumowiny miejskie wydobyły się na wierzch i zaczynały hulać. Skończyło się na splądrowaniu kilku szynków i sklepów z żywnością i trunkami, odbito i rozgrabiono prowiantową kasę rosyjską. „Szalała — jak mówi Barzykowski — uliczna hatastra, zasilana, na wieść o rozbijaniu szynków i kas, coraz nowym przypływem z nad Wisły, z Solca, przewodzili saperzy, maruderzy, co się odbili od batalionu. Jeden oficer, Piotrowski, bez rozkazu z góry, stanął przeciwko motłochowi. Wprawdzie sam padł ofiarą rozzuchwalonych saperów, lecz za jego przykładem poszli in-

ni oficerowie i bagnetem kazali rozpędzić motłoch, pieniądze odebrać, a winnych saperów aresztować.“

A cóż miasto, mieszczaństwo? Spokojniejsi siedzieli w domu, czekając, co z tego będzie, ruchliwsi wałęsali się po ulicach, czytali odezwę Rządu, ganili, chwalili, rozprawiali. Młodzież nie spała w nocy; coby też to była za młodzież! Krzątali się pomiędzy młodzieżą niektórzy gorętsi profesorowie, przede wszystkim Lach-Szyrma, profesor filozofii. On to, gdy zaświtało, blisko tysiąc młodzieży przyprowadził pod mury arsenału, gdzie było skoncentrowane wojsko, łączące się z powstaniem.

Biedne wojsko, mniejsza o to, że zziębnięte i głodne; co gorsza, nieświadome, czego od niego chcą, co je czeka. Ani żołnierze nie wiedzieli, ani oficerowie, kto powstaniem kieruje, jaki cel jego. Bić się byli gotowi, przelać krew za ojczyznę; z kim się bić i od kogo czekać rozkazu? Wszak wiedzieli, że na „Moskali“ nie trzeba czekać; dość ich było przy Wielkim księciu; a tu żadnej komendy; stój dalej o głódzie i chłódzie pod arsenałem. Radość też wielka zapanowała w szeregach, kiedy profesor Szyrma przyprowadził studentów. Może oni coś wiedzą?

Cięższa była, o wiele cięższa dola „wiernego“ żołnierza. Nawet i najwierniejszy pułk strzelców konnych gwardyi, z tak gorącym uznaniem przyjęty pod Belwederem przez W. k. Konstantego, miał tylko jedną chwilę animuszu, pod wpływem dziękczynnych słów Naczelnego wodza, że „się im oddaje w opiekę, że na ich honorze i wierności polega.“ Osłabł animusz, gdy szasery — wieczorem jeszcze — podążyli do miasta i z pod ewangelickiego kościoła szarżowali na swoich, na tłum, zalegający Królewską, Saski Plac i Wierzbową. Nie było jednak śladu nie-subordynacyi. Nie było go i nazajutrz rano, po nocy przepędzonej pod bronią na Saskim Placu, i na Krakowskim Przedmieściu, gdy ze świtem garstki pospólstwa, młodzieży, niedorostrków raz wraz rozpoczynały harcować ze strzelcami; padały kamienie i pogroźki i wyzywania od „moskiewskich dusz,“ „zdrajców“ i „zapredańców.“ A to był przecież pułk, do którego najdawniejsi, na wszystko niegdyś zdecydowani należeli spiskowcy, towarzysze Łukaszińskiego, Krzyżanowskiego. Nie drgnęli, gdy koło ósmej stanęli oko w oko naprzeciw „swoich:“ naraz od Krakowskiego Przedmieścia nadciągnęli saperzy i jedna kompania pieszych strzelców z dwoma działami Ekielskiego, od Wierzbowej dwie kompanie 8-go pułku liniowego piechoty; jedno i drugie, wojsko, które się już połączyło z powstaniem. Zagrzmiała komenda, zwinęto szwadrony kawaleryi, „wierny“ pułk uczynił odwrót w stronę

Belwederu, ku Placowi św. Aleksandra. Posypały się za nim kartacze, kilku strzelców spadło z koni i zostało na bruku, pułkownik Kurnatowski nie dał nowej komendy, podobno nie był już pewny, czy znajdzie posłuch. I szasery zresztą więcej się domyślali, niż wiedzieli, co znaczy ten „rozruch w mieście.“

Oprócz „wiernych“, jak dotąd, i „insurekcyjnych“ oddziałów były wahające się, niezdecydowane. Ich los chyba najcięższy, rozpaczliwy. Generał Żymirski dowodził na placu Marsowym grenadyerami gwardyi. W szeregach i przed frontem głośno szemrano, oficerowie i żołnierze wyrzucali generałowi, że ich odwraca od sprawy narodowej, domagali się połączenia ze „swoimi.“ Nie wiele brakowało, a siódmy generał polskiej armii byłby padł ofiarą powstania przed pierwszą wymianą strzałów z nieprzyjacielem. Żymirski jednak zachował zimną krew; upewniał niecierpliwych słowem honoru, że nie jest gorszym od nich Polakiem, powtarzał, że nie nadeszła jeszcze chwila działania. Czekał, choć nieustannie odbierał rozkazy cesarzewicza, żeby niezwłocznie uderzył na powstańców i bunt poskromił, skoro ma tyle wojska pod swą komendą. Odpowiadał W. księciu, że nie ręczy za wierność wojska; jeśli, zamiast uderzyć na „insurgentów“, połączy się z powstaniem, może na jego stronę szalę przeważać. Napróżno zagrzewał go do działania generał Rautenstrauch, jak dotąd jeszcze, członek odmłodzonego Rządu. „To obowiązek Rządu — mówił Żymirski — uśmierzyć rozruch; wojsko nie od tego, żeby strzelać do swoich.“ Czekał, wyglądając chwili, rychło go dojdzie komenda skąd inąd, jak z Belwederu.

W tym stanie rzeczy, pierwszym zadaniem Rządu było dać wojsku wodza, wodza za jakąkolwiek cenę, a jeden człowiek, który w całym wojsku mógł znaleźć posłuch, „wpadł, jak kamień w wodę“ — mówił stary Niemcewicz. Chłopickiego w tym celu przecież przybrano do Rady, by popularnością zasłużonego i nieskalanego nazwiska nie tylko osłonił jej reputację, lecz zarazem przemówił do serca, do sumienia i do wyobraźni wszelkich „niespokojnych duchów“, a wojsko za sobą porwał i ślepem zaufaniem do swej osoby zastąpił główną dźwignię rozluźnionej karności, zagubioną w cieniach wczorajszego wieczora, wierność przysiędze.

Trudna rada, daremnie go już szukano 12 godzin, dłużej nie mogło wojsko być bez komendy; dziwno, że do tej chwili lada chłystek nie stanął na czele „insurrekcyjnych“ oddziałów i nie powiódł ich na Belweder. Między przybranymi członkami Rządu byli dwaj dawni wojskowi: Pac i Radziwiłł. Pac uległ nalega-

niom, przyjął tymczasowo komendę. Nie chciał wprawdzie sły-
szec o projekcie Lubeckiego i Czartoryskiego, żeby objął dowódz-
two aż do tej chwili, kiedy je będzie mógł oddać Chłopiczkiemu.
Stary żołnierz nie pojmował takich niejasnych zobowiązań, nieo-
kreślonych. Podjął się obowiązków naczelnego wodza na go-
dzin 24; tymczasem Chłopiczki wyjdzie gdzieś z nory, wyjaśni się,
czy można na niego liczyć. I to już było wiele. Pac wybrał
Wąsowicza na szefa sztabu, Kickiego, Czetwertyńskiego i Szy-
dłowskiego na adjutantów; objeżdżał wszystkie stanowiska, zaję-
te w mieście przez wojsko, przywrócił pewien ład, a przynajmniej
powstrzymał postęp rosnącej z każdą chwilą w wojsku anarchii.
Wszędzie powtarzał zapewnienie, że niebawem dowództwo obej-
mie Chłopiczki.

Nim Pac wyruszył na objazd wojskowych posterunków, Ra-
da postanowiła przenieść swoją siedzibę nie do Belwederu, jak
to w nocy proponowano W. księciu, ale w bezpośrednie sąsiedz-
two mieszkania Lubeckiego, do Banku. Uczyniono to właśnie na
wniosek Lubeckiego, jak on sam cesarzowi tłumaczył, „aby nie-
tylko ubezpieczyć skuteczniej nietykalność Banku, ale zarazem
zapewnić sobie niezbędną szybkość w publikowaniu wszelkich
uchwał i ogłoszeń, co ułatwiała bardzo bliskość bankowej dru-
karni.“ Dla Lubeckiego miałyby to postanowienie nieobliczoną
wartość, dla ojca rodziny niemniej jak i dla męża stanu. Bez-
pieczniej było odtąd na Placu Bankowym, albo, w danym razie,
może i niebezpieczniej, jeżeliby się prąd rewolucyi zwrócił prze-
ciw Rządowi; w każdym razie Lubecki pozbywał się niepokoju:
co się dzieje u niego w domu, gdy w dzień i przez znaczną część
nocy był na posiedzeniach Rady. Zawsze był blisko swoich;
gdyby groziło jakie niebezpieczeństwo, mógł obmyśleć zawczasu
środki ratunku. A oprócz tego, przywykł już oddawna pracować
na Placu Bankowym i do tego również się przyzwyczaił, a to od
bardzo dawna, że w każdym ciele zbiorowym główny, jeśli nie
cały, ciężar pracy spadał na niego. Brak zwyczajnego „sztabu,
który go zawsze otaczał, w biurze czy też w podróży, zwałał-
by na barki ministra taki olbrzymi ciężar pracy, że nawet jego
siły wypowiedziałyby posłuszeństwo. Był jednak miał w każdej
chwili na zawołanie Łęskiego, Thysa, Bouqueta, nie lękał się
żadnego zadania: on myślał i dawał rozporządzenia, oni pisali,
wykonywali. Rząd, przychylając się do wniosku ministra Skar-
bu i przenosząc swoją siedzibę o ścianę od jego gabinetu, nie
zdawał sobie sprawy, jak tem samem wszystko oddaje w niezmor-

dowane ręce Lubeckiego ¹⁾. Co prawda, gdyby był tego świadom, może jeszcze skwapliwiej byłby się przeprowadził na plac Bankowy, taka była gotowość, zarówno u dawnych jak i u nowych członków, iść w chwilach niebezpieczeństwa za jego zdaniem, zawsze jasnym, pewnym, nigdy się nie chwiejącem.

Przenosiny odbyły się uroczyście. Rewolucya — to rewolucya, a do najmniej niebezpiecznych akcesoryów każdej rewolucyi należy niewinny aparat zewnętrznych środków, działających na wyobraźnię ulicy, choćby nawet ze stratą jakiej godziny drogiego czasu. Na wszystko trzeba czas znaleźć, jeżeli to się opłaca. Gdy się w mieście dowiedziano o przenosinach Rządu, mnóstwo ludu gromadziło się na ulicach, pomiędzy Nowym-Światem a Bankiem. Odesłano zatem powozy. Ojcowie narodu szli piechotą wśród tłumów, powoli, żółtym krokiem, choćby tylko dla sędziwego wieku Juliana Ursyna Niemcewicza, w którym lud witał z radością posła Sejmu czteroletniego, towarzysza Kościuszki, kroczącego poważnie wśród grona ludzi w połowie znieprawionych, w połowie samem nazwiskiem i przeszłością uspokajających wszelkie obawy o dalsze kroki Rządu. Pac tylko, jak na wodza przystało, jechał konno, w karnazynowej konfederatce; obok niego Wąsowicz, dziś jego, niegdyś Napoleona adjutant. Za nimi wszyscy pieszo; najpierw rada w całym swym składzie, za nią przybocznicy Paca, potem straż wojskowa, a za strażą „tłoczyły się tłumy ludu, tak liczne, że kiedy czoło orszaku dochodziło do Banku, koniec znajdował się jeszcze pod gmachem Towarzystwa przyjaciół nauk.“ Było to między godziną 10-tą a 11-tą z rana.

Nie dość jednak tej pompy teatralnej. Udały się szczęśliwie *Circenses*, dalej — do wypiekania powszedniego chleba, także zaprawionego smakiem w guście tych mas narodu, co z entuzjazmem witały pochód uroczysty rządu po ulicach Warszawy. Tym chlebem, najpotrzebniejszą narazie strawą dla uspokojenia moralnego głodu stolicy — były środki do utrzymania naruszonego

¹⁾ W papierach Lubeckiego zachowały się najważniejsze akta Rady Administracyjnej z pierwszych dni powstania, bruliony, *pisane ręką Thysa lub Bouqueta z własnoręcznymi poprawkami Lubeckiego*. Rzadko zaś niezawodnie umiał ktoś tak włożyć swoich sekretarzy do oddawania swoich myśli według danych im ustnych dyspozycji, jak to udało się Lubeckiemu w ciągu 10-letniego urzędowania z tymi dwoma urzędnikami, z którymi też nigdy się nie rozstawał.

i ciągle zagrożonego bezpieczeństwa, w podnieconem wczorajsze-
mi wydarzeniami, pozbawionem wszelkiego kierunku a w grun-
cie tak pocziwem, tak łatwem do prowadzenia mieście. Władzy
miejskiej nie było; znienawidzony prezydent Wojda, kreatura
W. księcia, znikł z widowni. Chcieć go w tej chwili utrzymać
na stanowisku: to byłaby jawna i wstrętna prowokacya. Pierw-
szym też krokiem Rządu w jego nowej siedzibie było złożenie
Wojdy z piastowanej przez lat tyle godności. Na jego miejsce
zamianowano prezydentem miasta sędziwego prezydenta z czasów
napoleońskich, którego nie kto inny jak właśnie W. ks. Konstan-
ty zrzucił z urzędu, chcąc mieć na ważnem tem stanowisku po-
wolnego rozkazom swym policyanta. Gubernatorem miasta zo-
stał Sierawski, bohater z pod Raszyna, generał przez Konstantego
szczególnie nielubiony i zawsze prześladowany. W wypadkach
minionej nocy nie brał udziału, bo ją spędził w areszcie, w mie-
szkaniu nieboszczyka Siemiątkowskiego, aresztowany przez star-
szego rangą kolegę, gdy go namawiał do połączenia się z „in-
surrekcyą.“

Nie mamy właściwego protokołu pierwszego posiedzenia
Rady w gmachu bankowym, nie wiemy zatem, jakie stanowisko
zajmował książę-minister wobec tych uchwał. Był to chleb zdro-
wy, jak na tę chwilę, bo miasto uspokoiło się w mgnieniu oka
i powaga Rządu urosła; chleb jednak, bądź co bądź wypieczony
na drożdżach rewolucyjnych. Ani wątpić jednak, że Lubecki nie
oponował, prawdopodobnie nawet uchwały te zapadły na jego
wniosek. Nie zastanawiał się nawet może, czy takie folgowanie
rządowi nie rozbudzi w Warszawie apetytów, których Rząd nie
będzie mógł zaspokoić. Jemu o jedną rzecz chodziło. Tak, jak
rzeczy stały przed paru godzinami, lada śmielszy okrzyk w ro-
dzaju: „Do broni, na Belweder!“ mógł rzucić na brata cesarskie-
go i podniecone a zbrojne tłumy i wojsko, u którego Pac nie
miał tyle powagi, by je powstrzymać od połączenia się z ludem
pod takim hasłem. A wtedy wszystko przepadło. W ciągu dnia
nadeszła wprawdzie wiadomość, że Belweder już pusty, „do wy-
najęcia,“ jak przepowiadały przed paru tygodniami dowcipne
ogłoszenia warszawskich łobuzów. Ale i do Wierzbna, o pół mili
tylko od ówczesnych rogatek, nie było tak daleko, żeby po dro-
dze ostygł zapał podnieconego ludu, jeśliby się tylko znalazł taki
śmiałek, któryby stanął na jego czele. Tam bowiem przeniósł
Konstanty swoją kwaterę — równie bezczynny w dzień, jak
i w ubiegłą noc, równie głuchy na wszelkie zakłęcia generałów,

na prośby Gerstenzweiga, który napróżno prosił o oddanie komendy, ręcąc, za skutek śmiałej szarży na zbuntowane miasto.

„Przez właściwy mu kaprys“ — opowiada Zamoyski — W. księżę nie w domu właściciela (Wierzbna), ale u ogrodnika stanął razem z żoną, księżną Łowicką. Dom ten miał tylko dwie izby. Księżna i W. księżę zajmowali jedną, druga służyła za przedpokój i kuchnię. Kilka osób ze świty W. księcia leżało w niej na podłodze.“ Poza to była. czy też bezradność i prostracya?

Po nominacyi prezydium miasta i gubernatora — Tomasz Łubieński miał jako wiceprezydent pomagać staremu Węgrzeckiemu — przysłała na porządek dzienny sprawa organizacyi gwardyi narodowej. Myśl tę poddał znów Gustaw Małachowski, ten sam, który wczoraj Hiobową wiadomością o wybuchu powstania rozbudził Lubeckiego. Gorący patryota, konspirator z przed lat dziesięciu, członek niegdyś tajnego Towarzystwa patryotycznego, doczekał się nareszcie powstania. Jako poseł i delegowany od Sejmu członek komisyi umorzenia długów krajowych, miał prawo, w takiej chwili poniekąd i obowiązek znajdować się w murach Banku. Korzystał z tego i nie ruszał się z Banku, póki rząd obradował. Wiedział, że on inaczej patrzy na powstanie, niżli członkowie Rady, niż Czartoryski a nawet i Niemcewicz. Uzbrojenie ludności, nie dorywcze, bezładne, jak ubiegłej nocy pod arsenalem, uzbrojenie wolnych obywateli na wzór Paryża i Brukseli, wydało mu się potężną dźwignią rozpoczętego ruchu, rękojmnią niepodległości. Niewiadomo, komu poddał ten projekt, kto z członków Rady podjął go, jako formalny wniosek i przedstawił na posiedzeniu. Lubecki i temu wnioskowi się nie sprzeciwił. Na Starem Mieście żywe były tradycye Kilińskiego; wszakże rok 1794 bliższy był temu pokoleniu, niż nam 1863. Lepiej mieć — rozumował księżę minister — szewców, krawców, rzeźników uzbrojonych, ile się da, porządnie musztrowanych i do pewnej karności włożonych, pod komendą wojskową jakiego rozsądnego człowieka, niżli ten zbrojny tłum, który już rozbijał szynki i kasę prowiantową, chwilowo się uspokoił, ale lada chwila znów zacznie dokazywać. Jednym zamachem zdobyć rządowi wiele popularności w mieście i rozbroić uliczne tłumy, którym w ten tylko sposób rozgrabioną z arsenału broń można było odebrać — niezła myśl. „Proponowana gwardya obywatelska — przemówił na posiedzeniu — może oddać ważne usługi, tak dla utrzymania spokojności w mieście, jak i dla skutecznego poparcia sprawiedliwych żądań; nie dajemy jej tylko nazwiska gwardyi narodowej,

bo to będzie naśladownictwem rewolucyi paryskiej i brukselskiej, a tego nam należy wystrzegać się starannie. Niech się nazywa: Straż bezpieczeństwa.“ Wszyscy uznali trafność propozycyi i uchwalono organizacyę Straży. Były nie tak dawne wspomnienia gwardyi narodowej z napoleońskich czasów, był gotowy naczelnik, organizator Straży, komendant gwardyi narodowej za Księstwa warszawskiego, Piotr Łubieński — jak wszyscy Łubieńscy, jak Tomasz, przed chwilą mianowany wiceprezydentem miasta, jak Henryk, wice-prezes Banku Polskiego — jeden z „ludzi“ księcia ministra Skarbu. Każdy przyklasnął, Piotrowi Łubieńskiemu oddano organizacyę Straży i naczelną komendę.

W ratuszu spisano następujący protokół:

„Działo się w ratuszu głównym miasta stołecznego Warszawy, dnia 30 listopada 1830 r.

„W dniu dzisiejszym Rada administracyjna Królestwa, na posiedzeniu w Banku Polskim odbytem, prezydentem miasta stołecznego Warszawy mianowała Stanisława Węgrzeckiego, dawnego stolicy tej prezydenta. Po ogłoszeniu nominacyi tej, na temże posiedzeniu Rady, nowo-mianowany prezydent przez obywateli z Banku Polskiego do ratusza przy głośnych okrzykach radości zgromadzonego ludu odprowadzony został. Tak samo i jednocześnie odprowadzonym był Piotr hr. Łubieński, na temże posiedzeniu Rady administracyjnej naczelnikiem Straży bezpieczeństwa mianowany. W sali sesyjnej ratusza prezydent zapewnił zgromadzonych, że gotów jest majątek i życie dla dobra obywateli poświęcić. Zachęcił do utrzymania jak największego porządku; wskazał niebezpieczeństwo dla spokojności obywateli z zagęszczającego się pijaństwa wynikające i oświadczył, iż zawsze i dla każdego będzie dostępnym. Poczem naczelnik Straży bezpieczeństwa wystawił zgromadzeniu naglącą potrzebę jak najrychlejszego jej urządzenia, aby niezwłocznie wszelka obawa o spokojność obywateli zniknęła, aby zwykłe, codzienne życia czynności w biegu swoim nie były przerwane, aby handel dłuższej nie doznawał przeszkody i aby stolica pod tarczą własnych swoich mieszkańców, spokojna i swobodna, od wszelkiego targnięcia się całkowicie zabezpieczoną została.

„Zgromadzeni obywatele najżywszą radość na te zapewnienia okazali, na wezwanie prezydenta z sali zgromadzeń członków municypalności ustąpili.“

Dokument — jak na datę 30 listopada 1830 r. — niezmiernie ciekawy. Czytając go, mimo daty na wstępie położonej, prawie oczekuje się końcowego ustępu, stwierdzającego, że nowy

prezydent wzniosł okrzyk: „Niech żyje Najjaśniejszy Pan, Cesarz i Król, Mikołaj! — a zgromadzenie z zapalem go powtórzyło...”

Nareszcie udało się i to, co przez tyle godzin wydawało się kwadraturą koła: odszukano „opatrnościowego człowieka,” generała Józefa Chłopickiego.

Mało było w Polsce ludzi, taką przejętych abominacją do wszelkiej myśli o powstaniu, a przecież na Chłopickiego od dawna były zwrócone oczy wszystkich konspiratorów, on był w opinii wszelkich tajnych związków i rewolucyjnych organizacyj: mężem przyszłości, przysłym wodzem w walce o niepodległość. Był generałem napoleońskim i przez Napoleona cenionym; mimo lat dopiero 58 w r. 1830 — bo młodo bardzo do wojska wstąpił — był kościuszkowskim jeszcze żołnierzem, a w legionach dosłużył się stopnia podpułkownika. Ale kościuszkowskich żołnierzy, legionistów, generałów, okrytych wawrzynami w wojnach napoleońskich, pozabijano w nocy 29 listopada; czy Chłopicki, jako generał, więcej był wart od Haukego — trudno osądzić, bo nie dał tego dowodów; i ten i tamten dowodzili co najwięcej dywizją na placu boju, żaden z nich nie miał na wojnie naczelnego dowództwa. Czy lepszym był od Haukego Polakiem — i na to nikt nie da odpowiedzi. Że mu było daleko do czegokolwiek w rodzaju szowinizmu narodowego — to pewne, i tem się od Haukego nie różnił. A gdyby istniał jaki miernik uczuć patriotycznych, u Chłopickiego stałaby wskazówka bezwarunkowo niżej, niżli u Potockiego, Trębickiego albo Siemiątkowskiego. Nie żeby nie był dobrym Polakiem; to byłby zarzut krzywdzący, niesprawiedliwy. Nie entuzjazm powiódł go jednak do legionów po upadku sprawy narodowej, nie tyle w każdym razie wiara w odzyskanie niepodległości, co namiętność żołnierska, gorące zamiłowanie wojskowego zawodu. Pod rosyjskim czy pod pruskim sztandarem kościuszkowski żołnierz nie byłby służył; do legionów pociągnęła go przede wszystkim wojaczka i sława wodza, dorównywająca sławie Cezara i Aleksandra Wielkiego. Napoleona ubóstwiał, nigdy nie zasepił mu duszy żal do cesarza, że w Tylży, czy też po przekroczeniu Niemna, nie ogłosił niepodległości Polski. Okrył się sławą we Włoszech, w Niemczech, w Hiszpanii, „z ziemi włoskiej do Polski“ wrócił dopiero w r. 1812, przemknął się szybko przez Litwę w pochodzie do Moskwy i z powrotem, a Warszawę ujrzał po tylu latach wojennej tułaczki dopiero po upadku Napoleona, pod komendą W. ks. Konstantego, który go nienawidził. Nie mogło być inaczej. Chłopicki całe życie spędził w trudach bojowych; cesarzewicz nie cierpiał

wojny; i niebezpieczna, i żołnierza „niepotrzebnie“ demoralizuje, odzwyczajają od musztry i parady na placu, od czyszczenia guzików i mundurów, uczy tylko niechlujstwa. Generał wsławiony w napoleońskiej szkole, to była *bête noire* Konstantego, o ile nie umiał ugiąć się przed bratem cesarskim, przybrać fałdów po myśli W. księcia, z tych czy owych pobudek, jak Zajączek, Hauke lub Wincenty Krasieński.

Chłopicki ani nie umiał, ani nie chciał. Godził się jednak z losem, póki mógł; mimo wstępu do jałowych parad na placu Saskim, strzegł się pilnie każdego uchybienia przeciw tancmajstersko-gimnastycznym upodobaniom cesarzewicza, w których zamykała się alfa i omega jego sztuki wojskowej. Żał mu było rozstać się z mundurem, „raz był dzień bardzo gorący; Chłopicki w czasie parady mundur rozpiął.“ Konstanty na to tylko czyhał: połajanie — aresztowanie — prośba o dymisyę. To było nie na rękę W. księciu; chciał upokorzyć generała napoleońskiej armii, nie rad był wystawiać się na wymówki cesarza Aleksandra. Na nic jednak nie zdało się pośrednictwo generała Kuruty, *factotum* Konstantego, na nic wszelkie zabiegi księcia Namiestnika. Chłopicki był nieugięty; napróżno podczas Sejmu sam cesarz starał się po swojemu oczarować go i przejednać; Chłopicki, na balu w oczy powiedział Aleksandrowi, że będzie zawsze na rozkazy monarchy w czasie wojny; teraz pokój. Była to szlachetna duma zasłużonego w ćwierćwiekowych bojach żołnierza; nic więcej i nic innego.

Nie dziw jednak, że taki koniec karyery otoczył Chłopiczkiego aureolą pośród wojska i u mieszkańców Warszawy, którzy ze czcią uchylali głowy przed bohaterem w skromnym cywilnym surducie. Człowiek czysty, jak kryształ, baron napoleoński, który tak ubogim zakończył służbę, jak ją rozpoczynał w szeregach niepodległej Rzeczypospolitej, musiał budzić szacunek powszechny, sympatyę. Mało kto znał go bliżej; Chłopiczki wiele się nie udzielał, na większych zebraniach rzadko bywał, miał swoje kółko, w którym mu dobrze było; lubił ówika i teatr, często go widywano w Rozmaitościach. Żył najbliżej z domami kilku napoleońskich także żołnierzy, nie z wojska Księstwa warszawskiego, które w jego oczach zawsze było czemś pośledniejszym, ale — jak on — *de la Grande Armée*. Najlepiej mu było w dobranem kółku, przy kominku u państwa Wąsowiczów; on — adjutant „Cesarza,“ który z nim spędził w saniach całą drogę od Smorgoń do Warszawy w r. 1812; ona — czarująca niegdyś Aneta Tyszkiewiczówna, rozwiedziona z Aleksandrem Potockim, zawsze,

i w r. 1830 jeszcze, gdy już minęła jej pięćdziesiątka, pełna uroku, ożywienia, humoru, tryskająca dowcipem. Do serdecznych przyjaciół Chłopickiego należeli Łubieńscy, także koledzy, chociaż młodszy: zmarły przed kilku laty (1826 r.) pan Franciszek, kapitan „starej gwardyi,” pan Tomasz, także baron „Cesarstwa,” generał brygady z r. 1813, pan Piotr, oficer w armii Księstwa, komendant gwardyi narodowej.

Ci znali dobrze Chłopickiego. Młodszy oficerowie, którzy go już nie widywali na placu Saskim, rzadko mieli sposobność zbliżyć się do generała. Gdyby Dąbrowski nie był umarł przed kilku laty, gdyby stary Kniaziewicz nie mieszkał za granicą, Chłopicki miałby być niebezpiecznym rywalem w popularności, o którą zresztą zgoła nie dbał, lekceważąc ją raczej. Tak zaś on był jedynym przedstawicielem zaszczytnej, a żadnymi podejrzeniami nieskalanej tradycji; gdyby Haukemu czy Krasińskiemu wydarzyło się było podobne zajście z cesarzewiczem, gdyby — jeszcze raz gdyby — który z nich był taksamo głuchym na pochlebne słowa cesarza Aleksandra: Chłopicki znalazłby łatwo materiały na współzawodnika, lub przynajmniej dzieliłby się z nim może popularnością. Tego monopolu, niepożądanego zupełnie, żaden z dawnych kolegów nie mógł mu odebrać, choć on sam szorstki i popędliwy, podkopywał go nieustannie — a bezskutecznie. Wszelka myśl o powstaniu była w oczach napoleońskiego żołnierza szaleństwem i absurdem. Zrywać się z garstką paradyerów z placu Saskiego na ten kolos, któremu nie dał rady sam „Cesarz“ z całą Europą! Waryaty i półgłówki! Umińskiemu, gdy go w r. 1821 zaklinał na ojczyznę, odparł szorstko, trywialnie: „Moja ojczyzna — namiot, wasza nawet butów mi nie sprawiła.“ Krzyżanowskiemu powiedział: „Dajcie mi sto tysięcy regularnego wojska, a wtedy pogadamy.“ Niebaczne słowa, rzucone dla przecięcia dyskusyi; gorącej młodzieży to wystarczyło: stary żołnierz, nie rzucił się na oślep, czeka stosownej chwili.

Lubecki mało znał się z Chłopickim; nie było między nimi nic wspólnego, coby ich mogło zbliżyć. Było raczej nie jedno, co Chłopickiego odstręczało od księcia-ministra. On wogóle do książąt nie miał sympatyj. W dworku szlacheckim się urodził, krwawym znojem dosłużył się szlif generalskich; później już to szło różnie, ale w legionach, bez żadnego poparcia prócz bojowej zasługi, ciężko było wyrąbać sobie stopień podpułkownika, w tych legionach, przeciwko którym walczył pod Suwarowem, książę Lubecki. Może kiedy spotkali się u Łubieńskich, albo u Wąsowiczów; w każdym razie za rzadko, żeby bliżej się po-

znajomić, bo Lubecki mało miał czasu na życie światowe; gdy się zaś gdzie pokazał, otoczony był chciwymi protekcyi i względów ministra Skarbu.

Znał jednak Lubecki Chłopickiego z opowiadania wspólnych, jednemu i drugiemu bliskich przyjaciół. Pani Wąsowiczowa lubiła księcia-ministra; imponował jej bystrością, trafnością sądu; dawna znajomość, jeszcze z czasów Najwyższej Rady, przed Kongresem wiedeńskim, kiedy zapracowany książe nieraz w letnie wieczory używał w Natolinie krótkiego wypoczynku, krzepiąc się świeżem powietrzem i perlistym szampanem interesującej rozmowy z panią Anetą, wówczas jeszcze Aleksandrową Potocką, ledwie czterdziestki dopiero dosiegającą. Z Łubieńskimi zaś łączyła Lubeckiego — wiadomo — ścisła choć nie dawna zażyłość, od r. 1825, od pamiętnego Sejmu, na którym szczęśliwie doprowadzono pod dach jedno z najnowszych jego dzieł, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Henryk Łubieński, poseł na Sejm w r. 1825, dał się poznać Lubeckiemu jako tęga głowa finansowa, co księciu ministrowi rzadko zdarzało się spotykać między Koroniarzami. Był to prawie najmłodszy z sześciu synów sędziwego Feliksa Łubieńskiego, zasłużonego ministra Księstwa warszawskiego; mimo to największą miał w rodzinie powagę, dzięki właśnie tej głowie finansowej, która tak zainteresowała ministra Skarbu. W ciągu paru lat pan Henryk stanął na czele Banku Polskiego, drugiego, tak wielkiej doniosłości, dzieła księcia-ministra, a tak szczególnie przezeń ukochanego. Zarazem całą rodzinę zbliżył do Lubeckiego, zwłaszcza zaś starszego brata, Tomasza, który zdolnością, wykształceniem i zaletami towarzyskimi podbił sobie szczególnie serce ministra. Powstał niebawem dom bankowy „Łubieński i Jezierski,“ z programem rozległych operacyj finansowych i przemysłowych przedsiębiorstw, gorąco popierany przez Lubeckiego, a oparty jedynie na nieograniczonym niemal kredycie w Banku Polskim; na czele tego domu stał Tomasz Łubieński, obecnie — od południa 30 listopada — nowy wiceprezydent miasta Warszawy.

Od Wąsowiczów zatem i od Łubieńskich Lubecki wiedział jak najlepiej, co generał Chłopicki myśli o rewolucyi. Mąż zafania armii, pośród której ruch powstał i szerzył się coraz bardziej, generał, którego imię było świętością dla najgorętszej młodzieży — Chłopicki wydać się mógł Lubeckiemu istotnie „opatrnościowym człowiekiem,“ jedynym, co uśmierzy powstanie bez krwi rozlewu, powstrzyma je od starcia z cesarzowiczem, przywróci i utwali porządek. Gdy Chłopicki wyszedł z ukrycia —

zapewne na wiadomość o przyjęciu komendy przez Paca — sprowadzono go nareszcie do Banku. Przybył, jako przybrany członek Rady, ale ani mówić sobie nie dawał o przyjęciu komendy. Napróżno wzywał go Czartoryski w imię sprawy narodowej, w imię uczuć Polaka; nadaremnie zaklinał go na wszystkie świętości stary Niemcewicz, ze łzami w oczach. Lubecki milczał; on był przygotowany na opór generała i przygotował zawczasu środki działania. Tomasz Łubieński miał najwięcej wpływu na generała. Przez niego w inną uderzył strunę. Chłopicki rozpoczął był życie i służbę w tych pamiętnych latach, kiedy już powszechnie piętnowano anarchię, jako przyczynę upadku Polski. Patrzył na ostateczny koniec niepodległości, a w obozie, w szkole karności i porządku, spotęgował się jego wstręt do wszystkiego, co anarchią trąciło. „Patrz, co się dzieje; ty jeden możesz tej anarchii łeb urwać, bo ciebie jednego będą słuchać.“ To był argument, który podziałał na Chłopickiego: objął komendę. Ułożono odezwę do wojska; Chłopicki nie chciał pod swem nazwiskiem napisać, jak mu proponowano *Naczelnny Wódz*, podpisał *Generał polski*; tego tytułu nikt nie mógł mu odmówić.

Pod rozkazami Chłopickiego w kilka godzin zapanowała w wojsku przykładna karność. I w mieście było spokojniej, pod kierunkiem ukochanego, starego prezydenta, przy pomocy sprężystej ręki Tomasza Łubieńskiego. Tak minęła pierwsza doba powstania. Jej owoce — przywrócenie spokoju i ostateczny rozdział polskiego garnizonu stolicy. Mniejsza część stała w Wierzbnie, razem z rosyjskimi pułkami, przy Wielkim księciu; wśród reszty, pozostającej w mieście, ustał dotychczasowy rozdział na „wahające się“ i „insurrekcyjne“ oddziały, wszyscy słuchali *polskiego generała*, w którym widziano wodza powstania, chociaż on sam powstanie potępiał najenergiczniej. I jeden był jeszcze owoc, zarówno kłopotliwy dla Rządu, jak i dla Chłopickiego. Namnożyło się *jeńców*, rosyjskich jeńców. Niektórzy rosyjscy generałowie i wielu oficerów nie zdążyło dostać się w nocy 29-go do Belwederu; o ile odrazu nie byli aresztowani, ukrywali się po domach prywatnych. Chłopicki wziął ich wszystkich pod szczególną opiekę; kazał przeprowadzić do zamku i pod straż oddać. To była jedyna rękojmia, że im nic się nie stanie; lud widział w nich rzeczywistych „jeńców“ i zakładników.

Zaświtał drugi dzień rewolucyi, 1 grudnia. Kto poprzedniego wieczora ludził się nadziejami łatwego uspokojenia i rychłego powrotu do normalnych stosunków, z nastaniem dnia coraz bardziej rozstawał się z tą nadzieją. Uspokojenie nie czyniło po-

stepów. Główne ulice pełne były podnieconego ludu; na Krakowskiem Przedmieściu spokojni obywatele wynosili się z mieszkań, szukając schronienia u znajomych w odleglejszych dzielnicach; tu i owdzie powtarzały się wybryki wczorajszego poranka; „Straż bezpieczeństwa“ nie była jeszcze zorganizowana; Chłopicki miał posłuch u żołnierza, znać było jednak, że jego miejsce w bojowym pyle, przed frontem dywizji, nie zaś we wzburzonym mieście, za którego rogatkami stał Wielki książę, cel i przedmiot trzymanej na wodzy zapalczywości ulicznych tłumów.

Niebezpieczeństwo bynajmniej się nie zmniejszało (*le danger était loin de diminuer*),“ jak później cesarzowi raportował Lubecki o sytuacji ku schyłkowi pierwszego i z początkiem drugiego dnia rewolucji. On — w oficjalnym raporcie — wymienia dwa czynniki, które ludność stołeczną wprawiały w podniecenie: „obecność wojsk rosyjskich i nieustające pogłoski, że cały nasz byt polityczny był zagrożony (*la présence des troupes russes, le bruit qu'on ne cessait pas de propager, que notre existence politique était menacée*).“ Było dużo więcej tych czynników rewolucyjnego fermentu, o których minister nie miał powodu mówić Mikołajowi na audyencji 13/26 grudnia, w obecności W. ks. Michała, Dybicza i kilku dygnitarzy, niecierpiących ani Polski, ani Polaków. Sam na sam, we cztery oczy, możeby był coś więcej powiedział.

STANISŁAW SMOLKA.

NAD GŁĘBIAMI.

I.

Dn. 2 sierpnia.

Przepraszam Cię bardzo, za mój ostatni waryacki list, ale prosiłaś mnie najwyraźniej przed wyjazdem, abym pisał wszystko to, co mi nasunie się pod pióro. Ja też korzystam z tego w całej pełni.

Przedewszystkiem wiem, że bawią Cię moje koziołki, a powtóre szczerze Ci powiem, mam nawet pewne zadowolenie, że ktoś czyta moje bazgroty i przeżywa po raz wtóry to, co już należy do przeszłości.

Wprawdzie jesteś moją siostrą, więc stosownie do panujących zwyczajów powinniśmy zaciągnąć między sobą wstydliwą firankę i Ty z tamtej strony a ja z tej powinniśmy robić święte miny, choć nasze myśli i uczynki „wdziewają na się kształt grzechu“ — ale na szczęście żyjąc samopas od dzieciństwa, oboje wyrobiliśmy w sobie ducha rewolucyjnego...

I wiesz co Ci powiem?

Mieć takie porządne siostrzysko, jak Ty, takiego zaufanego spowiednika, który nigdy nie pociągnie za uszy, ale pogłaska, który zamiast załamywać ręce, śmieje się do rozpuku z mojego hottentotyzmu,—to ostatecznie można wytrzymać na świecie wśród tych pobożnych ateuszów, dyplomowanych okpiświatów, rogatych mężatek i mężów, dobrze urodzonych plebejuszów e tutti quanti, którą to mieszaninę spotyka się na każdym kroku.

Jak Cię kocham, kiedy tak patrzę na te odgryzki przyrody, które kręcą się koło mnie w wagonach, na stacyach, w salach

restauracyjnych, muzeach i orfeach, w kościołach, kopalniach i na pokładach marnych parowców, dziwię się, jak może Pan Bóg, we wszelkiej postaci, jaką ma, wytrzymać tak długo i nie wymieść raz tak zwanej ludzkości do pierwszego lepszego morza. Gdybym był Bramą, albo Jehową, albo Mahometem, zesłałbym pewnego wieczoru wśród śpiewu słowików i dyskretnego srebrzenia księżycy dwa legiony stróżów niebieskich z miotłami; ustawiłbym ich po obu stronach Uralu i rzekłbym do nich: „wyczyścicie mi świat na zachód i na wschód z potomków Adama i Ewy — oszczędzajcie z wrodzoną wam delikatnością rodziny psie, kocie, końskie, lisie i wilcze, nie obrażajcie kaczek, gęsi, indyków ani pantarek, ale za to z wrodzoną wam bezwzględnością zmiećcie ludzkie śmiecie do kałuży Bałtyku i Śródziemnego, do morza Karaibskiego i Żółtego, ogółem do każdego zbiornika nieczystej wody.“

Takbym rzekł, gdybym był władcą niebios.

Niestety, muszę poprzestać na układaniu listów do Michasi, która teraz godziną wieczorną, kiedy piszę do niej, siedzi na werandzie białego dworku w podkarpackich stronach i tuli na kolanach główkę złotowłosą Jasia. Pod czerwonym parasolem zachodzącego słońca jedzie na żwawym koniku od łąk kwiecistych i łąków pszenicznych pan o dużym, szumnym wąsie — a Michasia uśmiecha się do swego męża, choć zdaleka widzi tylko jego miniaturę...

Ach, jak ja Ci zazdroszczę, że znalazłaś sobie słodkie lekarstwo na wszystko, jakim jest mąż dla zakochanej żony i że duch szczęścia stanął w bramie Waszego domu! Powtarzaj swojemu Wickowi, że powinien doskonalić się codziennie rano i codziennie wieczór, dopóki nie zamieni się nakoniec w modernistyczną linię dobroci i powabu i nie nagrodzi w ten sposób Twego lukullusowego serca.

Bo czemże byłbym bez Ciebie moja bogińko o różowych policzkach, włosach szarych, jak kora drzewa wiśniowego i liliowych łapiętach? czem?

Poświęcałaś dla mnie figle pensjonarskie i baczyłaś, aby pięcioletni August nie odczuł przedwczesnej straty matki i spędził wesoło dzieciństwo, póki życie nie otworzy mu oczu na przesiąkniętą bajką młodzieńczą i na wystraszone matematyczne zrównanie rzeczywistości.

Tak się stało.

Nie pamiętam twarzy matki, ale pamiętam za to doskonale, jaką twarz powinna mieć każda matka...

Kiedy ryczą bałwany morskie i huragan gwizdże mi nad uchem aryę z „Opętania,“ napisaną przez elfów Atlantyku, napada mię czasem ogromna tęsknota, aby przemieść się na mgnienie oka w wasze strony, popatrzeć przez drzewa sadu, jak w świetle lampy spożywacie wieczerzę, w postaci srebrnej muszki upaść na biały wasz obrus i napić oczy waszem szczęściem, a Tobie Michasiu skrzydełkami alabastrowemi pomuskać ukochane paluszki.

Ach doprawdy, to jedno, że pogoda życia rozpięła swój czarowny namiot nad Waszem guiazdem, godzi mnie z karykaturą życia.

A ja czy nie mógłbym znaleźć na tym świecie choć cienia podobnego szczęścia?

Tandem przypinam do piersi znak średniowiecznego rycerza i ruszam w świat, aby zdobyć serce kochanki. Czy mi to jednak łatwo przyjdzie, wątpię. Średniowieczna kochanka miała tylko jedno purpurowe usta i jedną słodką kibić — ta moja kochanka, której szukam, miewa podwójne usta i podwójną kibić — raz ma postać prozaicznej panny ubranej w suknię paryską, drugi raz ma mgławicowy kształt ducha i wzrok rzucony w bezprzestrzeń...

Czy ja wien, w której imieniu mam walczyć? czy w imieniu tej pięknej, która ma papę i mamę i ciotkę i posag w dodatku — czy w imieniu tej, która nie ma nazwiska ani krewnych, a mieszkaniem jej jest wszechświat, a bogactwem odwieczna tęsknota?

Uważasz Michasiu, jakie zygzaki popełniam? Wytłómacz Ci, skąd to pochodzi.

Oto dziś w południe siedziałem nad brzegiem morza długie godziny i patrzyłem, jak rozplakana fala biła nieustannie o zarzewiały bazalt, osnuwając go białą pianą i dzwoniąc łzami bez końca.

I pomyślałem wtenczas, że są dusze, które tak samo płaczą bez końca i całują zimny bazalt i nigdy nie mogą ukoić swojego pragnienia.

Zato kiedy wracałem, w oknie moich sąsiadów ujrzałem parę błyszczących ocz z pod długich rzęs, purpurowe usta, usłyszałem srebrny śmiech trzpiota-panny — i tak powstał mój symbol podwójnej kochanki.

Mniejsza zresztą, o jaki ideał będę się bił, byłem miał o co się bić i z kim. Czasem napada mię złość straszna na samego siebie, że mi życie schodzi na niczem. Ojciec zdziwaczał jeszcze bardziej, niechętnie opuszcza swój domek w Krakowie. Ty na wsi z mężem i dzieciakiem — ja tu nad morzem, w pogoni za wrażeniami.

Już dwa miesiące tłukę się po Europie, ale szczerze Ci powiem, że mnie to nie bawi. Owszem wiele rzeczy jest pięknych do zakochania, nie powiem jednak, aby to dawało mi rozkosz zupełną.

Zawsze po tych Madonnach, freskach, po cudownie rzeźbionych nagrobkach i wzniosłych nawach pozostaje we mnie uczucie niedopowiedzianego ostatniego słowa.

Czasem nuda wypędza mnie z najczarowniejszych kątów i gna mię kilkadziesiąt mil na północ lub południe — czasem wracam tam, gdzie zdawało mi się, iż cudowny spokój był przy mnie przez chwilę, lecz wracam, niestety, napróżno.

Ogółem, moja kochana, przekonuję się, że nie jestem wcale tak kulturalnym człowiekiem, za jakiego mnie macie. Kiedy chodziłem po białym dachu katedry medyolańskiej w słoneczne popołudnie, dziwiłem się, co tym kamiennym tafłom mają do powiedzenia przyjezdni, którzy mierzą codziennie swoje wrażenia na kilometry...

Zdziwaczałem, jak możesz wnosić z mojego listu. Ile razy opuszczam Was i próbuję zaczerpnąć świeżego powietrza daleko za granicami kraju, tyle razy efekt końcowy jest kapitalnie nikły. Innemi słowy, zaczerpięcie powietrza jest dla mnie rzeczą zbytęteczną. Może wpływa to dobrze na nerwy wyniszczone ciągłą walką, ale z czem ja walczę? z wiatrakami?

Daruj mi, kochana, te moje mizerne wywody, na usprawiedliwienie jednak powiem, że przy rzecznej kąpieli napiłem się morskiej wody, bo fala dość duża szła, a mnie zachciało się z nią walczyć — stąd gorzkość i słoność mojego listu.

Poprawię się w następnym. Zobaczysz, że zrobię coś takiego, co będzie godnie odpowiadało mojemu narwaństwu.

Kończę list, bo idę pod okno mojej sąsiadki, korzystając z tego, że jej papa i mama oddają się lekturze w ogrodzie przy świetle lampy a ich latorośl młoda liczy modremi oczami kwiatki na grządkach i ząbki sztachet.

Może tam znajdę wyjaśnienie mojej hypokondryi.

Dn. 6 sierpnia.

Piszę na kartce pocztowej, bo nie mam czasu. Prawdopodobnie zakocham się po uszy — tym razem naprawdę. Nie wspominaj mi moich poprzednich ideałów, bo wiesz sama najlepiej,

jakie to były przelotne miłości. Moje bóstwo w niczem nie jest podobne do swoich poprzedniczek—całkiem nawet nie jest w Twoim guście, bo najpiękniejsze jest wtenczas, kiedy się śmieje. Ale również wtenczas, kiedy milczy, jest porywająco śliczne. Jeżeli nie wierzysz mi, gotówem rzucić się w wodospad Niagary.

Pomyśl sobie, że dziś rano ruszyłem na... zbieranie kwiatów polnych i położyłem je na okienku, do którego trzpiot-panna przybiegła w szlafroczku i zobaczywszy je — ucałowała... a ja trząsałem się ze strachu za parkanem, bojąc się że mnie rodzice zobaczą...

Nadmorska idylla! ach wreszcie!

Dn. 11 sierpnia.

Otrzeźwiałem. Jutro wracam do kraju. Ostatecznie wszystko ma swoje granice. Przypuśćmy nawet, że stanę na ślubnym kobiercu z panną Gumą lub Delta, jaki pożytek będzie z tego? Żaden. Wiesz dobrze, że głowa moja przedstawia jeden chaos złych i szlachetnych porywów — że właściwie jestem niczem, kochanem przez Was, że wyrosłem w atmosferze, która pasowała mi na bohatera... przyszłości — a ja dotychczas nie wiem jeszcze, na czem ta bohaterskość ma polegać.

Po co więc mam unieszczęśliwiać swoją osobą istotę, która w zachwycie zarzuci mi alabastrowe ręce koło opalonej szyi i będzie śniła bajkę o królewiczu? A jeżeli odkocham się po ślubie? jeżeli zapalę się do małżeństwa tak, jak zapalam się do zbierania japońszczyzny, historycznych cacek i renesansowych miniatur? Od moich zbiorów mogę uciec na koniec świata, kiedy mi się sprzykrzą, takż od moich przyjaciół, jeśli mi nazbyt połaskotają duszę — ale od biednej żony?

Powiesz, że chwytam ryby przed niewodem i że od poznania do ślubu droga daleka. Ale moja dobra Michasiu, taki już chód mojej myśli, że chwytam ostateczności każdej rzeczy i kojarzy początek z końcem. Gdybym wiedział, że w sercu mam choć słaby cień Twojej stałości, rzuciłbym się na złamanie karku w tę podwzrotnikową wyprawę — wśród upałów sercowych...

Ale tak boje się — boje się — wolę uciec...

Z Wiednia poproszę Was o konie na dworzec.

Dn. 12 sierpnia.

Rzecz naturalna, że pozostaję. Nie umiem Ci opisać, co się ze mną stało. Chodzę po wybrzeżu morskiem i nucę arye, jak tenor — zaprzyjaźniam się z gadatliwą gawiedzią gwiazd, które plotą mi o cudach i tajemnicach kochania swoim srebrzystem migotaniem. Zdarza się, że rano wstając, podskakuję do góry jak wówczas, kiedy nosiłem krótkie spodeńki — jednym słowem po charakterze zachowania się poznasz, że kocham się bez pamięci i ze wzajemnością.

Cudowna dziewczyna! Miałem uciekać, dziś wstydzę się nawet do tego przyznać. Jej papa pracuje w palestrze warszawskiej. Moja Kama jest najmłodsza z trzech siostr, które powychodziły już za mąż. Brat jej grzebie naftę na Kaukazie. Kama ma białego, ślicznego pinczerka. Szelna zazdrosny o swoją panią, jak stary mąż.

Raz — „zbrodnia to była niesłychana“ — chciałem w ogrodzie, w altanie dotknąć się ślicznej łapki mojej Kamy, ale bestya pinczerka ugryzł mnie do krwi w palec.

Odtąd jesteśmy w zgodzie z białym pieskiem, ale w duszy przysiągłem sobie strzelić mu w łeb po ślubie przy pierwszej lepszej sposobności.

Oboje szalejemy za sobą. Kama ma wicher w uczuciach i błyskawice intuicji w duszy — ja płonę przy niej jak zorza polarna. Co za szczęśliwe godziny przeżywamy obecnie! nie mam słów na powtórzenie.

Wy oboje najlepiej to zrozumiecie. Tak niedawno jeszcze przeżywaliście całą poezję wstępnych złudzeń, uniesień, Kolumbowych odkryć, zawodów i zatargów.

Nie śmiejcie się zatem z biednego Gustka.

Dopóki Michasia podsuwała mi konfitury i lekturę poważną na podwieczorek, miałem oczy zamknięte na piękno kobiece. Któż prócz Michasi mógł mieć prawo, abym spojrział w jego stronę?

Ale dziś? Sam siedzę już od lat czterech w cichym domostwie ojca. Spotykam się z moim rodzicem rzadko we dnie — częściej wieczorami, ale i wtenczas nie wiele mamy sobie do powiedzenia. On zapatrzony w przeszłość i zakochany w pamiętkach ostatniej narodowej tragedji, niechętnie mówi o teraźniejszości — ja niechętnie zwracam się myślą ku przeszłości, która patrzy na mnie przez oczy ojca... wstrząsającymi błyskami.

Ach te nasze wspólne wieczerze — te cztery nakrycia z rozkazu ojca stale ustawiane — Twoje Michasiu, ojca, moje i nieboszczki matki. Pomyśl, czy można przestać cierpieć, kiedy się widzi, jak łzy kapią z pod powiek ojca, ilekroć razy spojrzy na nieme, niezajęte miejsca. Pomyśl, co się ze mną dzieje wtenczas, kiedy napadnie mnie tęsknota za Tobą i halucynacye przeszłości rozpalają mi wyobraźnię...

Tu, nad morzem, zapominam o tem, lecz często wyrzucam sobie, że jestem podłym. Na co to moje osobiste szczęście, kiedy moi najbliżsi tak bardzo cierpieli? — na co ten taniec na grobach, na łzach, na cierniach w szalonej bezpamięci o tem, co było i o tem, co będzie? na co ta cała tragikomedia ludzkiego szczęścia, które jest tylko fantazmatem chwili...

Gorzko mi — o jak mi gorzko.

Zacząłem ten list w porywie romantycznym a kończę go elegią.

Co mam poczuć? Powinienbym przy ojcu być i z nim pełnić służbę czatów, zali nie przychodzą duchy płaczące do wiązanki cierni, które wiszą pod portretem matki. Wstążka, która je wiąże — w krwi była maczana...

Powinienbym.

Moja dobra — nie potępiaj mnie za to, jeśli tak nie uczynię. Gdybyś wiedziała, jak teraz moje serce płacze...

Dn. 15 sierpnia.

Jakie Wy macie dobre serce dla wartogłowa takiego, jak ja! Ucieszyłem się z Waszego listu, jak małe dziecko cieszy się z nowej zabawki.

Macie słuszność. „Można bawić się w konika polnego, dopóki to nie dzieje się z czyją krzywdą. Tam zaś, gdzie krzywda się poczyna, trzeba przemienić się w dobrego ducha.“

Tem jednym zdaniem rozciąłś Michasiu wszelkie moje wahania. Odtąd stanę się poważnym, jak Anglik w swoje Sundays, i będę łapał się za uszy, jeśli mi jakie głupstwo skoczy do głowy. Jaka szkoda, że mojej dobrej Michasi, niema tu przy mnie. Wszystko wzięłoby zaraz inny obrót.

Lecz co do jednej rzeczy nie ludź się kochana ani na chwilę. Moja miłość jest całkiem poważna. Kto raz chce zacząć

prować porządne życie, musi pntrzeć na miłość zupełnie inme-
ni oczyma, jak ja patrzyłem dotychczas.

A może już czas największy zacząć porządnie żyć. Gdybym
był biednym chłopakiem, byłbym już dziś albo lekarzem, prakty-
kującym gdzieś w zapadłej prowincyi i niósłbym światło zdrowia
do dymnych chat wiejskich, albo darłbym koty z prokuratorem
w obronie mizeraka, który skradł dwie poduszki, bo uważał to
za najtańszy sposób zarobkowania, albo pracowałbym w jakiej
bibliotece, dumając nad foliarami zapisanemi krwią, łzami, lub
łajdactwem. Czasem tęskno mi za tem mrówczem życiem, za tym
potem codziennych trosk, za tem udręczeniem, które nie zostawia
chwili wolnej na lenistwo, ani na rozmyślanie.

Tak jak obecnie, jestem jedną nicością.

Nie osładzajcie mi tego autooskarżenia przypomnieniem, że
i tacy ludzie, jak ja, są potrzebni. Moje zbiory japońszczyzny
nie uszczęśliwią nikogo. Choćbym ich miał sto razy więcej i sto
razy staranniej dobranych, nikomu tem łez nie otrę. Moje kolek-
cye miniatur są fantazyą bogatego człowieka, który niema na co
wydawać pieniędzy, więc wydaje grosz zamiast na kochanki na
cudowne cacka. Prawda, że czasem kocham się w moich maho-
niowych gablotkach, w których kryją się skarby egzotyczne —
ale to kochanie nie przeniknęło mnie całego — nie wstaję z niem
rano, ani nie kładę się wieczorem na spoczynek.

Dajcie mi je, dajcie mi je tylko — niech ono będzie szaleń-
stwem, niech będzie bojem, męką nieustanną, nawoływaniem pu-
stelnika — ale niech przyjdzie do mnie i weźmie mnie w posiada-
nie całego od pierwszej do ostatniej cząstki, niech się zapalę,
jako pochodnia i gorzę, gorzę, bez pamięci — to mnie ocali.

I tak rok po roku upływa. Czasem błysk gorącej myśli
zrywa mnie na równe nogi. Czasem zaczynam coś robić, co mi
zdaje się być czemś lepszem niż maniactwo zbieracza... ale to
trwa tak krótko.

Patrzę na świat tępemi oczyma. Wiem to dobrze, bo jestem
dostatecznie wrażliwy i zdaję sobie sprawę z różnicy pojęć, ja-
kiemby mogło być moje życie, a jakim niestety nie jest.

Oto Twój wpływ zbawienny Michasiu, że nie utonąłem w sa-
molubstwie. Dzięki Tobie, choć nie jestem porządnym człowie-
kiem, jestem przynajmniej człowiekiem, który wie, że żyje niepo-
rządnie. Jest to samokrytyka, a ta zapobiega skryształizowaniu
się mojej psyche w jej obecnym podłym stanie.

Łudzę się czasem, że wejdę na właściwą drogę — przypad-
kiem. Ale napróżno czekam i tak czekać mogę bez końca. Dzie-

dziczność, czy okoliczność, czy kultura zabiły we mnie dar własnej inicjatywy. Jestem jak korek, który trzyma się na powierzchni fal i nie tonie, lecz dlatego tylko nie tonie, że jest gatunkowo lekki... ale owa droga, jaką przebywa? — jego losy? — to tajemnica morza, burz i wybrzeży.

Ile takich biednych, gatunkowo lekkich korków ginie bezpowrotnie!

Dn. 19 sierpnia.

Musisz znać Kameę. Mówi mi ona, że jej najstarsza siostra chodziła z Tobą na pensję w Krakowie. Mieszkała wtenczas u swojej ciotki. Kama często wpadała z Warszawy do naszego grodu, aby odwiedzić siostrę i tam miała Cię widywać. Pyta się przezemnie czy pamiętasz jej siostrę Rełę Kolecką o wielkim czarnym warkoczu i modrych oczach? Była zapaloną amatorką teatru.

Moja Kama oswoiła się już zupełnie. To ptak drapieżny. Nigdy niepodobna przewidzieć, kiedy skoczy do oczu, nasroży pióra, albo kiedy jest ucywilizowaną. Ja już przystosowałem się do jej temperamentu... Kiedy skacze mi do oczu i trzepocze skrzydłami, topię w jej źrenicach melancholijne błyskawice i proszę o względy — a kiedy ptak udobrucha się, opowiadam mu tysiączne waryacje na temat sercowy i śmiejemy się wtenczas, jak dwoje waryatów.

Dziwna dziewczyna. Nosi na palcu obrączkę z czarnego drutu i długo za żadne skarby świata nie chciała mi się przyznać, co ma oznaczać ta pamiątka.

Ale byłem niestrudzony. Czarny drucik nie dawał mi spokoju.

Nareszcie wczoraj, kiedy wybraliśmy się w licznym towarzystwie łódkami na przejażdżkę wzdłuż brzegów, stało się tak, że ni stąd ni zowąd wiatr rozpedził łódki na wszystkie strony i odłączył mnie z Kama od papy i mamy.

Dziewczyna udawała wielkiego zucha. Ale jak łódka zaczęła pracowicie kołysać się na boki, to znowu w przód i w tył, jak słońce wdziało na ognistą twarz brunatny welon chmur i fale zielone poczęły gwałtownie nabierać blasków sinych — Kama pobladała.

Pamiętam jak dziś naszą rozmowę.

— Do brzegu niedaleko, prawda? — pytała mnie z lękiem w oczach, choć usta układały się jeszcze w linię czupurną.

— Bóg wie jeden — odparłem nielitościwie.

— Przecież to brzeg panie Augustcie — nalegała na mnie, wskazując mi bladeżółtą linię wybrzeża.

— Chmury — zapewniałem ją.

— A tam?

— Tam burza, która ciągnie ze strony przeciwnej.

— To nie może być — zawołała, chwytając mnie za rękę.

— Może tak, a może nie tak — drażniłem się z nią — ale prawda za prawdę. Powiem pani gdzie brzeg, jeśli mi pani powie, co oznacza ta czarna obrączka.

Zamknęła oczy na chwilę, walcząc z obawą, ale po chwili ścisnęła mnie jeszcze silniej za rękę, kiedy fala zakołysała nami gwałtownie.

— To pamiątka po tym, który już nie żyje — szepnęła.

— Nie żyje? kto to był?

— Powiem, ale najpierw muszę wiedzieć, gdzie jesteście, słyszy pan? — i popatrzyła na mnie z taką bezwzględnością rozpacz, że nie chciałem już dłużej wystawiać jej na próbę.

— Za chwilę będziemy w bezpiecznym miejscu — rzekłem — ten brzeg, gdzie błyskają przez mgłę białe plamy, to nasze wille.

Westchnęła z uczuciem ulgi i posłała mi wdzięczne spojrzenie, ale nie wierzyła jeszcze.

— Powiem wszystko, kiedy wysiądziemy z łódki.

Jaki ja byłem wtenczas szczęśliwy przez tych kilkanaście minut, kiedy zimna, pomarszczona otelhań niosła nas na swoim grzbiecie, sinymi językami łasząc się dokoła łódki i zalewając nam ubranie, kiedy wicher przelatywał ze skowytem koło zwiniętego żagla i ciskał nam co chwila pianę lub podarte, mokre włosy fal w oczy, i pod nogi, a Kama siedziała niespokojnie naprzeciw mnie, ufając mi więcej niż mruczącemu coś pod nosem rybakowi...

Gdyby nas wtenczas kaprys morza wywrócił, poszlibyśmy na dno, trzymając się za ręce. Jak mało człowiek lęka się o siebie w takich chwilach... Mrok i zimne fale byłyby naszym orszakiem weselnym...

Wysiedliśmy.

W milezeniu wiodły nas kroki ku willi.

Kama nie odezwała się do mnie ani jednym słowem. Ja nie chciałem przypominać jej danego przyrzeczenia.

Nagle podniosła rękę do ust i ucałowała czarną obrączkę.

— Patrz pan — rzekła do mnie — to relikwia po jedynym człowieku, który mnie kochał prawdziwie.

— Co się z nim stało? — zapytałem.

— Odebrał sobie życie. Odmówiłam mu ręki. Nie wiedziałam, że tak szalony i że tak kochał.

Kiedy dochodziliśmy już do domu, przystanęła na chwilę i rzekła smutnym głosem:

— Mówią ludzie, że przynoszę nieszczęście tym, do których się zbliżę. Czy pan się mnie nie boi?

— Nie, choćby nas burza zaniosiła w łódce na środek oceanu.

Popatrzyła mi wyzywająco w oczy a potem zaśmiała się wesoło tak, jak gdyby udał mi się najlepszy dowcip.

— Po morzu już więcej jeździć nie będziemy — odparła — a tu na lądzie burze mają swój czar. Dobranoc.

Ze śmiechem pobiegła ku rodzicom, którzy zatrwożeni naszą długą nieobecnością, właśnie wychodzili naprzeciw nas.

A ja zostałem sam z głową pełną marzeń.

Jakby to było cudownie, gdybym kiedy mógł przyprowadzić ją za rękę do Waszego sadu w jaki piękny, lipcowy wieczór i powiedział do Was: — Oto moja towarzyszka życia.

A wy uśmiechnęlibyście się wesoło i podalibyście nam rękę, jak swoim dobrym znajomym.

Jakby to było cudownie!

Dn. 22 sierpnia.

Piszesz mi, że przypominasz sobie Kamę, jak przez mgłę. Może tak i lepiej. Nie masz przynajmniej do niej żadnych uprzedzeń. A kobiety miewają silne uprzedzenia do swojej płci.

Niech mnie Bóg broni, abym chciał przyrównywać Ciebie w czemkolwiek do tej pustej szarańczy, która gniewa się o piękniejsze stroje i o większą ilość kochanków. Bywają uprzedzenia głębsze, płynące z przeciwieństwa światopoglądu, a nawet tylko z różnicy pojmowania codziennego życia.

Pod tym względem ostatnim Kama należy do typu, którego nie lubisz. Może przesadzam. Może po poznaniu bliższem zyskałaby Twoją przyjaźń. Ale gdyby tak nawet nie było, co mam począć, jeżeli jest w niej coś, co mnie ożywia, jak silny prąd elektryczny, co budzi we mnie drzemiące od dzieciństwa wybuchy fantazyi, energię czynu, smak do potężnych wysiłków. Kiedy

idę obok niej, niosę w sobie ocean dyabelnie dobrych instynktów— jakąś przedziwną wiarę w to, że w tej miłości może się Twój Gustek odrodzić i że z tej miłości może wziąć pełnię do ogromnych rzeczy...

Może tak bywa z każdym człowiekiem, którym owładnie potęgą miłości. Może to pospolity ton majowych trylów słowiczych, który rozplywa się następnie w całkiem poziomych instynktach rodzicielskich i w beznadziejnej monotonii egoizmu obracającego się pośród uścielonej słomy własnego gniazda.

Wolę o tem nie myśleć. Nie wierzę nawet, aby tak być mogło zawsze. Gdyby tak istotnie było, gdyby każda miłość zaczynała się od tonów silnych a kończyła na pospolitej piosnce nad kolebką i żłóbkiem — przestałbym wierzyć w ludzkość.

Zdaje mi się, że kiedy ze słońca poczynały się ziemie nowe, wyrzucone w bezprzestrzeń na żywot własny o milionowych latach — w łonie słońca musiała grać pieśń niepojętej rozkoszy.

A my — my epigoni tych bohaterskich okresów natury, my małe światy wyrzucone w bezprzestrzeń na żywot o milionowych sekundach — mielibyśmy być tylko piłkami szarłataństwa i nie-mielibyśmy ciągnąć dalej tej pieśni rozkoszy?

Droga Michasiu — szczery jestem względem Ciebie aż do granic ostateczności. Drudzy wolą milczeć w okresach przełomowych — ja nie mogę. Tak bardzo stałaś się dla mnie dalekim duchem opiekuńczym, że Ci się spowiadam z moich myśli, choć krążę koło innej istoty.

Nie myśl, że bezkrytycznie przywiązany jestem do Kamy. To, co jest we mnie, to nie jest przywiązanie. To jest potrzeba ścierania się z indywidualnością całkiem inną niż ja — z kimś, kto w poprzek staje na mojej drodze i woła:

— „Idę przed siebie, a kto z drogi nie chce mi ustąpić, musi iść ze mną lub zginąć — żyję sama dla siebie, dla mojej przepotężnej młodości, dla czaru moich ust, dla piękna mojego ciała— żyję dla moich świeżych, boleśnie śmiałych zaborczych instynktów — nie znam żadnych układów z życiem i jego etyką. To jest dobrem, co jest dobrem dla mnie, to nienawidzę całą duszą, co jest złem dla mnie!

— „Kto się chce mierzyć ze mną? kto chce, abym poszła za nim? kto jest tym mitycznym śmiałkiem, któryby zakochał się w purpurze moich warg, błękitach moich oczu, metalowym błysku moich włosów i wiośnie moich powabów, a nie poszedł w rydwanie moim?“

A mnie chciałoby się krzyczeć: ja, ja, ja, ja!!! po tysiąc razy ja!!! właśnie dlatego, że taką jesteś inną, właśnie dlatego, że trzeba Ciebie zwyciężyć, właśnie dlatego, że widzę w twoich oczach ogrom pogardy dla wszystkiego, czego nie możesz nazwać swoją własnością, chcę być Ci najbliższym i najbardziej zarazem przeciwnym, chcę Ci wskazać... te ciche drogi ducha — chcę Ci powiedzieć...

Co? tak wiele mam do powiedzenia i tak bardzo nic. Sam żyję jeszcze bez programu — sam jestem nieokreślonym dla siebie i nieskończonym. Czyż walczyć mam tylko frazesem przeciw niej, która ma za sobą czyny swojej indywidualności?

Ach! ma je i jak bardzo wołające o pomstę do nieba! Ona sama przyznała mi się do tego — ale z jakim oburzeniem, choć wszystko to co mówiła, krzyczało przeciw niej.

Czy wiesz co się stało z Relą, jej siostrą, z którą chodziłaś na pensję w Krakowie? Zerwała wszelkie stosunki ze swoją rodziną i tuła się gdzieś po świecie, jako nauczycielka.

Przez kogo i dlaczego, zapytasz? przez Kamę i dla jej egoizmu. O — pospolita to historia, lecz jakże jednak bardzo niepospolita.

Posłuchaj.

Rela wyszła za mąż — za człowieka starszego od siebie o lat dziesięć. Z usposobienia trochę artystka i aktorka, nie wiele dbała o męża, który widział w niej bóstwo, i dla dzieci chciał zebrać jak największy majątek. Nie dbała o niego, bo nie wierzyła w to, aby go mogła kiedy stracić.

— Przyjechałam do nich na wieś — opowiadała mi Kama podnieconym głosem, kiedy raz na balu wypila dużo szampana i poczęła po swojemu waryować.

— Po co pisała po mnie? po co? czy chciała mnie kłuć w oczy tem, że on zakochany w niej do szaleństwa, a ona mimo to nic nie dba o niego? waryatka — to mogło komuś imponować, kto ma gusta plebejuszów, ale mnie?

— Tańczymy walca — szepnęła do mnie, kiedy po sali błyszczącej taflami posadki, lustrami, morzem elektrycznych ogników, poczęły płynąć od estrady płomienne, powolne tony taneczne.

Poszliśmy w wir pod okiem kilkuset par oczu.

O ten taniec! nie zapomnę go.

— Czy wiesz pan — mówiła dyszącym ze zmęczenia głosem — jak mnie przywitała na samym wstępie? Powiedziała mi, że mąż wyjechał na folwark, bo od ślubu zobojętniał zupełnie dla innych kobiet.

— Aktorka — wyrzuciła przez usta z nienawiścią — chciała grać przedemną komedję kobiety, kochanej aż do obrzydliwości przez mężczyznę. Co mnie obchodziło jej szczęście? sama zbliżyłam ich do siebie.

— To jeszcze nie zbrodnia, to słabość — zauważyłem.

— Tak — to nie była zbrodnia, ale to była taka obrzydliwa, czysto babska zarozumiałość i podłość — skarżyła się dalej namiętnym głosem. — Kiedy wrócił z folwarku, pierwsza rzecz, którą mu powiedziałam wprost bez ogródek, to było to, że nienawidzę niewolników, którzy po ślubie przestają być ludźmi wolnymi.

— Ona kochała go, słyszysz pan! kochała go podobno; ale dlatego, że ja tam byłam, okazywała mu jawną pogardę. Aktorka. Dlatego, że mówił ze mną, że zaczął mi się zwierzać, że jeździł ze mną konno, poczęła nas oboje obrzucać wymówkami, zaczęła nas śledzić, podglądać.

— Dlaczego pani nie wyjechała?

— Hahaha — nie, tego nikt nie potrafi zrobić w takiej sytuacji. Pomyśl pan, że raz w nocy wpadła do mojego pokoju, kiedy spałam najsmaczniej i biła mnie po głowie pięścią! targwała mnie za włosy!!! zdarła ze mnie pościel, bieliznę i drapała mnie do krwi.

— Zawołałam go. Przyszedł. Powiedziałam mu, że to przez niego. Błagał mnie, abym wyjechała. Nie — zawołałam — nigdy. Dopóki Rela nie przestanie nas podejrzewać, nie wyjadę.

— I ona także nie chciała mnie puścić. Znajdywała w tem rozkosz, że może nas dręczyć. Cóż dziwnego, że on począł się skarżyć przedemną na nią? cóż dziwnego, że wynajdywał różnice między nami dwiema?

— A ona co zrobiła, aby go przejednać — czy pan wiesz? jak najpodlejsza aktorka w najpodlejszej sztuce, poczęła udawać, że się kocha w Angliku, którego trzymała dla syna. Dla tego Anglika nauczyła się jeździć konno — czego nie chciała zrobić dla męża. Dla tego Anglika uczyła się gramatyki angielskiej.

— Kiedy raz szliśmy do altany, aby ochłonąć po skwarze dziennym, zastaliśmy Relę z książką angielską. Rzuciła nam wejście wzgardliwe i wyszła deklamując:

„I love You my dear boy.“

— Hahaha, aktorka podła. Kiedy siedliśmy do kolacji, obdzieliła nas wzgardliwym wejściem, tak, aby to Anglik widział. Tego białego pinczerka, którego mam obecnie, całowała dlatego, że włożył się za Anglikiem, jak cień. Wszędzie był Anglik.

— Raz pojechałam z Waclawem do lasu. Nie wiem jak długo to trwało. Może nawet bardzo długo. Czy kto w takich chwilach może wiedzieć, jak czas biegnie? wróciliśmy. Ale nie zastaliśmy w domu już ani Anglika ani Reli. Uciekli.

— Hahaha! Aktorka. Czy pan uwierzysz, że z Wiednia telegrafowała nam po angielsku „Jesteście podli oboje, jadę do Londynu“ — a w rzeczywistości porzuciła Mr. Bastow i przyjęła posadę nauczycielki w jakimś dworze na Litwie.

— Mnie po tej całej tragedii pozostał biały pinczerek, którego biedny Mr. Bastow nie zdołał zabrać ze sobą.

— Nie pogodzili się? — zapytałem.

— Reli z mężem? po co? jemu samemu lepiej. A zresztą pan jej nie znasz. Jej zadraśnięta duma przetrzyma głód, nędzę i pragnienie, ale nigdy nie przestanie być aktorską dumą.

— To nie aktorka — rzekłem — to kobieta o biednym, zardrosnem sercu.

— Takim jak pan — rzuciła mi w oczy.

Odurzony hulałem do ostatniego tchu. Na ramieniu mojem opierała się dzika dziewczyna, której oczy płonęły niebezpiecznym ogniem. Dziwne wrażenie. Bałem się jej i kochałem ją coraz mocniej. Jakieś bolesne kłócie w sercu ostrzegało mię przed katastrofą — ale uczucie grało mi szaloną pieśń podboju.

Miałbym być tym mitycznym śmiałkiem, którego jej natura wyzywa do walki? Miałbym z drapieżnego ptaka, który rozkochał się w grabieży, wyrwać krwiożercze instynkty?

Wszystko rozhułało się we mnie i poszło w taniec zmieszany. Jakaś burza poczęła we mnie grać piorunami postanowień i pragnień.

Ach! gdyby człowiek mógł w tem samym mgnieniu oka dokonać tego, co czynem staje się w jego myślach, jakież cuda stałyby się na ziemi...

A tak?

Dziś, kiedy piszę ten list do Ciebie Michasiu i rozpamiętuję to, co przeżyłem, ogarnia mię ból, iż ten cały cudowny a zarazem złowieszczy świat wrażeń, po jakim teraz wędruję, zapadnie się lada godzina w niepamięć lub stanie się bezwocnym.

A może nie? a może wydzwignie się z tego chaosu jakiś kształt głębokich uczuć i w mojem biednem sercu rozpoczną się dnie pogody — jak w Waszych sercach?

Tęsknię za takimi pięknymi dniami — czy jednak dnie te przyjdą?

Może trzeba będzie rzucić tego drapieżnego ptaka, który przeleciał bez troski nad grobem samobójcy i nad rozbitem gniazdem zrozpaczonej kobiety? Tak mało wysiłku trzeba było z jej strony, aby doprowadzić do tego. A jednak w tym trującym kwiecie tyle cudownych rodzi się myśli!

Nie bój się o mnie Michasiu. Nie należę do rzędu tych niewolników, którzy od godziny poznania pięknej kobiety przestają być wolnymi ludźmi.

Dn. 28 sierpnia.

Nie dziwcie się, jeżeli Was zawiadomię, o poważnym kroku w mojem życiu.

Zastanowiłem się głęboko nad całą moją dotychczasową Odysseją i przyszedłem do przekonania, że będę szczęśliwy z Kamą. Oświadczę się rodzicom, bo z ich strony jestem już pewien poparcia. Przytem i im należy się cząstka bezpośredniej radości po całej epopei naszych szalonych konceptów i tragikomicznych przejść. Dobrzy ludzie.

Dn. 2 września.

Przyślijcie konie po mnie jutro wieczorem. Jestem od kilku godzin w Wiedniu. Wszystko zerwane. Kopnąłem białego pinczerka.

II.

Srebrny blask księżycy wędrował powoli po podłodze aż oparł się o jego głowę. Na zmęczonej twarzy kładł się leciuchnymi palcami i całował mu włosy bujne.

Słodkie, kojące światło zbudziło śpiącego. Otworzył oczy i spojrzął do koła. W pierwszej chwili zdawało mu się, że kołysze się na falach morskich — i że z daleka od brzegu dolatuje do niego głos Kamy... Potem zdawało mu się, że ktoś patrzy na niego ogromnie dobrze i ogromnie słodko i prosi go, aby był nieruchomy.

August chciał dotknąć się ręką dobrego ducha — i zrozumiał wszystko.

Spał we dworze Michasi. Przez okno otwarte wpływał świeży powiew nocny, a poprzez gałęzie jabłoni świecił latarką magiczną księżyc, który obchodził ciemne niebiosy, patrząc, zali wszystkie gwiazdy ułożyły się na spoczynek po całodziennym trudzie.

Cisza oparła swoją zadumaną głowę o szybę okna.

Złe, uporczywe skomlenie fal morskich bijących o brzeg przestało go dręczyć. Daleko za sobą pozostawił ocean, rozpalone wybrzeże i wystrojone wille.

Wszystko stało się tak nadszpiewanie szybko, i tak nieodwołalnie stanowczo. Nie miał już po co wracać i do kogo.

Rozejrzał się po pokoju, głowę zwiesił z poduszki i śledził, jak czarna siatka liści zmieniała kształty powoli i jak przez nią, jak przez przetak, przelewało się błękitne światło księżyca.

Uczucie ulgi przeniknęło go całego. Jeszcze wczoraj kiedy liczył słupy telegraficzne przez okno wagonu, ból ścisnął mu skronie. Chwilami głucha wściekłość porywała go na siebie samego i cały świat i wówczas jego ucieczka wydawała mu się ogromnie podła i tchórzowska.

Ale skoro owiało go powietrze Mięckowic, skoro ujrzał na progu Michasię i jej męża, kiedy padł im w ramiona — przeszłość niedawna zmaląła do kształtów znikomych.

Miał swój klasztor, miał asylum, do którego mógł się schronić.

To też teraz, kiedy zdaleka dolatywał do jego uszu szum błogi górskiego potoku, co przewalał się po pod skałami, okrytymi czarnym lasem, kiedy cudowna noc jęła wysyłać oddechy zrywającego się, jędrnego powietrza, ogarnęło go wzruszenie.

Przeżyte dni wydawały mu się niespokojnym, bolesnym snem, który męczył go przez noc całą. Tyle myśli, tyle fantazyi włożył w ten sen, taka silna pieśń życia poczyniała się zrywać w jego piersi — i po tem wszystkiem nie pozostało nic, tylko przykry rozdźwięk.

Czyżby istotnie tak bywało w życiu, że najpiękniejsze wzruszenia duszy rozpryskują się o lada lichą przeszkodę, o lada lichy oset, który kole?

Chciałby wołać do Kamy z tego cichego, podkarpackiego ustronia, aby nie była tak złą i tak samolubną, ale rozumiał żeby to był krzyk próżny. Choćby słyszała, odwróciłaby się od niego z tym samym bezdennie wzgardliwym ruchem, jak wtenczas.

Nie jej mu żal — żal mu za temi chwilami, w których uczucia jego i porywy rozkołysały się, jak dzwon wielki. Cokolwiek — bądź wyrwałoby go z odrętwienia, cokolwiek — bądź rzuciłoby go na drogę wytężonego ruchu myśli, było dla niego świętem.

I tego mu właśnie żal było najbardziej, że w szarudze codziennych drobnych pożądań i drobnych wysiłków — napotkał promień, który przeniknął go nawskroś i zdawał się przekształcać w wielki dzień... a okazał się bengalskim ogniem.

Dokąd teraz pójdzie? na czym zaczepi swoją uwagę?

Padły łzy z jego ócz w tę cichą, dobrą noc...

Zasnął. Obudziły go wesołe głosy, dolatujące z ogrodu. Poznał głos Jasia, drgający jak srebrny dzwonek po rannej rosie sadu. Serdeczny, jasny śmiech zbliżał się coraz bardziej do jego okna.

— Jasiu! Jasiu! — jakiś głos kobiecy wołał — obudzisz wujka!

— Nie widziałem go wczoraj — odpowiadał chłopiec — położyście mię spać razem z kurczętami, zanim wuj przyjechał. Muszę go zobaczyć choć przez okno. Muszę. Może wujowi broda urosła tak, jak tatusiowi. Jak pani myśli?

— Jasiu cicho! co wuj pomyśli o nas? Jeszcze da nam bukę za te hałas.

— Powiem wujowi, że to nie ja tak hałasuję, tylko pani Nala.

— Byle wuj chciał w to wierzyć.

— Uwierzy!

W tej samej chwili ukazały się w oknie dwie drobniuchne łapki i głowa Jasia, zaczerwieniona jak wiśnia od zmęczenia i rannych całusów powietrza. Z pod ogromnych szarych włosów błyszczała para ócz, tryskających ciekawością.

August zmrużył oczy i udał śpiącego.

— Wuj chrapie — zawiadomił Jaś stojącą pod oknem kobietę.

— Jasiu — brzmiała wymówka — zejdź już raz. Jak możesz zaglądać do pokoju wujka, kiedy wuj o to cię nie prosi.

— Pani Nalo! wujowi całkiem broda nie urosła. Dlaczego tatusiowi urosła, a wujowi nie?

— Jasiu! zejdź na Boga, bo będę musiała przeprosić wujka za twoją niegrzeczność.

Jaś zeskoczył, jak konik polny na trawnik.

— O ty mały rozbójniku — odezwała się kobieta pod oknem, a potem doleciały do uszu Augusta odgłosy całusów i śmiechu, które oddalały się coraz bardziej w głąb ogrodu.

— Szczęśliwa Michasia — pomyślał i westchnął.

— Jaś ma już cztery lata i jakąś dobrą opiekunkę. Dziwna rzecz, jak Michasia ma szczęście do dobrych ludzi.

— Ta pani Nala musi mieć piękne, słodkie oczy, trochę siwych włosów na głowie i pociągającą twarz. Musi być bardzo podobna do Michasi, bo ma głos łudzaco do niej podobny.

— Kto ona jest?

Miał ochotę wstać i przyjrzeć się jej z poza firanki, lecz to wydawało mu się rzeczą niewłaściwą, bo ostatecznie co ona mogła go obchodzić?

— Czy też Jaś podrósł przez lato? — podsunał mu pytanie jakiś głos wewnętrzny.

Zerwał się z posłania i podbiegł do okna, śledząc przez oczka firanek, co porabia Jaś i jego towarzyszka.

Szli właśnie oboje ręką w rękę po wielkiej alei, która przerywała wzdłuż cały ogród.

— Jaś wyrósł — zauważył August — ma na sobie to samo ubranie, ale spodeńki są już teraz bardzo krótkie.

— Ona zapatrzona w Jasia, jak matka. Kocha go pewnie. Zdaleka wygląda jeszcze całkiem młodo.

Jak przez mgłę błysnęła mu w oczach twarz Kamy.

— Tu niema dla niej miejsca — pomyślał z zaciętością w sercu. Ani Michasia, ani Wicek, ani Jaś, ani pani Nala nie mogłyby oddychać tem samem powietrzem co Kama — ani ja teraz — dosnuł po chwili.

Tego samego dnia popołudniu Jaś zaprosił wuja na połów ryb. Na długim, cienkim kiju przywiązany sznurek z pływakiem i małym kamykiem na końcu przedstawiał wędkę.

— Pani Nala także pójdzie z nami — zawołał dobitnie uszczęśliwiony malec, kiedy wszyscy wstali od stołu po obiedzie.

August chętnie przyjął zaprosiny Jasia, bo chciał uniknąć rozmowy ze siostrą, która wprawdzie o nic go nie pytała, ale której wypadło wytłómaczyć ów nagły przeskok psychiczny po takim burzliwym wstępie, jaki zapowiadał się w jego listach. Mówić zaś o tem, co zaszło, było mu niewypowiedzianie ciężko.

Nad górą obrosłą lasem ciemnozielonym stało słońce, grzejąc płomiennem wejrzeniem każdy zakątek doliny. Smukłe jodły objęte gorącymi uściskami powietrza wydawały z siebie balsamiczną woń — pachniały łąki nowym pokosem siana, potok przewalał swoją kryształową wodę po kamieniach białych, mrących z pragnienia.

Cisza stała nad tym zakątkiem górskim, otoczonym ze wszystkich stron błękitnym wieńcem wzgórz.

— Pani już dawno u siostry?—zapytał August, idąc powoli z Jasiem i z panią Nalą ku potokowi.

— Od dwóch miesięcy — odparła zagadnięta i utkwiała w twarzy Augusta szare, spokojne oczy.

— A tak, widocznie. Byłem u siostry w czerwcu, ale pani nie widziałem wtenczas.

Jaś skreślił ścieżką w las.

— Jasiu, a gdzie będziemy łowili ryby?

— Niech wujcio poczeka. Tutaj jest woda płytka, ale za lasem to woda jest bardzo głęboka, i ryby są w niej duże, jakie duże! — i szedł dumnie naprzód, przyspieszając kroku i potrząsając wędką, na której końcu kamyk kiwał się lekkomyślnie.

Cicha kaplica lasu przepelniona kadzidłami drzew i ziół, roztaczała nad nimi swoje sklepienie. Ścieżka biegła, jakby strzałą wymierzona prosto przed siebie, a na jej końcu buchała łąka ogniste zielonymi blaskami.

August zdjął kapelusz z głowy i szedł przez chwilę odurzony prostotą cudu, który rozlewała dokoła przyroda.

— Jak tu dobrze — wyszeptał mimowoli.

— O tak — rzekła jego towarzyszka — to nasi najwięksi przyjaciele i najbardziej wyrozumiali, te jodły, te tarniny, buki i nad nimi to dobre słońce.

— Pani była na wsi wychowana?

— Nie, w mieście.

— Tak, ale pewnie jeździła pani do krewnych na letnie miesiące?

— Pierwszy raz jestem na wsi — brzmiała odpowiedź.

August spojrzał badawczo na nią i dostrzegł, że twarz jej lekko zadrgała.

Chciał pytać dlaczego, ale delikatność nie pozwalała mu na to.

— Pan pewnie dziwi się temu, prawda? — pytała wzruszonym głosem pani Nala.

— Tak, nie wiem nawet, czy to jest rzeczą możliwą, aby ktoś nie był nigdy na wsi.

— Są i tacy. Ale ja źle powiedziałam. Byłam na wsi, ale to było bardzo dawno. Może miałam wtenczas tyle lat, co Jaś, może byłam trochę starsza... Jak przez mgłę pamiętam te chwile. — Ale później nigdy... nie opuszczałam miasta...

August pomyślał, że kobieta, która szła obok niego, musiała przeżyć i bardzo wiele cierpieć.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł stłumionym głosem — pytałem mimowoli. Nie chciałem być natrętnym.

Ona spojrzała mu z wdzięcznością w oczy i ze zdziwieniem. Uderzyła ją subtelność Augusta. Niczem przecież nie zdradziła się.

— Czy pan słyszał co o mnie?—zapytała po chwili naiwnie.

— Nie.

— Przypuszczałam, że siostra mówiła co panu.

— Nie, ani słowa.

— Jak to pięknie z jej strony — rzekła i w tej chwili zarumieniła się, jak dziecko.

— Polna róża wychowana w mieście — pomyślał August i spojrzał na nią z głębokim zaufaniem.

— Nie dlatego tak powiedziałam — przemówiła po chwili — żebym się czego wstydziła w swoim życiu, ale nie lubię, aby ktokolwiek mną się interesował. To rzecz nie warta zachodu, ani uwagi. Co kogo może obchodzić, czy biedronka lata po dalekich drogach, czy w kółko koło jednego krzaku. Możeby to było tylko ciekawem spostrzeżeniem dla botanika...

— Albo dla kogoś, co połamał skrzydła — rzekł August jak mógł najbardziej drewnianym głosem.

— Może...

Szli w milczeniu dalej. Jaś wyprzedził ich znacznie naprzód, ścigając żółtego motyla, który zabłąkał się w lesie. Ciepły wiatr, który szedł po nad lasem, rozmawiał z koronami jodeł i snać opowiadał im ciekawą historię, bo głowy drzew chwiały się w jego stronę i potakiwały mu co chwila.

— Kama nosi czarny drucik na palcu — pomyślał August — aby wszyscy mogli ją pytać, co to ma znaczyć.

— Kama opowiadała mi o ucieczce Reli tak, jak opowiada się epizod z polowania na zające...

Uśmiechnął się gorzko.

Usiedli nad potokiem w cieniu olbrzymiej olchy. Jaś zarzucił z niestrudzonym zapalem wędkę, co chwila obwieszając wujowi i pani Nali, że złapał dużą rybę, a na dowód pokazywał kamień uwiązany na końcu.

— Szczęśliwe dzieci — zauważył August — fantazyją tak wszystko dopełniają, że mają pełne złudzenia rzeczywistości.

— I nam starszym to samo się zdarza — rzekła pani Natalia.

— Z tą różnicą — odparł August — że przebudzenie jest straszne.

— Niech pan obudzi Jasia ze złudzenia, czy będzie mniej nieszczęśliwym?

— Może w pierwszej chwili, ale wkrótce zapomni, i będzie dalej łapał ryby.

— I my potrafimy to samo. Zapominamy równie dobrze, jak dzieci. Pragnienie szczęścia ubieramy po tysiąc razy w odmienne szaty i zdaje się nam, że widmo jest całkiem inne i ręce wyciągamy do niego. Czy nie tak panie?

August spojrział na mówiącą z uwagą, zawahał się, lecz po chwili zapytał:

— Skąd pani wie o tem?

— Skąd? — odpowiedziała pani Nala — dużo miałam złudzeń w życiu, a jeszcze więcej razy budziłam się po snach okropnych.

— Tak jak ja — mimowoli rzekł August.

Oboje utkwili wzrok w swych oczach ze smutkiem i bolesnym skurczem w kącie ust.

Nad nimi toczyło się olbrzymie słońce, topiąc w swem dobroczynnym ciepłe pobliską porębę, skarżącą się niebiosom sterzącymi w górę zrąbanymi pniami, na zbrodnię popełnioną na niej. Siwe, błyszczące bliznami kciuki drzew wyglądały jak cmentarz nagrobków po starym borze, a dokoła nich wiło się nowe, zielone, dyszące pożądaniem życie krzewów, ziół i grzybów.

— Pani ma łzy w oczach — szepnął August.

— Ot tak, przywidzenie.

Taka bolesna rezygnacya wiała z jej słów, że August nie wiedział przez chwilę, czy podjąć na nowo rozmowę i uszanować milczeniem jej łzy, czy szukać w niej kogoś, z kim mógłby dużo mówić, bo ten ktoś cierpiał tak jak on, a może daleko bardziej...

— Pani sądzi pewnie, że jestem jednym z tych, którzy lubią się tylko bawić na świecie, że jestem może panem o szerokich skrzydłach, który lubi karmić się cudzym kosztem, aby po chwili odlecieć dalej i dalej, panem o instynktach pasożyta — rzekł z gorzkim przekąsem.

— Nie, nie, — zaprzeczyła żywo — od pierwszej chwili pozyskał mnie pan dla siebie. Mówię to, choć to rzecz całkiem obojętna dla pana, bo nie chcę aby mnie pan źle zrozumiał. Uderzyła mnie pańska dobroć i subtelność. A z tem tak rzadko my kobiety spotykamy się wśród mężczyzn. Tak rzadko mężczyzna i kobieta zbliżają się do siebie bezinteresownie — tak rzadko mówią ze sobą tylko ich dusze a nie... instynkty...

Pani Natalia utkwiała przed siebie wzrok. Rozszerzone tęczęwki jej oczu świeciły w cieniu olehy silnym blaskiem.

August patrzył na nią z szacunkiem. Te same myśli przebiegły mu przed chwilą przez głowę.

— Ufa mi pani? — zapytał nieśmiało.

— Tak, ufam, — wyciągnęła do niego rękę z gestem przyjaznym, serdecznym.

— Jak to dobrze się stało, że przyjechałem do Mięckowic. Dużo, dużo będziemy mieli sobie do powiedzenia.

— Jestem tutaj nauczycielką Jasia — odezwała się pani Nala poważnie, ale bez cienia wymówki.

— Ale pozostała za panią przeszłość. Ta przecież do pani należy. Tej przecież nie potrzebuje się pani wyzbywać na rzecz obowiązku. Do niej wolno pani wracać.

— Moja przeszłość? — rzekła pani Natalia — doprawdy jestem dziś tak jak bez przeszłości, bo nic mi po niej nie pozostało, zgoła nic. Przyszłam tutaj, nie pozostawiwszy za sobą nic, coby mnie wiązało ze światem. Takie kobiety, jak ja, lubią wstępować do klasztorów, ale dla mnie klasztorain najlepszym będą Mięckowice. Kocham pracę. To nie moja zasługa. O bynajmniej. Taką mam już naturę.

Jaś zapędził się za rybami daleko w dół strumienia. Pani Nala niespokojnie śledziła jego ruchy. Kiedy spostrzegła, że malec biegnie nazad, wymachując wędką, zerwała się z trawnika i podbiegła do niego.

Jaś krzyczał coś z daleka, ale dopiero kiedy odetchnął, dowiedzieli się od niego, że złapał dwie ryby. Jedną przedstawiał kamień, drugą wodorost zielony, który przyczepił się do sznurka.

— Pokażę mamusi! pokażę manusi! — wykrzykiwał rozradowany.

— A co zanieziesz tatusiowi? — rzekł umyślnie August.

— Prawda, muszę jeszcze złapać dla tatusia takiego samego pstrąga. Niech wuj dobrze pilnuje tę rybę, żeby mi nie uciekła — to mówiąc, wręczył Augustowi wodorost z dumą wielkiego lorda, a do pani Nali nachylił się do ucha i szepnął — pani Nalo, proszę pilnować wuja, żeby mi wuj nie zjadł pstrąga. Wuj jest bardzo łakomym rozbójnikiem.

Oboje wybuchnęli serdecznym śmiechem.

— Przywiązałam się tak do tego dzieciaka, jak do własnego syna — rzekła z uśmiechem do Augusta.

— Czy pani ma rodzinę daleko stąd? — zapytał.

Po twarzy jej przeleciał jakiś cień bolesny, usta jej zdrząły.

— O tak, bardzo daleko... nie na tym świecie.

— Wszyscy? — zagadnął przerażony własną niezgrabnością.

— Wszyscy — brzmiała odpowiedź.

August wziął ją nagle za rękę i pocałował. Nie wiedział sam dlaczego to zrobił, ale nie umiał inaczej wyrazić swego

współuczucia w tej chwili. Ujęła go jej wielka prostota i jej niechęć.

— Utraciłem Kameę — pomyślał — ale mam jeszcze ojca, Michasię i jej męża. Kto powiada, że utracił wszystkich, musiał stać nad taką bezdnią męką, że dziw, iż żyje. Gdybym utracił Michasię, Jasia i ojca? — krew zbiegła mu do serca; ktoś ujął mu skronie i czoło w lodowe palce.

Pani Natalia spojrzała na niego przestraszona. Ten niespodziewany pocałunek zabolął ją bardzo. Nie dała żadnego powodu do tego, aby ją w ten sposób upokarzano. Rumieniec silny przebiegł po jej czole, twarzy i szyi i zniknął. Była blada, nie wiedziała co począć.

Chciała wstać i krzyknąć na Jasia, aby wracał do domu.

— Niech mnie pani zechce zrozumieć — rzekł August. Nie umiem panować nad sobą. Jestem rozstrojony. Przeżyłem w tych dniach takie tortury, że doprawdy... przecież to straszne, co mi pani powiedziała. W pierwszej chwili nie zastanawiałem się nad tem, co robię. Poszedłem za pierwszym odruchem wzruszenia. Kto sam cierpi, tak łatwo umie się żyć z podobną mu istotą, że zapomina o granicach towarzyskich... Pani mi przebaczy. Uczyniłem to bez celu... Los chciał, że właśnie panią spotkałem tu... Może moje roszczenia są dzikie, ale jeżeli nie wydadzą się takimi pani, to proszę, bądźmy przyjaciółmi.

Prosił pokornie wzrokiem. Głos mu zadrżał i załamał się na ostatniem słowie. Żądał za dużo i za prędko. Schylił głowę, bo chciał uniknąć jej wzroku, aby nie wyczytała w jego oczach uciekającego wstydu w głąb najtajniejszą duszy.

— Przyjaciółmi? — zapytała po chwili smutnym głosem, — jakież wielkie słowo pan powiedział. Boję się nawet myśleć o tem, że w mojem życiu mogłabym kogoś nazwać jeszcze moim przyjacielem... Wątpię, czy cośkolwiek z mej strony mogłabym włożyć w to uczucie. Jestem taka dziś biedna, tak mało wrażliwa...

— Ale spokojna — rzekł August, czepiając się jej słów, jak rozbitek czepia się roztrzaskanych desek szalupy, byle ocalić życie. Sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego tak nalegał i prosił, pociągał go kontrast bezgraniczny, jaki widział między Kameę a tą nową, nieznaną kobietą.

— Pan może wyobraża sobie — odezwiała się nakoniec — że jestem bohaterką jakiej wstrząsającej tragedyi, a ja jestem sobie ot taką jedną z poszarpanych nici, które życie targa przy przędziwie codziennem. Takie nitki żyją zwykle życiem zdepta-

nych traw, co nie przedstawia znowu żadnego powabu, ani dramatyczności.

August zapatrzonny w warczący pod jego nogami potok dojrzał w pianie rozbijający się o skalisty brzeg twarz ironiczną Kamy. Przeniósł wzrok mimowoli na panią Nalę i zdziwił się, że jej twarz wydawała mu się bardziej znajomą i droższą niż tamta, za którą niedawno jeszcze szalał.

— Gdyby pani wiedziała, że to może być dla mnie ratunkiem, gdyby pani wiedziała! — szepnął. Wiem, że jestem dla pani człowiekiem obcym, którego raczej powinna pani podejrzewać jak mu ufać, ale czyż w życiu nie może być wyjątków...

— Ratunkiem — powtarzała sobie w myśli pani Nala — i gniew obudził się w niej na siebie samą, że mogła tak długo nad kimś się pastwić.

— Gdybyś mogła mu w czemkolwiek pomóc, — wzruszenie szeptało w jej sercu, bijąc przyspieszonym pulsem — gdybyś mogła!

— Nie wiem — rzekła wreszcie przestraszona — czy zrozumiałam pana. Słyszałam dużo o panu od pani Michaliny. Jestem bardzo prosta kobieta. Mogę współczuć, ale czy zrozumieć? czy ja potrafię zrozumieć pana? Pan jest głębszym umysłem — ja zaś przyzwyczaiłam się do pracy mrówki. Mogę patrzeć z drżeniem serca, jak motyl robi zawrotne łuki w powietrzu, jak kapie się w słońcu, lub walczy z wiatrem, ale czy mrówka zdoła zrozumieć, dlaczego motyl zakochany jest w takich właśnie lotach, a nie innych? Boję się, że mówię nie jasno, ale ja chcę być szczerą. Mnie wstyd poprostu, że człowiek pokroju pana...

Zbladła i przestała mówić.

August wyciągnął do niej rękę, w której spoczęła jej drobna dłoń z przetrachem. Oboje spojrzeli mimowoli w górę, gdzie słońce zawisło na rostrzępionym wachlarzu jodły i ogniste strugi przelewało przez czarne igły gałęzi.

— Przedziera się ku nam szczęście — rzekł August podnieconym głosem. Radość błysnęła mu w oczach.

Ręka jej zadrzała i wysunęła się z jego dłoni chłodna, jak lód.

— Widzi pan, jaki pan zrobił zły wybór. Rozejdziemy się przy pierwszej sposobności. Pan marzy o szczęściu, pan tęskni do szczęścia całą duszą, a ja nie wiem poprostu, co to jest szczęście — nie chcę nawet z niem się spotkać, bo zawsze wtenczas, kiedy myślę o czemś podobnym, przekonuję się, że już uciekło odemnie...

— Kto chce, musi je znaleźć, — rzekł z mocą. Cóż z tego że się raz upadnie, lub drugi i trzeci? Kto uporeczywie umie po-

żądać, posiedzie je nakoniec. Tak pani Natalio. Dźwignią mojej duszy jest gorące pożądanie szczęścia. Nie mówię o tem banalnym, płynącym z najłatwiejszych uciech, ale o tem wyższym, które płynie z przeświadczenia, że nie my jesteśmy niewolnikami chwili, ale że chwila jest naszym niewolnikiem i idzie w ślad za naszymi uczuciami i czynami.

— A tak — szepnęła pani Natalia.

— Jakby to było ogromnie dobrze — mówił dalej August, czując rozpalający się w swojej piersi ogień entuzjazmu — gdybym mógł iść, jak to słońce gorejące między ludzi i rzucić między nich słowa nowych prawd!... pani Natalio, pani Natalio, gdybym mógł...

— A więc weź pan tę wiarę z siebie, a więc stań się pan niewolnikiem swoich idei, zamknij oczy na wszystko i głoś to, co czujesz i ucz jak trzeba czynić, aby życie innym było jak jest, aby przestało być zmorą, która wyžera mózgi i staje się jednym niezaspokojonem pożądaniem bez końca od kolebki do grobu — ucz, że inaczej powinno być i jak powinno być.

August stał z rozpalonemi oczami, słuchał jej słów, jak grającej muzyki, drżał, bo mu się śniły rozpięte skrzydła...

— O gdybyż umiała mówić tak długo! póty, ażby zerwała się ta moc, co tłukła w jego piersi! o, gdybyż wzięła go za rękę i powiedziała mu: chodźmy... razem... nie opuszczę cię... będę szepiała za tobą bezustannie, po co iść masz, jaką rzecz czynić masz...

Tak myślał i nieruchomy stał, zasłuchany w głos wewnętrzny. Opuścił głowę.

Spojrzała na niego z boleścią.

— Entuzjasta bez czynu — pomyślała.

A on rzekł:

— Rozumie mnie pani teraz. Zrywam się do czegoś, co rozpala mi duszę, a kiedy chcę się wprządz w jarzmo i orać rolę i zasiewać ziarno, niemoc przykuwa mnie do miejsc. Nie mam wiary w to, co chcę czynić, brak mi sił do przelania w czyn własnej idei... Przecież z takim podłem życiem warto raz skończyć.

Pani Natalia ściągnęła brwi i pomyślała:

— Komediant.

— Pani już mnie oceniła. Wiem. We wzroku pani wyczytałem słowo: komediant. Halaha. Może tak nawet jest. Może ja sam się ludzę co do mojej wartości istotnej. Może te wszystkie wściekłe burze, które mi drą duszę na sztuki, to wyskoki fi-

lozoficzne nastrojonego pajaca. Hahaha... niech pani poczeka. Zamiast apostołować, zadeklamuję pani coś wesołego, proszę posłuchać:

„Panienko nadobna,
Jest chwila sposobna,
Wiatr płacze i dzwoni
Cichutko w ustroni —
Jak łyzy!
Przez okno, przez pole,
Przez zboża, kąkole
Leć żywo z buziakiem,
On siedzi za krzakiem
I drży...

— Hahaha, podoba się pani? ciąg dalszy taki...

Pani Natalia zerwała się z kamienia, na którym siedziała, podeszła ku niemu, spojrzała mu ze wzgardą w oczy i rzekła:

— Niech pan zamilknie. Prosił mnie pan, abym była pańską przyjaciółką. Dla mnie to, co pan teraz robi jest obelgą. Za dużo cierpiałam na świecie, aby lubować się w arlekinadzie.

August spuścił oczy i ciężko oddychał.

A ona mówiła dalej.

— Tu jestem od kilku tygodni. A wie pan dlaczego? bo szukam miejsca zaczepienia dla siebie. Los okradł mnie ze wszystkiego, a ja pomimo to, zaczynam na nowo... Czy pan to rozumie?... zaczynam na nowo żyć.

August zbladł. Słowa jej zapadły się w głąb jego jestestwa, jak zimny o szalonej sile prąd górskiego potoku. Czuł ból bicia — ale czuł zarazem, że zdrowie mu wraca.

— Miałam ojca, który dnia jednego wygrał wielki los. Miał majątek, ale ta wygrana nie dała mu już spokoju — rozbudziła w nim chciwość gracza. W kilka miesięcy później, kiedy siedziało nas troje dzieci z matką przy stole na wsi — miałam wtenczas lat cztery lub pięć — otrzymaliśmy telegram z zawiadomieniem, że ojciec w Wiedniu odebrał sobie życie, bo stracił wszystko. Wyrzucono nas ze wsi, matkę, która całe życie była dzieckiem i która zapadała coraz silniej na czarną melancholię i nas troje. Moja starsza siostra utrzymywała nas w mieście z lekyi muzyki. Mieszkaliśmy na poddaszu — jak ja ją kochałam! Ale takie życie wieść, tak się bić przez życie, to nie uchodzi bezkarnie. Kiedy już miałam lat szesnaście, odeszła od nas nazawsze.

August z wysiłkiem oparł się o drzewo.

— Na mnie przyszła kolej. Byłam najstarszą. Umiałam szyć. Mnie już było lżej. Miałam utrzymać tylko matkę i tylko młodszą siostrę. Z jaką rozkoszą pracowałam dla nich. Ale przyszedł człowiek, który powiedział, że mi da szczęście większe od tej pracy... że ze mną weźmie matkę i moją siostrę. Nie chciałam, jak bardzo nie chciałam! Matka mówiła: bierz szczęście w ręce, bierz je. Wzięłam...

— Przestań pani, przestań.

— Nie. Musisz pan wysłuchać wszystkiego. Wzięłam to szczęście. To był człowiek, któremu tylko podobały się moje wdzięki, człowiek, który nic nie wiedział, co to jest bić się przez życie. Mnie nie pozwalał pracować, bo się tego wstydził. Utrzymać zaś mnie, matkę i siostrę, było mu za ciężko. Uciekłam od niego ze swojemi. Odszukał mnie, kazał wracać. Zakląłam go na wszystko, aby nas zostawił swojemu losowi. Nie ustąpił. Poczęło się piekło codziennych walk o chleb, o wstyd i znowu o wstyd i znowu o chleb. Powiedziałam matce, że musimy uciekać i że nigdy już nie wrócimy do niego. Chciałam dostać miejsce nauczycielki ludowej w jakim zapadłym kącie. Przyrzeczono mi tę posadę. Szczęście uśmiechnęło mi się znowu. Kiedy wróciłam do domu, znalazłam dwa trupy, matkę i najmłodszą siostrzyczkę. Matka otruła ją i siebie, aby mnie usunąć się z drogi, mnie, która kochałam je do szaleństwa. On jednak powinien był czuć się szczęśliwym. Ale to dziwny był człowiek. Wziął sobie to do serca, wmówił w siebie, że to przez niego się stało i tak mi ginął w oczach — wstydził się ludzi, nazwiska swojego — ginął mi w oczach i poszedł za niemi. Zostałam sama, wolna — mój Boże — jaka wolna!

Drżały jej wargi. Była blada jak płótno.

Szepnęła:

— Może teraz zadeklamuje mi pan co wesołego.

August spojrzął na nią z rozpaczą.

*

*

*

Przez cały wieczór błąkał się po polach. Z miejsca na miejsce przeganiała go gorączka, która paliła mu serce. Co chwila, jak ćma leciał myślami do płonącej lampy bezlitośnej refleksyi i z jękiem kurczył się znowu. Rany paliły go...

Czasem stawał na skraju poręby lub nad potokiem i chciał krzyczeć, że krzywda dzieje się na świecie, krzywda wołająca o pomstę do nieba. On jest syty, on ma majątek, on może od bólu i od wściekłości swojej uciekać z jednego końca Europy na drugi, on jeżeli cierpi, to tylko przez zbytek swobody, przez nadmiar wrażliwości, przez chorobliwość fantazyi — ale inni? Ci inni cierpią całkiem inaczej, cierpią do bólu kości i aż do wrzenia krwi serdecznej.

— Natalia! — ile słów, tyle cierpienia.

— A on? ile słów, tyle czczego uniesienia i patosu.

— Czyż może być podlejszy kontrast — myślał — jak nas dwoje? Czem ja jestem obok niej? Całą zewnętrznoscią człowiekiem wyższym od niej — ale w istocie rzeczy wychuchanym zlepkim nerwów, któryby potargał się na strzępy, przeżywszy jedną setną część tego, co ona przeżyła.

Rozkosz wyszydzenia siebie samego i unicestwienia opanowało go do szczytu. Z nienawiścią przypominał sobie, jak tu po tych samych polach chodził przed dwoma miesiącami z pogodą sytego Epikurejczyka, który na każdą zawilóść życia miał cynicznie filozoficzną odpowiedź i który z poza parawanu przyjemnych wrażeń wydawał sądy o ludzkości, bo nazywał ludzkością garść podobnych istot, jak on.

— Psie, przekłete moje życie — krzyk wydzierał mu się z duszy — ułudy, kapryśne uniesienia, subtelny melodramat!

Napadała go dzika chęć wytarzania się w ostach lub gnania przez krzaki tarniny. Możeby ból fizyczny zrównoważył w nim wybuchający płomieniami ferment duszy.

Nigdzie nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Szum drzew w lesie wydawał mu się dzikim jękiem głodnych, bezdomnych sierot, podeptanych istot, modlitwą za konających bez ratunku. Rozgrzana wyobraźnia podsuwała mu przeraźliwe słowa pod ten chaos szeptów, mamroczeń, skrzypów i zawodzeń.

Wszędzie dokoła niego las i to morze rozplakanych zgrzytów.

— Gdyby ten las był lasem ludzi takich jak Natalia — gdyby wśród nich znalazł się tak, jak tu wśród tych buków i olch i jodeł — gdyby zwiesili nademną ręce tak jak ten grab...

— Uchodzić — uchodzić stąd, bo uwierzę, że tak jest...

— Słyszę, co mówią —

— Patrzą na mnie wszyscy...

— Dotykają się palcami moich włosów — włosy stanęły mi dębem — uciekać — moje nerwy uciekają.

— Przecież to fantazya, przecież to moja własna fantazya.

— Uciekać — uciekać.

Jak dziki zwierz, gnany przez naganke, dygocząc na całym ciele przedzierał się przez podszybie lasu, straciwszy ścieżkę i kierując się tylko za blaskiem wieczoru, który sączył się przez gałęzie.

— Ha, nareszcie potok — szepnął, kiedy owiało go zimne powietrze wody.

Czuł, że żadna siła nie zdołałaby go zmusić, aby oglądnał się poza siebie w las, gdzie rozhulały się widma jego fantazyi.

— Nie mógłbym spojrzeć im w oczy, jak nie mogłem spojrzeć w oczy Natalii... — pomyślał.

Po wilgotnym, ciemnym błękicie płynął księżyc błyszczący spokojnie, jak polerowana tarcza. Cała dolina ucichła pijąc niebieskie światło nocy spragnionemi źdźbłami traw i ziół, szerokiemi liśćmi drzew, igłami sosen, porami pooranej ziemi i białawymi cielskami skał.

Poza potokiem dostrzegł wyniosłą werandę dworu miętkowskiego, zbudowaną na piętrze, na której płonąła lampa i migwały cienie ludzkie. Daleko za dworem, w dół potoku, błyskały drobne światełka wsi.

Od lasu szły krzyki i nawoływania wichru, grającego na gałęziach. Hałas tajemniczy rósł i chwycił Augusta za włosy.

— Uciekać do ludzi — podszepnął mu głos wewnętrzny.

— Idą za tobą — powiedziały mu nerwy.

Rzucił się znowu do ucieczki. Siłą woli chciał opanować siebie, ale napróżno. Światło dworu przyciągało go, jak magnes. Tam tylko będzie mógł przyjść do siebie. Byłe pozostać sam na sam z nocą i ze sobą.

Po kamieniach oślizłych, wystających z wody, przeszedł na drugą stronę potoku i brzegiem podążył szybko do dworu.

Za nim szło wycie potoku i gwar lasu.

— Gdybym wyteżył całą siłę woli, mógłbym stanąć i odwrócić się — zachęcał sam siebie.

— Zemdlałbyś — jakiś szept przeciskał mu się przez gardło.

Przez łukę, na której pasły zię ciemne sylwetki koni dostał się do ogrodu, a stamtąd do sieni dworu.

Odetchnął.

Wszyscy szli już spać.

Tylko Michasia czytała książkę na werandzie, czekając na brata.

August usiadł obok niej bez słowa. Głowę ukrył w dłoniach.

— Gustek — rzekła po chwili Michasia — czy zapomniałeś zupełnie o mnie?

— Pani Natalia wróciła? — odezwał się.

— Już od kilku godzin.

— Nie mówmy lepiej, nie mówmy lepiej — szepnął zmęczonym głosem.

Michasia podeszła do niego, pocałowała go w głowę, pogładziła mu włosy, a potem stanęła przy słupie werandy i patrzyła w noc.

Mleczne, białe, okrągłe światło lampy płonęło na stole — przez brzegi werandy przelewała się mroczna, niebieskawa ciemność nocy.

— Michasiu — mówił powoli — nie znam życia. Boję się go. Patrz co się teraz ze mną dzieje.

— Gustek — odezwała się, łykając łzy, co spływały jej do gardła — widzę, że jesteś bardzo nieszczęśliwy, ale czy tylko ty jeden na świecie?

— Kazałaś mi patrzeć na świat przez pryzmat poezyi. Odsuwałaś odemnie wszystko to, co jest nędzą, męką i krzywdą. Dziś zapóźno, abym nauczył się trzeźwo patrzeć. Jestem przeczulony. Jak piłka — mówił dalej — odbijam się od jednego wrażenia aby wpaść na drugie i odbiwszy się od tego znowu wpaść na inne i tak bez końca. Jaki to obrót weźmie — nie wiem.

— Gustek, nie mów, nie mów. Rozumiem cię, ale lepiej, jak jutro lub za kilka dni powiesz mi wszystko. O nic cię nie pytam. Nie chcę nic wiedzieć. Usłuchaj mnie.

— Czekaj — przerwał jej gniewnie — nie wiesz sama, o co mi chodzi. Do dyabła z romansami i Kamą. Twój służący otrzepał ze mnie ostatni kurz po tej nadmorskiej idylli.

— Więc co? — spytała zdumiona.

— To — rzekł wstając — że ty i ojciec wysilaliście się na to, aby mnie wychować jak subtelnego pajaca, a nie jak człowieka. To, żeście mnie oprowadzali po muzeach, galeryach, kościołach, dawaliście mi w ręce filigranowo twory muz, a nie pokazywaliście mi szpitalów, grabarni, przytułków — to wreszcie, że rozniecaliście we mnie ambicję bohaterstwa, a nie daliście mi miecza ani tarczy do ręki, to, że przez was i przez siebie i przez

całe moje otoczenie jestem niczem, a mogłem być czemś... Tak kochana Michasiu.

Patrzyła na niego oczami, w których wisały ciężkie łzy. Wargi jej drgały, ale słów nie mogła znaleźć, aby się obronić.

— Jesteś niesprawiedliwy — szepnęła.

— Nie mów mi nic o sprawiedliwości — wołał podnieconym głosem — bo na całym świecie niema sprawiedliwości. Sprawiedliwość mamy na pokaz, ale nie na codzienny użytek. To, co my nazywamy sprawiedliwością, to przypadek. Postanowiłem skończyć raz z tem wszystkim, co nazywa się delikatnością, piękną formą, subtelnem kłamstwem, wszechwygodnem niedomówieniem. We mnie wszystko krzyczy, szlocha — nie mam przeto ani czasu, ani ochoty, aby być kulturalnie sztucznym. Zaczynam więc od ciebie, bo mnie najlepiej zrozumiesz. Chcę ci powiedzieć, że od dziś dnia będę brutalnie otwartym, że od dziś dnia przestanę pisywać listy pełne frazeologii i zacznę milczeć — że ucieknę od was i że nie wiem kiedy wrócę. To jedno może mnie obroni przed tem, abym sobie w łeb nie palnął.

Puścił jej ręce i nie patrząc jej w oczy, zeszedł ciężkim krokiem na dół.

Michasia stała jak przykuta do miejsca, przepojona bólem i żalem. Czuła, że z Augustem stało się coś dziwnego, ale pojąć nie mogła co. Rozumiała tylko, że był rozdrażniony i że ani jednym słowem, ani ruchem nie powinna mu się sprzeciwiać. Ale myśl, że utraciła przyjaźń brata rwała jej duszę na drobniuchne, bolesne cząstki.

Kiedy pani Natalia dowiedziała się o nagłym wyjeździe Augusta, długo w noc nie mogła zasnąć. Czuła, że mimowoli ona przyczyniła się do tego. Robiła sobie wyrzuty za niezręczność i zbytnią otwartość. Najwięcej bolał ją smutek Michasi. Nie miała siły pożegnać się z Augustem, bo bała się, że nie będzie umiała być dostatecznie obojętną. Bądź co bądź żal jej było, że traciła towarzystwo człowieka, który wydawał się być niepospolitym. Słyszała zajeżdżający powóz, potem kroki schodzących, turkot kół i wszystko ucichło.

— Odjechał w świat — pomyślała.

I poczęła sobie wyobrażać drogę, po której będzie musiał jechać.

— Gościniec równy, jak stół, biały od światła księżyca. Cienie przydrożnych drzew przecinają co chwila jadących... Zimny wiatr wieje mu w oczy — co za rozkosz.

Skurczyła się w łóżku.

- Droga wpada w wąwóz, po obu stronach ściany skaliste. Wierzchem rośnie rząd okropnych topoli. Te topole mają kształt olbrzymich cyprysów — niedobrze jechać taką drogą...

Zimno ją obeszło. Jawa kojarzyła się ze snem.

- Cyprysy łączą się wierchołkami ze sobą. Straszne sklepienie wisi nad nim. Droga spada coraz głębiej, niżej, w jakąś otchłań bezdenną. Konie zlekły się cyprysów i gnają, jak szalony, w dół. Księżyc uciekł poza przeraźliwe, wysokie skały. Leć w noc — w dół... Ratujcie go — krzyknęła i przebudziła się z drzemki.

D-R T. KONCZYŃSKI.

Wpływ strejków na socyalizm państwowy.

Strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne, których jesteśmy świadkami i ofiarami, są to zjawiska historycznego znaczenia nietylko przez korzyści i straty, jakie przyniosły, nietylko przez skutki polityczne i ekonomiczne, jakie wywołały, ale i przez doświadczenie życiowe, tudzież dane faktyczne, które świeżo wniosły w dziedzinę nauki, i pociągnąć za sobą muszą przewrót w poglądach teoretycznych o roli państwa w gospodarstwie narodowym.

Liberalna szkoła ekonomiczna, inaczej manchesterską zwana, która w ciągu zeszłego stulecia zajmowała dominujące stanowisko w nauce ekonomii politycznej, powszechnie głosiła, a w niektórych krajach, zwłaszcza w Anglii, z nader pomyślnym skutkiem stosowała zasadę indywidualnej w sprawach gospodarstwa narodowego inicjatywy i działalności, polegającą na tem, iż wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, finansowe, komunikacyjne i wszelkie inne, natury zarobkowej, należą wyłącznie do dziedziny działalności indywidualnej, iż tylko osoba prywatna: jednostka, lub stowarzyszenie, pobudzana przez interes osobisty, może z pożytkiem dla siebie i ogółu wytwarzać dobra materialne; natomiast państwo stać winno po za obrębem wszystkich tych spraw, ograniczać się jedynie zabezpieczaniem wolności osób i mienia świata produkującego, i być, jak się charakterystycznie wyrażano, tylko producentem bezpieczeństwa.

Pod wpływem rozwoju nauki socjalistycznej, przeciwnej indywidualności, a zmierzającej do kolektywizmu, zasada powyższa w ostatnich czasach znacznie osłabła, miejsce jej, miejsce samopomocy jednostki, tudzież mniej lub więcej licznych grup, we wszystkich dziedzinach pracy ludzkiej, zajęła idea rozległej interwencji państwa w sferę spraw ekonomicznych. Wedle socjalizmu, wszelka własność prywatna, kapitał, tkwiący w ziemi, zakładach fabrycznych i wszystkich w ogóle narzędziach produkcji przejść winny w ręce robotników, osobistą swoją pracą do produkcji przykładających się. Miejsce pojedynczych właścicieli: rolników i przemysłowców zająć powinno państwo, w którego rękę ma się skupiać własność wszechrzeczy i ogniskować całkowita produkcja narodowa. Wówczas nie będzie zysków prywatnych, z których tworzą się milionowe fortuny właścicieli zakładów fabrycznych i obszarów ziemskich, a cała przewyżka wartości (Mehrwerth), pochodząca z pracy robotnika, pozostanie w ręku państwa, które rozdzielać ją będzie sprawiedliwie, każdemu według zasług i potrzeb, pomiędzy wszystkimi, którzy przyczyniają się do tworzenia i wzrostu bogactw.

Urzeczywistnienie ideałów socjalistycznych za pomocą stopniowego upaństwowienia środków produkcji, najsilniej rozwijał, z właściwą Francuzom błyskotliwością myśli, Louis Blanc w swoim planie nowej organizacji pracy, która w ustroju gospodarstwa kapitalistycznego znajduje się jakoby w stanie zupełnej dezorganizacji. Opierając się na skonstatowanym w rozwoju przemysłu fabrycznego fakcie, iż konkurencja jest niebezpieczną bronią w rękę silniejszego, rani i zabija słabszego, że dzięki konkurencji wielki przemysł rujnuje i wchłania w siebie przemysł drobniejszy, Blanc proponuje, ażeby państwo wystąpiło do konkurencji w charakterze przedsiębiorcy przemysłowego, a dzięki olbrzymim kapitałom i rozległemu kredytowi, jakimi rozporządza, będzie ono w stanie produkować na tak rozległą skalę i z takim powodzeniem, że żaden prywatny przedsiębiorca konkurencji z niem nie wytrzyma, i w ten sposób z biegiem czasu na gruzach przemysłu indywidualnego, państwo całą produkcję narodową w swoim skoncentruje rękę i wytworzy kolektywne gospodarstwo narodowe.

Znaczna część teoretyków szkoły ekonomicznej, zwłaszcza niemieccy profesorowie z Adolfem Wagnerem na czele, nie godząc się bynajmniej na ostateczne wyniki socjalizmu, zaakceptowali jednak tę część programu socjalistycznego, która zmierza do upaństwowienia przemysłu, a jeszcze bardziej przypadła ona do

gustu niektórym rządóm, które w teorii tej dostrzegły wygodny środek wzmocnienia władzy rządowej i wzbogacenia funduszków skarbowych.

Wiadomo, że Bismark sprzyjał Lassallowi, twórcy pokrewnego z Blanc'em planu produkcyjnych stowarzyszeń robotniczych przy pomocy funduszków państwowych, często z nim konferował, i prawdopodobnie z jego nauk korzystał w późniejszej swojej polityce ekonomicznej. Awanturnicze takie przedsięwzięcie natury ekonomicznej, jak kolonizacja niemiecka polskich prowincyj Prus, rzucające na szalę konkurencyi kilkusetmilionowy kapitał państwowy, mogło powstać tylko w głowie polityka, przejętego teorią o wszechpotężde państwa na polu gospodarzem i zasadami socyalizmu państwowego zgniecenia silniejszym kapitałem państwowym słabszy kapitał prywatny.

W ten sposób rozwinął się w ostatnich czasach pod egidą socyalistów na katedrach (Kathedersocialisten) socyalizm państwowy, głównie w Niemczech i Rosyi. Początek już od dawnych czasów należała do regaliów państwowych, nowoczesny zaś socyalizm państwowy zaczął od skupywania i budowania dróg żelaznych, i w krótkim czasie rządy Niemiec i Rosyi stały się największymi przedsiębiorcami kolejowymi; — za tem poszły rozmaite monopole, jak wódczany i tabaczny, w dalszym ciągu zaczęto zakładać na wielką skalę warsztaty rządowe, głównie dla potrzeb wojska i marynarki, tworzyć instytucje kredytowe, jak banki: państwowy, szlachecki i włościański, wreszcie instytucje ubezpieczeń, jak niemiecką asekurację robotników i t. d. — a idąc ciągle po tej drodze państwa zbliżały się coraz bardziej do urzeczywistnienia programu socyalistycznego, jakkolwiek tylko w kierunku, dogadzającym interesom rządowym, ale zawsze w duchu kolektywizmu.

*

*

*

Pomijamy w tem miejscu szereg pytań, czy państwo zdolne jest za pomocą swoich urzędników, mających zapewniony byt bez względu na rezultaty przedsiębiorstwa, tak tanio i intensywnie produkować, jak osobiście interesowany w przedsiębiorstwie pry-

watny przemysłowiec; czy po opanowaniu całego rynku przez monopolistę państwowego, będącego w możności nakładać dowolne ceny, przemysł rozwijać się będzie ilościowo i jakościowo w tym stopniu, jak to się dzieje przy wolnej konkurencji, nie pozwalającej przedsiębiorczości prywatnej ani na chwilę zdrzemnąć i na laurach spoczywać; czy, pominiawszy już nawet względy ekonomiczne, ze stanowiska socjalnego bardziej korzystną i pożądaną jest armia najemnych urzędników od zastępu samodzielnych pracowników; czy wreszcie państwo, przez kogokolwiek ono będzie reprezentowane i administrowane, skupiwszy w swym ręku olbrzymią władzę i stawszy się wyłącznym dystrybutorem dóbr ekonomicznych pomiędzy wszystkimi członkami, wchodzącymi w skład społeczeństwa, zawsze kierować się będzie tylko względami sprawiedliwości, i istotnie każdemu wydzielać będzie taką porcję, jaka mu się wedle rzeczywistych jego zasług i potrzeb należy, na której to premisie opierają się wszystkie wnioski socjalizmu; — w obecnej chwili zajmuje nas tylko nader drobna w obec powyższych zagadnień okoliczność, iż w miarę rozwoju przez państwo działalności przedsiębiorczej, klasa robotnicza zwracać się do niego zaczyna z temi samemi żądaniami i pretensjami, jakie dotychczas stawiała przedsiębiorcy prywatnemu, że w ten sposób do walki na polu ekonomicznem, która dotychczas rozgrywała się pomiędzy kapitałem a pracą, wciągnięty zostaje rząd, dzięki czemu walka gospodarza zamienia się w polityczną.

Żądaniom ekonomicznym, stawianym przez klasy robotnicze w kierunku polepszenia ich losu, państwo łatwiej zadość uczynić jest w stanie, aniżeli prywatny przedsiębiorca, ten ostatni bowiem wszelkie niedobory pokrywać musi z własnych swoich środków, podczas kiedy państwo deficyty, wynikające z jego przedsiębiorczości przemysłowo-handlowej, ma możność pokryć z kieszeni kontrybuentów podatkowych.

Wynikałoby z tego, że konflikty pomiędzy robotnikiem a pracodawcą są łatwiejsze do załatwienia, kiedy pracodawcą jest państwo. Tak jednak nie jest. Źródła bowiem dochodów państwowych nie są tej natury, ażeby nie dały się wyczerpać, dowodem czego są długi państwowe, w tak kolosalnych cyfrach ciągnane. Z jednej strony konjunktury przemysłowe i handlowe są tak zmienne i przewidzieć się niedające, iż każdego wogóle przedsiębiorcę do ruiny doprowadzić mogą, a najłatwiej tego, kto mało osobiście interesowany w powodzeniu przedsiębiorstwa, nie wnosi do niego całego swego czasu i całego ducha swojego, co właśnie ma miejsce u państwa, które obok interesów zarobko-

wych, ma wiele innych, nierównie ważniejszych, spraw do spełnienia. Przykładów strat, jakie państwu przynieść mogą jego przedsiębiorstwa, dostarcza obficie chwila obecna, kiedy przemysł tak mało podlegający konjunkturom, i mające przytem charakter monopolistyczny, jak koleje żelazne, poczty i telegrafy, popadły wskutek strejków w stan stagnacyi i rozprzężenia. Z drugiej strony i siła podatkowa narodu może na dłuższy lub krótszy czas znacznie osłabnąć, jak to również w Rosyi i u nas obecnie ma miejsce. W takich chwilach, kiedy rządowi z trudnością przychodzi koniec z końcem związać dla zaspokojenia naturalnych i koniecznych potrzeb państwowych, przybywa mu nie lada kłopot wydostania z wyczerpanych kieszeni płatników podatkowych ostatniego grosza dla pokrycia ogromnych strat, wynikłych z lichych interesów, które jak prywatnego, tak i państwowego aferzystę do bankructwa doprowadzić mogą.

W miarę wkładu przez państwo większych kapitałów w przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe, powiększają się, z natury rzeczy, w budżecie państwowym prelininowane pozycye dochodów, przynoszonych przez te przedsiębiorstwa: w budżecie państwa Rosyjskiego dochód z monopolu wódczanego zajmuje nader ważną pozycyę. Strejki, jak widzieliśmy, mogą znacznie wpłynąć na zmniejszenie przewidzianych w budżecie dochodów z przedsiębiorstw, które to dochody przedewszystkiem stale, w cyfrze nie mogącej uleść redukcji, muszą być przeznaczane na procentowanie i amortyzowanie wniesionych do przedsiębiorstw kapitałów, a dopiero pozostała nadwyżka może pójść na zaspokojenie istotnych potrzeb państwowych; jeżeli przedsiębiorstwa te prowadzone są na wielką skalę, kapitały w nich inwestowane są znaczne i przewidziane z nich dochody dochodzą do wielkich rozmiarów,—to deficyty budżetowe, spowodowane przez bezrobocie, mogą nietylko nie dać żadnego dochodu netto z przedsiębiorstw, ale nie starczyć na procent i amortyzacyę, które z konieczności czerpać trzeba z innych pozycyj budżetowych, a tem samem przyczynić się mogą do zachwiania równowagi budżetowej i paraliżowania prawidłowych funkcyj maszyny państwowej.

Strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne są tedy ważną przestrogą, na jakie straty finansowe narażone być może państwo w charakterze przedsiębiorcy przemysłowo-handlowego.

*

*

*

Ewentualność strejków i wyniknąć z nich mogących strat przyjąć musi w rachubę każdy przedsiębiorca, dla państwa zaś noszą one w swoim łonie, obok strat materyalnych, wielkie niebezpieczeństwa natury politycznej.

Od najdawniejszych czasów prowadzi się ustawiczna walka pomiędzy rządzącymi a rządzonymi o granice wolności, — rządzący chcą jej udzielić o ile można najmniej, rządzeni domagają się jej o ile można najwięcej. Walka na tem polu dostarcza dość sposobności do konfliktów, które kończą się niestety zbyt często rozlewem krwi potoków; — bolesnych tych konwulsyj społecznych należałoby ludzkości jak najwięcej oszczędzić, tymczasem rola państwa, jako przedsiębiorcy, przysparza ich przez dodanie do walki politycznej pomiędzy ludem a rządem, walki ekonomicznej pomiędzy tymże ludem, jako robotnikiem, a rządem, jako pracodawcą.

Rząd, który nie jest jednocześnie przedsiębiorcą, nie tylko niema sposobności być wciągniętym w walkę klasową, ale przeciwnie, ma możność łagodzenia tej walki i występowania w charakterze bezstronnego sędziego stron wojujących. Dowodem tego jest interwencya państwa w dziedzinie pracy dzieci i kobiet, urządzeń fabrycznych, ochraniających życie i zdrowie robotnika przy automatycznem działaniu maszyn i t. p. Tego rodzaju mieszanie się rządu w stosunki pomiędzy pracodawcą a robotnikiem nie tylko z żadnej strony na opozycyę nie natrafiło, ale przeciwnie znalazło ogólne uznanie. Z chwilą zaś kiedy rząd staje się sam przedsiębiorcą, powaga jego, jako arbitra, ustaje. Przedsiębiorcy prywatni uważają się za pokrzywdzonych przez nadzór i reglamentacyę ze strony urzędów i inspekcij fabrycznych, od których wolny jest ich silny konkurent państwowy, — robotnicy znowu uważają, iż prawo fabryczne nie może być w stosunku do nich sprawiedliwie wykonywane, skoro sam rząd, jako przedsiębiorca przemysłowy, jest stroną interesowaną.

A komu lepiej, aniżeli państwu, przypada rola rozjemcy pomiędzy różnorodnemi interesami walczących ze sobą klas społeczeństwa, kto może mieć więcej powagi i siły w dziele łagodzenia i ukrócenia wzajemnych antagonizmów? Tymczasem państwo wstępując w roli strony wojującej na pole bitwy, zamienia ją na bellum omnium contra omnes, w której niema komu przyjąć roli pośredniczenia i pojednania, i zamiast uspokoić walkę, lub nadać jej charakter łagodniejszy, przez interwencyę swoją tylko ją zaostrza i zaognia.

Obok tego, o ile walka ekonomiczna za pomocą strejków rozgrywa się pomiędzy prywatnym przedsiębiorcą a jego robotnikami, ogół społeczeństwa, jakkolwiek nieraz silnie przez to w interesach tych poszkodowany, spogląda na walkę jako toczącą się pomiędzy osobami obcemi, może sympatyzować z jedną lub drugą stroną, ale sam jako osoba trzecia do walki się nie wtrąca, i zachowuje się względem niej biernie; z chwilą zaś kiedy stroną walczącą staje się rząd, reprezentujący ogół społeczeństwa, tenże ogół uważa się sam za stronę wojującą, w walce czynny bierze udział, solidaryzuje się ze strejkującymi, i za wszystkie skutki bezrobocia czyni odpowiedzialnym rząd, obwiniając go, jako stronę silniejszą, o złą wolę lub niedołęstwo, a skutkiem tego i sam rozmiar bezrobocia i jego wyniki nabierają większego znaczenia, aniżeli w przedsiębiorstwach prywatnych.

Przytem do wybuchu strejku istnieje daleko obfitszy materiał palny w przedsiębiorstwach państwowych, aniżeli prywatnych. W tych ostatnich bezrobocie może być wywołane ze strony robotników przez żądanie podwyższenia płacy, skrócenia dnia roboczego i inne tego rodzaju postulaty, mające na celu polepszenie bytu robotnika; w przedsiębiorstwach natomiast rządowych niezależnie od tych postulatów ekonomicznych, strejki stawiają żądania natury politycznej. W historii strejków nie znajdujemy żadnego, któryby był tak skomplikowany i trudny do załatwienia, jak rosyjskie strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne. Płatały się tu sprawy najrozmaitszej natury: ekonomiczne, wolnościowe, narodowościowe, osobiste i t. p.; zaledwie zdołano się uporać z jednymi, wnet wystąpiły drugie, jedne utrudniały załatwienie drugich.

Dzięki organizacyom robotniczym, strejkujący otrzymują przez czas bezrobocia od swoich towarzyszków zasiłki z funduszków, jakie na ten cel stan robotniczy specjalnie gromadzi. Oznaczną się pod tym względem angielskie *Trades Unions*, których kasy strejkowe do znacznych dochodzą rozmiarów. O ile nie następuje wcześniejsze porozumienie pomiędzy pracodawcą a robotnikami, to z wyczerpaniem się funduszków zasiłkowych kończyć się musi bezrobocie. Inaczej w przedsiębiorstwach państwowych. Tu robotnik uważa się za rycerza, walczącego nie tylko we własnym i klasowym interesie, ale w interesie i dla dobra całego ogółu, a skutkiem tego poczytuje się za uprawnionego do żądania poparcia i pomocy ze strony tegoż ogółu, a ten poczuwając się ze swej strony do obowiązku wzajemności, spieszy robotnikom z pomocą i zasila kasy strejkowe. Nie dość na tem, podczas

rosyjskiego strejku na drogach żelaznych, za przykładem pracowników kolejowych poszli robotnicy zakładów prywatnych, którzy działali z nimi w imię solidarności całego stanu czwartego; ponieważ powszechny ten strejk uważany był za wymierzony nie przeciwko pracodawcom, ale przeciwko rządowi, za środek do zdobycia wolności, przeto właściciele prywatnych zakładów, pomimo znacznych strat, jakie im strejk przyczynił, nie mogli uchylić się od płacenia strejkującym za czas, w którym fabryki były bezczynne, co się nigdy nie dzieje, kiedy strejk zamyka się w granicach sporu o warunki płacy pomiędzy robotnikami a fabrykantami. — Okoliczności powyższe składają się na to, że i czas trwania strejku przeciąga się dłużej, kiedy w grę wchodzi rząd w charakterze przedsiębiorcy.

Strejki, jako zjawisko nader często w ostatnim stuleciu się powtarzające, dały już możność zaobserwowania pewnych praw ogólniejszych, wedle których one się przejawiają; uczyniono mianowicie spostrzeżenie, że w czasach pomyślnych dla rozwoju przemysłu szanse zwycięstwa są po stronie strejkujących robotników, wówczas bowiem z jednej strony zapotrzebowanie robotnika jest większe, może on zatem podnieść cenę swej pracy, a z drugiej strony przedsiębiorca, mając obstalunki i zapewniony zbyt swej produkcji, silnie jest zainteresowany w tem, aby zakład jego był czynny i nie doznał przerwy w robocie, staje się zatem skłonny do ustępstw; natomiast w czasach zastoju przemysłowego klęska strejkujących robotników jest niewątpliwa, już to dla tego, że wówczas podaż pracy robotniczej jest większa, niż jej zapotrzebowanie, już też dla tego, że przedsiębiorca pracuje wtedy często bez zysku, albo nawet ze stratą, i korzystniej dla niego jest zamknąć na pewien czas fabrykę, aniżeli podwyższać cenę pracy robotnika. W Anglii w pomyślniejszych latach 1872 i 1873 na 29 strejków robotnicy odnieśli zwycięstwo w 18 razach, natomiast w niepomyślnych latach 1878 i 1879 na 121 strejków ponieśli klęskę w 116 strejkach.

Na przebieg tedy bezrobocia, o ile ono zamyka się w granicach ekonomicznych, wpływają czynniki natury również ekonomicznej; rachunek ewentualnych korzyści lub strat z jednej i drugiej strony odgrywa tu przeważną rolę. Czyż te same czynniki mogą być decydującymi wówczas, kiedy w charakterze przedsiębiorcy występuje państwo, względem którego społeczeństwo inne stawia wymagania, aniżeli względem fabrykanta płócienek lub łopat? Wszakże w wypadkach głodu, wywołanego przez klęski elementarne, państwo poczuwa się do obowiązku przychodzenia

z pomocą ludności nim dotkniętej, czyż mogłoby ono zatem patrzeć obojętnie na głód robotników własnych swych warsztatów i usprawiedliwić tę obojętność brakiem zbytu na swoje wyroby?

Właściciele np. przędzalni w Preston mogli w r. 1853 z angielską flegmą przyglądać się przez 9 i pół miesiąca między 17000 ludności roboczej i doczekać się chwili, kiedy po zastawieniu i wyprzedaniu całej swej chudoby, po przebyciu wszystkich męk bezczynności i głodu, wynędzniała i wygłodzona wróciła do pracy na dawnych warunkach. Czyż z równą bezwzględnością mógłby się przyglądać tej tragedii rząd, gdyby robotnicy ci w jego pracowali zakładach? czyż opinia publiczna byłaby równie pobłażliwą dla rządu, mającego obowiązek dbać o dobro swego ludu, jak nią była dla przedsiębiorcy prywatnego, który bądź co bądź w interesach swych kierować się musi kalkulacją handlową, a nie względami filantropijnymi?

Czuając, iż po stronie strejkujących jest sympatya ogółu, żywioły rewolucyjne nie omieszkały z tego korzystać, i bezrobocia stały się w ich ręku najdogodniejszą i najchętniej używaną bronią w walce z rządem. Dotychczasowe środki rewolucyjne jak barykady, starcia zbrojne, zeszyły na plan drugi, a na front wysunięte zostały strejki. Siła ich nie w czynie, ale w bierności, a nierównie trudniej złamać bierny, aniżeli czynny opór. Bezrobocie rzadko się kończy krwi rozlewem, a natomiast tamuje cyrkulację krwi w żywym organizmie społecznym,—paraliżuje funkcje administracyjne i wojskowe maszyny państwowej, wstrzymuje bieg handlu i przemysłu, obniża skalę ogólnego dobrobytu, rujnuje tak robotników, jak ich pracodawców, zuboża naród cały. Każda rewolucya ujemnie oddziaływa na stosunki ekonomiczne kraju, ale żadna w tym stopniu, jak rewolucya strejkowa, rozgrywająca się właśnie na terenie ekonomicznym.

A broń tę rząd sam przeciwko sobie ukuł swoim socyalizmem państwowym.

Bezrobocie, dziecię fabryki, tam zrodzone i wychowane, nie wyszłoby po za jej mury, gdyby rząd nie był wszedł do fabryki, i sam nie wyprowadził bezrobocia na szeroką arenę państwową. Proletaryat robotniczy uchwyciwszy raz za broń strejkową w walce z rządem, jako swym pracodawcą, nie złożył już jej, dopóki nie rozprawił się z tymże rządem, jako władcą jego praw, — skorzystał on ze sposobności, ażeby upiec przy jednym ogniu dwie pieczenie, załatwić swe rachunki z rządem w jednej osobie, jako przedsiębiorcą i zwierzchnikiem władzy państwowej.

Likwidacja nastąpiłaby nierównie łatwiej, gdyby istniał należyty podział pracy, gdyby mianowicie rachunki z robotnikami załatwiał pracodawca prywatny, a z obywatelami rząd.

*

*

*

Celem przeciwdziałania zgubnym dla państwa następstwom ze strony strejkującego personelu urzędniczego i robotniczego w przedsiębiorstwach państwowych, podniesioną została w najnowszych pracach prawodawczych myśl zaliczania wszystkich pracujących w zakładach rządowych do grona urzędników państwowych i karania ich w tym charakterze za niewykonywanie obowiązków służbowych. W tym duchu zapadły prawa w Holandyi i Włoszech, a we Francyi znajduje się na porządku dziennym odpowiednio przygotowana ustawa.

W świeżo wydanych w Rosyi przepisach o strejkach pociągani są do odpowiedzialności kryminalnej urzędnicy i robotnicy na kolejach skarbowych lub prywatnych i wogóle w takich przedsiębiorstwach, w których przerwanie lub wstrzymanie działalności grozi bezpieczeństwu państwa, lub wytwarza możliwość nieszczęścia ogólnego. Przepisy te z innego tedy wychodzą stanowiska: nie czynią różnicy pomiędzy robotnikiem zatrudnionym w państwowych a prywatnych zakładach, lecz pomiędzy przedsiębiorstwami, w których bezrobocie może wywołać dla państwa lub społeczeństwa ogólne nieszczęście, a wszelkimi pozostałemi przedsiębiorstwami.

Idzie tu naturalnie głównie o przedsiębiorstwa państwowe; gdyby tu w grę nie wchodziły względy fiskalne, silnie dotknięte przez strejki w przedsiębiorstwach skarbowych, tudzież powaga rządu, naruszona przez nieposłusznych urzędników i robotników państwowych, prawodawstwo rosyjskie nie zostałoby prawdopodobnie wzbogacone przepisami przeciwstrejkowemi, wydanemi pod naciskiem chwili, w widokach zażegnania srożącego się bezrobocia, z pogwałceniem zasad prawnych, socyalnych i ekonomicznych, dotychczas za niewzruszalne uznawanych.

Definicja przepisów, wedle której karani są uczestnicy strejków w przedsiębiorstwach, w których bezrobocie grozi bezpieczeństwu państwa lub społeczeństwa, wytwarza trudności w wyznaczeniu granicy pomiędzy wspomnianymi przedsiębiorstwami a takimi, w których bezrobocie skutków tych za sobą nie pociąga; stosunki bowiem społeczno-ekonomiczne stanowią taki łańcuch wzajem ze sobą wiążących się przyczyn i skutków, iż niekiedy zepsucie się jednego pośredniego ogniwa, może cały łańcuch przerwać, i z przedsiębiorstwa na pozór bardzo niewinnego uczynić zgubne w następstwach dla państwa lub ogółu. Bierzymy modo exempli kopalnie węgla. Czy je zaliczyć do przedsiębiorstw, w których bezrobocie spowodować może nieszczęście ogólne? Nie sądzimy, ażeby interpretacja prawna mogła tak szeroko być stosowaną, a jednak bezrobocie to może wywołać brak węgla dla dróg żelaznych, a skutkiem tego i przerwę komunikacji. Wiadomo, że nieporządki w przemyśle naftowym wstrzymały niedawno żeglugę i kursowanie pociągów na drogach żelaznych we wschodniej Rosyi. Prawo zatem o bezrobociach w przedsiębiorstwach użytku publicznego musi być rozciągnięte do kopalni węgla i przemysłu naftowego, a w dalszej konsekwencji trudno będzie znaleźć gałęź przemysłu, do któregooby ono zastosowania nie znalazło. W ten sposób przepisy przeciwstrejkowe jeżeli nie rozciągają swej siły obowiązującej do wszystkich przedsiębiorstw, to w każdym razie do licznych ich kategorii, nierównie liczniejszych, aniżeli by to z tekstu prawa zdawać się mogło.

W tych wszystkich zatem przedsiębiorstwach, których ogroму przewidzieć nie można, umowa o najem pracy pomiędzy robotnikiem a przedsiębiorcą przestaje na mocy powołanych przepisów być aktem wolnej woli pomiędzy dwiema równouprawnionymi stronami kontraktującymi, a w jej miejsce wstępuje akt posłuszeństwa podwładnego względem zwierzchnika; bezrobocie przestaje być dozwolonym przez prawo środkiem wywarcia przez robotnika nacisku dla uzyskania korzystniejszych warunków umowy, który to środek służy i pracodawcy w stosunku do robotnika przez wymówienie roboty, a staje się kurygodnym czynem buntowniczym ze strony podwładnego przeciwko władzy zwierzchniej.

Po zniesieniu średniowiecznego poddaństwa wszystkie prawodawstwa usunęły ze swych kodeksów pracę przymusową; każde zobowiązanie wykonania roboty, w razie niewykonania jej, pociąga za sobą tylko obowiązek wynagrodzenia spowodowanych przez to szkód i strat (art. 1142 kodeksu Napoleona), tak samo,

jak niewykonanie każdego innego zobowiązania; ustanowienie przez przepisy przeciwstrejkowe kary kryminalnej za niewykonanie roboty, stanowi krok wsteczny w prawodawstwie nowoczesnym, jest to powrót do owych czasów, kiedy to pan feudalny mógł zmuszać swych poddanych do robocizny, albo majster cechowy więzić swoją czeladź za opuszczenie warsztatu, kiedy to chłop był *glebae adscriptus*, do ziemi przytwierdzony, w ten sam sposób, jak to obecnie chce się robotnika do fabryki przytwierdzić.

Pomimo takiego gwałcenia zasady wolności pracy, stanowiącej podwalinę nowoczesnego prawodawstwa, wątpliwem jest czy ono osiągnie cel zamierzony. W normalnym biegu życia politycznego i ekonomicznego do tak radykalnych środków uciekać się niema potrzeby, w czasach zaś ogólnego podniecenia umysłów, kiedy do bezrobocia przystępują dziesiątki i setki tysięcy pracujących, jak to obecnie ma miejsce, represya prawa kryminalnego staje się bezsilną; w tłumie strejkującym znaczna jego część porzuca robotę wbrew własnej woli, już to w imię solidarności koleżeńskiej, już to pod groźbą fizyczną, lub moralną, rewolweru, lub opinii publicznej, — a gdzie człowiek działa nie pod wpływem wolnej, niewymuszonej woli, tam o poczytalności prawnej mowy być nie może i tłumami tego rodzaju przestępców niepodobna zapełniać cel więziennych.

Krótki czas istnienia tych przepisów stwierdził już niemożliwość ich stosowania odnośnie do tych strejkujących, którzy przewidziane przez te przepisy przestępstwa popełnili już po ich opublikowaniu.

A gdyby nawet przepisy przeciwstrejkowe okazały się skutecznymi i wstrzymały robotników od bezrobocia, to zachodzi pytanie, jaką to wartość ekonomiczną może mieć praca, w takich wykonywana warunkach. Strach, przymus nie są twórczemi czynnikami pracy. Doświadczenie przekonało, że najgorszym na świecie robotnikiem był zawsze niewolnik, — starożytne niewolnictwo, średniowieczne poddaństwo zniesione zostały nietylko ze względów humanitarnych, ale i ekonomicznych, — czyż o wiele wydajniejszą od niewolniczej, lub poddańczej, będzie praca robotnika, dla którego bodźcem do pracy jest groźba kary kryminalnej? a rezultatów finansowych pracy żadne przedsiębiorstwo, nie wyłączając rządowego, lekceważyć nie może.

Pocieszać się należy tem, iż przepisy przeciwstrejkowe noszą charakter tymczasowy i obowiązują mają tylko do chwili wydania ogólnego prawa o strejkach. W czasie tego interregnum

zasadnicze i praktyczne wadliwości przepisów prawdopodobnie o tyle się uwydatnią, iż zamknięty dla nich będzie wstęp do stałego, bodajby na lepszych zasadach, zbudowanego prawa.

*

*

*

Pierwsze tedy eksperymenty socjalizmu państwowego, polegającego na upaństwowieniu dróg żelaznych i innych wielkich przedsiębiorstw, wydały wyniki niezadawalające, i staną się może przykładem, odstrasającym dla wszystkich tych, którzy w ślady te wstąpić pragnęli, lub dalsze w tym kierunku postępy uczynić chcieli. Przyniosły one klęski ekonomiczne i polityczne, nie przyczyniły się do usunięcia walk klasowych, a przeciwnie jeszcze je bardziej zaostrzyły. Przepisy przeciwstrejkowe, to wysiłek dla uratowania bankrutujących przedsiębiorstw państwowych, wysiłek błędny w założeniu i bezskuteczny w wykonaniu, bo oparty na pracy przymusowej, przez naukę i praktykę potępianej, nad którą prawodawstwa europejskie dawno już przeszły do porządku dziennego. Usunięcie wszelkich ograniczeń, któremi prawa feudalne krępowały swobodę pracy i zastąpienie ich przez zupełną wolność umowy o najem pracy, z tem jedynie zastrzeżeniem, ażeby ona w interesie robotnika była ograniczona co do czasu trwania i rodzaju zajęć (art. 1780 kodeksu Napoleona), to są zdobycze szkoły ekonomicznej, której za godło służyła zasada: *laissez faire, laissez aller*; przymus pracy, przywrócenie stanowczo już usuniętych robót siłą wymuszanych, to plon nauki socjalistycznej, w której teoryach i praktyce spoczywa zawsze na dnie przymus w tej, lub innej formie.

Gorzkie doświadczenie, które przyniosły w Rosyi strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne, a po części i bojkot monopolu wódeczanego, może w znacznym stopniu wpłynąć z jednej strony na poglądy teoretyków, a z drugiej strony na politykę rządów w sprawie upaństwowienia przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych, a tem samem strejki na tak olbrzymią skalę przez partie socjalistyczne wywoływane i przeprowadzane, zamiast zbliżyć

ureczywistnienie programu socjalistycznego, mogą wywołać skutek wprost przeciwny zamierzonemu, przez wstrzymanie i zaniechanie upaństwowienia środków produkcji, a zapowiedzią tego są wieści, jakoby rząd rosyjski nosił się już z zamiarem wyzbycia się niektórych ze swych przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych. Znamiennem również jest i to, że sami socjaliści placówkę tę porzucają, i taki koryfeusz szkoły, jakim jest Kautsky, uważa, że w obecnych warunkach upaństwowienie środków produkcji pożądanę jest w wyjątkowych tylko wypadkach. Jest to nowy dowód, jak kruchym się staje socjalizm, ilekroć z obłoków teorii zstępuje na grunt praktycznego zastosowania.

J. KIRSZROT-PRAWNICKI.

Patryotyzm Słowackiego.

Jest to jedno z najważniejszych, a zarazem najmilszych zadań krytyka odtwarzać całość duchowego rozwoju poety na podstawie fragmentów jego ducha, jakie wyłaniają się z dzieł poszczególnych i z wypadków życia.

Pragnąłbym przyczynić się nieco do spełnienia tego zadania krytyki względem twórcy „Króla — Ducha.“

Z wielostrunnej harfy jego duszy chcę wybrać strunę jedną i jej istotę, jej rozwój, jej znaczenie w poezji Słowackiego według sił przedstawić.

Struną tą — patryotyzm Słowackiego.

I.

O patryotyzmie poety przed rokiem 1830 nie wiele da się powiedzieć i sąd stanowczy o nim wydać trudno.

W otoczeniu młodego Słowackiego nie brak było patryotycznego tonu. Rodzina Januszewskich była rodziną szczerych patryotów. Jan Januszewski w powstaniu życie złożył ojczyźnie w ofierze, a że czyniąc to, postępował zgodnie z uczuciami rodziny, że spełniał przez to życzenie rodziców, tego dowodem słowa poety, napisane po otrzymaniu wiadomości o śmierci Jana do dziadka i babki: „Teraz możecie być dumni z waszego syna.“ Wrażliwy na piękno, ukochał Słowacki przyrodę ojczystą, wrażliwy na wpływy obce, z rodziny i ze szkoły krzemienieckiej czerpać mógł zarodki patryotyzmu. Nie mógł osłabiać tych wpływów ojczym poety, dr. Becu, bo ściślejszy, serdeczniejszy stosunek nigdy ich, zdaje się, nie łączył. Ale w czasie rozkwitu uczuć młodzieńczych brakowało jednego czynnika, ważnego dla rozwoju mi-

łości ojczyzny — brakowało uspołecznienia takiego, jakie zdobył Mickiewicz w gronie swoich przyjaciół.

Jest to cechą natur nerwowych i nadmiernie wrażliwych — a naturą taką był Słowacki — że uczucie potężnieje u nich dopiero wtedy, gdy silnym ciosem zostanie zranione. Wyobraźnia i wrażliwość ich za mało pokarmu znajduje w uczuciach spokojnych, rozwijających się bez przeszkody i zwraca się raczej ku tym uczuciom, które daremnie zaspokojenia się domagają. Zbyt młody, by jasny, realny cel mieć przed oczyma, oddawał się Słowacki, podniecany przez Spitznagla, nieokreślonej, wybiegającej po za świat rzeczywisty tęsknocie i powoli rozwijał w sobie żądzę nieokreślonego ideału, która stać się miała zasadniczą cechą jego indywidualności. Nieszczęśliwa miłość cień przedwczesny rzuciła na jego duszę i wytworzyła w nim poczucie pustki wewnętrznej, którą on zapewniał tem, co mu dawała literatura, dostrojona do smętnego tonu duszy, i fantazyja. W świecie, jaki tworzył sobie zgorzkniały poeta, nie brak było i pierwiastków patryotycznych: myśli o walce narodowej przeciw wrogom (Mindowe), o obowiązkach względem ojczyzny (Bielecki) — ale nie wznosiły się one siłą swą ponad inne pierwiastki.

Jak u Mickiewicza, tak i u niego ton utworom młodości dało przedewszystkiem osobiste cierpienie.

Patryotyczne tony w poezyi jego miały wtedy charakter ogólnikowy; ani razu indywidualny stosunek poety do ojczyzny nie wyraził się w młodzieńczych utworach.

To też bez względu na to czy się pewne fakty z młodości Słowackiego uważa za dowody braku patryotyzmu (jak to czyni prof. Tretiak), czy też z patryotyzmu rodziny Januszewskich i z ducha szkoły krzemienieckiej wyciąga się wnioski eo do patryotycznego kierunku wychowania poety — w każdym razie przypuszczać należy, że u młodego Słowackiego miłość ojczyzny nie była jeszcze uczuciem górującem.

Ze przypuszczenie to jest słuszne, dowodem „Godzina myśli.“ Ów „romans życia, nieskłamany w niczem,“ nie uwzględnia wcale pierwiastku patryotycznego we właściwym tego słowa znaczeniu; podaje tylko czynnik pewien, który jako zarodek patryotyzmu mógł i musiał odegrać ważną rolę: estetyczne działanie rodzinnej przyrody na poetę.

W pamiętniku, małym młodość Słowackiego, dwa razy tylko spotykamy patryotyczny pierwiastek: przy końcu rozdziału X, pisanego w Paryżu 20 lipca 1832 r. i przy końcu rozdziału XIII, pisanego w dwa dni później; pierwszy z ustępów tych (wrażenie

wycieczki do Tulczyna) nie daje dostatecznej podstawy do wydania sądu o uczuciu Słowackiego, drugi dotyczy nastroju jego w Paryżu. Dopiero znacznie później wspominał Słowacki w jednym z utworów o swym młodzieńczym patryotyzmie, mówiąc we fragmencie „Poeta i natchnienie“

. W myślach moich zamęt
 Zwątpienie było, rozpacz nad ubitą
 Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
 Coby w niej martwej chodził siłą skrytą,
 Jak krew żyjąca?... taki był mój lament,
 Który me oczy wnet zamienił w sito,
 Siejące perły łez ¹⁾.

II.

W chwili wybuchu powstania Słowacki duchowo był jeszcze nieprzygotowany. Powstanie rozpało i wprawdzie wyobraźnię jego i pobudziło go do napisania kilku utworów patryotycznych i podpisania się na „Akcje jedności;“ poeta sam jednak nie tylko w walce nie brał udziału, lecz w r. 1831 nagle opuścił Warszawę. Gdyby zachowanie się jego w czasie powstania miało być nważane za dowód braku patryotyzmu, to raczej należałoby zarzucić mu bezczynny pobyt w Warszawie, niż wyjazd, dający się łatwo wytłómaczyć czy to niechęcią chorowitego młodzieńca do walki, czy też bolesnem wrażeniem broszury Lelewela (rozdziału p. t. „Obwinienia“). Patryotyzm jego nie był jeszcze tak silny, by zwyciężyć wszelkie względy uboczne i egoistyczne.

Ale gdy Słowacki z kraju wyjechał i gdy niedługo potem szczęście opuściło powstańców i straszna katastrofa kres położyła nadziejom, wtedy to uczucie miłości ojczyzny doznało podniecia, której mu dotąd brakowało, a która wobec właściwej Słowackiemu organizacji psychicznej, zapewniła mu ciągle potężnienie; uczucie to, już dawniej zaprawione smutkiem, zostało silnie zranione, stało się uczuciem nawskroś bolesnem i to potrójnie bolesnem: z powodu opuszczenia kraju, z powodu poczucia osobistej winy, wreszcie z powodu nieszczęść ojczyzny.

Na obczyźnie budzi się w pociu tęsknota za krajem; i on mógł wyrzec słowa, któremi Mickiewicz rozpoczął „Tadeusza.“

¹⁾ Por : Grabowski, Młodość Słowackiego („Bibl. Warsz.“ 1905, str. 25).

Tęsknił za ojczyzną jako artysta i jako Polak: „Mamo kochana,“—pisał—„śliczny kraj opuściłem i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić“ (17 marca 1831 r.) ¹⁾ „Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy.“ (24 stycznia 1832 r.) ²⁾

„Wierzby płaczące na brzegach Sekwany“ smutne były dla tęskniącego według słów wiersza p. t. „Paryż“ „jak wierzby Eufratu.“ A silniej jeszcze wyraził tęsknotę we francuskim tekście wiersza tego, wpisanym do pamiętnika Kory Pinard:

Et je m'égare au loin, je rêve sous les ombres
 Du sapin murmurant dans nos tristes forêts
 Dans nos champs sablonneux, où les sombres genêts
 Roulent leurs vagues d'or. Oh! qui voudrait me suivre
 Parmi ces verts bosquets, étincelants de givre,
 Où le vent fait neiger des cerisiers fleuris,
 Ces fleurs, dont sur la terre il sème les débris
 Et maintenant! tandis que les flots de la vie
 M'emportent sans retour au loin de ma patrie,
 J'oubliai, je le crains, au moment de partir
 De la bien regarder pour m'en ressouvenir.

Wyrzuty sumienia z powodu wyjazdu odczuwał Słowacki zaraz po opuszczeniu kraju: „Zdawało mi się, że uciekam i teraz jeszcze często klóczę się z mojem sumieniem“ (17 marca 1831 r.). 6 lipca 1831 r. pisał, że „nie jest godzien, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał.“

Chwilowo tylko przytłumiła przykre uczucie powierzona mu misya dyplomatyczna. „Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi“—pisał z Londynu 6 sierpnia i pod chwilowem wrażeniem powodzenia tego twierdził: „Rodzina nasza (t. j. Polska) będzie zdrowa.“

Ale rychło wróciło poczucie winy i spotęgowało się jeszcze, gdy Słowacki musiał swój wyjazd porównać z postępowaniem wuja, Jana Januszewskiego. To też w liście z dnia 24 stycznia 1832 r. mówi: „Jeżeli umarł, zazdroszczę mu,“ a do dziadka i babki pisze: „Teraz możecie być dumni z waszego syna, który tak skończył, jakbym ja kiedyś życie chciał zakończyć, i przyjdzie

¹⁾ Daty, podawane przy cytatach oznaczają list do matki z dnia wymienionego.

²⁾ Podobnie 3 stycznia 1834 r. „O gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym teraz wydaje.“

jeszcze chwila.“ W liście zaś z d. 4 października 1832 r. ponawia wobec dziadka i babki obietnicę spłacenia długu ojczyźnie.

Myśl o winie wobec Polski dręczy go ustawicznie. „Ty wiesz, droga moja—pisze do matki 29 listopada 1835 r. z Genewy—, że ja *nic nie zrobiwszy dla naszej kuzynki* (t. j. dla Polski) nie mam prawa upominać się o szczupły zasiłek, jaki mają jej synowie z szcudrośliwości tutejszej. Ty wiesz o tem, ty wiesz, że ja mam na sumieniu, że *za mało czuwał nad nią, kiedy chora leżała*. Ja mam także sumienie, a jeżeli stetryczniał, to nie mało się do tego przyczyniła ta myśl, że *nieużyteczny byłem, jak chwast*, a każdy smutek w mojem życiu zdaje się być słuszną karą Boga.“

Po latach jeszcze z goryczą powie (w „Rozmowie z Mokryną“):

„Godności nie mam, od męki uciekłem.“

Obok poczucia winy własnej smuciły go nieszczęścia Polski

And we shall be not free, but thentonian slaves
And shall have our laws, given, but unobserved.

[wiersz angielski ¹⁾], podany w liście 20 paźdz. 1831].

Czasem wprawdzie budzi się w nim nadzieja, którą ogłędnie wyraża, mówiąc o Polsce, jako o kuzynce: „Wszyscy, co ją kochamy, mamy nadzieję; kiedyś więc może przywiezę do was tę kochaną dziewczynę“ (4 lipca 1832 r.).

Ale częściej smutkiem tchną wzmianki o „kuzynce“ i wówczas, gdy ogół emigracyi żywi gorączkowe nadzieje, on z boleścią mówi, że „na jej słabość niema lekarstwa“ (31 lipca 1832).

Przyczyniają się do budzenia takich myśli ziomkowie, których on sądzi z surowością człowieka, stojącego samotnie na uboczu, chociaż się od życia emigracyjnego nie usuwa i w chwili potrzeby umie brać w niem udział zaszczytny. ²⁾ Ziomkowie to go gniewają, to nudzą, to smucą.

„Smutno! Smutno!“—pisał 8 grudnia 1832 r.—„Mamy tu niektóre zabijające recepty, przez waszych wydawane doktorów, a okropność zdejmuje widząc, że już trucizn używają.“

Owe trzy czynniki, składające się na wzrost uczucia miłości ojczyzny, wywierają wpływ stanowczy na twórczość poety i na-

¹⁾ Słowacki udziela tu matce wiadomości politycznych w formie niby wiersza angielskiego.

²⁾ Por. list z dn. 8 grudnia 1832 (sprawa medalu dla Lafayette'a).

bierają pierwszorzędnego znaczenia w czasie, gdy poeta przechodzi z epoki byronizmu do nowej fazy twórczości.

Pierwszym utworem, który wyrasta z nowego stanu uczuciowego, jest „Lambro.“ Jeszcze jest Słowacki nawskroś byronistą, byronizm dochodzi nawet w „Lambrze“ do szczytu, ale dochodzi do szczytu dlatego, że nowe uczucia, nie umiając jeszcze stworzyć sobie nowej formy, wyrazu szukają w spotęgowaniu dawniejszej.

O utworze swym sam poeta mówi przez usta śpiewaka-Greka, że „miłość go kraju i rozpacz uprzedły.“ A jak ważną rolę w tej rozpaczcy grało poczucie winy, poczucie, że życia żałował wtedy, gdy poświęcić je należało i gdy poświęcić je było szczęściem największym — tego dowód znajdujemy zaraz w pierwszym ustępie. Oto gdy pierwszą wzmiankę czyni o ludziach, zamieszkujących Grecyę, powiada:

A ludzie — cierpią, że umrzeć nie śmieli.

Tragizm poematu dosięga szczytu, gdy w duszy bohatera brzmią słowa wyrzutu:

Czemuś nie skonał, gdy wszyscy skonali?

I oto mówi on:

Że nie zginąłem, życie mam za karę;
A to piekielna kara niebios — życie —
Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny.
Co razi serce, tonące w zachwycie

.
To okropnie

Stać jako posąg na ojczyzny grobie.

Mówi tak nie Lambro—mówi tak sam Słowacki. Posłuchajmy słów pamiętnika:

„Jestem posągiem Memnona, postawionym na grobie mojej ojczyzny.“

Dalszym ciągiem „Lambra“ jest pod pewnym względem „Kordyan,“ mianowicie jego akt III. Nie darmo wziął poeta motto „Kordyana“ z „Lambra.“ Spisek koronacyjny wypłynął przede wszystkim może z owego wyrzutu sumienia i miał być usprawiedliwieniem poety — nie przed ogółem, lecz przed samym sobą. Przedstawił Słowacki, co by się z nim było stało, gdyby nie był opuścił Warszawy i gdyby był wziął udział w narodowej walce przedstawił, że wrażliwość jego i nerwowość czynią go niezdol-

nym do czynu i że uczestnictwo jego w powstaniu Polsce nie byłoby przyniosło korzyści, jemu samemu zaś byłoby zgotowało zgubę.

Tak pojmując znaczenie III aktu, zrozumieć można dopiero jego związek z poprzednimi. „Kordyan“ rozpoczyna się, jako autobiografia. Czując, że zaczyna się w życiu jego nowa epoka, Słowacki czyni rachunek sumienia, zdaje sobie sprawę z przeszłości. Czyni to najpierw w „Godzinie myśli,“ następnie w „Kordyanie,“ który jest ściśle z „Godziną myśli“ złączony dramatycznym ciągiem dalszym owego „romansu życia“ i chociaż nie podaje wiernej autobiografii pod względem faktów i zewnętrznych akcesoryów, jest jednak w pierwszych dwu częściach zupełnie wierną autobiografią pod względem nastroju i przedstawionej ewolucji duchowej. Nagle w III części — w najistotniejszej części poematu — urywa się wątek autobiograficzny. Ale tylko pozornie — w rzeczywistości bowiem, jak sądzę, ściśle się część ta łączy z historią ducha poety, jako przypuszczalny ciąg dalszy autobiografii, będący usprawiedliwieniem przed samym sobą.

Obrona ta jest jednak zarazem oskarżeniem — oskarżeniem, którego ton bolesny słyszymy w dodanym do „Bieleckiego“ wstępie, w opisie wrażeń, doznanych w Westminsterze:

. Przebiegałem chmurny
 Ów pałac zmarłych z uczuciem przestachu,
 Bo ja sam byłem, jak umarły w gmachu,
 A oni żyli
 Samotny wracam dziś i codzień
 W dziedziniec, głazem grobów brukowany,
 Po których stąpa niemyślny przychodzień.
 Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem.

Obok obrony własnej i oskarżenia tkwi w „Kordyanie“ (jak po części i w „Lambrze“) także akt oskarżenia narodu, w którym jedni działać nie chcą, a drudzy nie umieją, i który wskutek tego nie dorósł do swego zadania.

„Kordyan“ oznacza zapowiedziany już przez „Lambra“ punkt zwrotny w twórczości i życiu Słowackiego. Decydujący w tem przejściu czynnik wskazuje sam Słowacki w monologu Kordyana na Mont-Blanc — jest nim spotężnienie patryotyzmu.

O jednej przyczynie tego spotężnienia już mówiłem: była nią ta okoliczność, że uczucie miłości ojczyzny zostało silnie zranione.

Druga przyczyna, podobnie jak poprzednia, łączyła się ściśle z ogólnym stanem duchowym poety. Natura jego domagała się jakiegoś punktu oparcia. Oddalony od rodziny, w niej oparcia szukać nie mógł. W ludziach, z którymi się zetknął po opuszczeniu kraju, również go nie znalazł. Z przyjaciół, do których się na obczyźnie przywiązał, jednego — Zienkowicza — zabrała mu śmierć, drugiego — Skibickiego — los od śmierci gorszy. Nie dała mu punktu oparcia miłość; jedyną prawdziwie ukochaną stracił i teraz już nie znalazł pokarmu dla serca ani w przelotnej, gorączkowej miłości zmysłowej, ¹⁾ której echo znajdujemy w stosunku Kordyana do Violetty, ani w „okruszynach miłości“, które — według słów własnych — obdarzał „blade widziadła.“ ²⁾ Pani Patteg i córka jej Eglantyna, mimo całej swej serdeczności, oczywiście też nie mogły wystarczyć poecie. Punkt oparcia znaleźć więc mógł tylko w sferze idealnej. Pragnienie osobistej sławy, które w Paryżu jeszcze panowało w jego duszy, w Genewie mu już nie wystarczało. Starał się więc znaleźć punkt oparcia w miłości ojczyzny — w miłości, która nie tylko tęskni za krajem i nad jego nieszczęściem boleje, lecz jest dążeniem do podźwignięcia ojczyzny i prowadzi do służby w narodowej sprawie. W tem uczuciu szuka więc dusza jego pokarmu, siły i celu.

Miłość ojczyzny! o, to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą. (Wacław).

(Określenie „serc, co dumne, sieroce, szlachetne“ wskazuje, że Słowacki własne serce miał na myśli, bo on dumę, samotność i szlachetność za cechy swe uważał).

Dawny cel życia — sława — już usuwa się na plan drugi wobec narodowej służby. A służbie tej pierwszą przynosi ofiarę, wydając „Lambra“ i uniemożliwiając sobie przez to powrót do kraju.

„Jeżeli sława“ — pisze — „łechce trochę moją próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie, bo sławy nie dla mnie, lecz dla mojej kuzynki biednej pragnę... Wierz mi, Matko, że to jest jedyny cel w mojem życiu. Drogo i poświęceniem wła-

¹⁾ Por. list z dn. 4 paźdź. 1832. „Oszalałem był dla jednej młodej Francuzki, która, jak zdaje mi się, dla mnie także oszalała... Nowa ta Fornarina oczarowała mnie, bo nigdy o podobnie pięknej nie marzyłem w snach gorączkowych.“

²⁾ „Ostatnie wspomnienie do Laury.“

snego szczęścia kupuję sobie możność służenia temu celowi, bo inaczej byłbym przy was“ (22 września 1833 r.).

„Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie stracona dla ojczyzny mojej; przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko“ (30 listopada 1833).

Mimo to, uczucie miłości ojczyzny, chociaż już górować poczynało nad innymi, jeszcze nie było zdolne wypełnić mu życia i jeszcze minęły lata, nim odniosło nad wszystkimi innymi całkowite zwycięstwo.

Ale już przed podróżą na Wschód roznieca ono w duszy poety poczucie narodowego posłannictwa, którego wyrazem są „Ułamki“ — preludjum lub może wstęp do pierwotnego szkicu „Anhellego“ (p. t. „Posielenie“), zaczętego w tercynach.

Na ustach moich węgiel położył czerwoną,
Obrócił na północ twarzą
I kazał prorokować hymn wrący, szalony:
Narody ziemskie! kiedy was porażą,
Kiedy straciecie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów—byście wiedzieli, co każą.

Poeta opowiada, że zerwał sześć strun swej siedmiostrunnej liry:

Została jedna, ta, co teraz woła:
O wy! co w prochu myśli maciecie i serca,
Z tych serc otrzyjecie rdzę—podnieście czola!

Tak się przedstawia pierwszy okres w rozwoju patryotyzmu u Słowackiego; etapy jego reprezentuje „Lambro“, „Kordyan“ i „Ułamki.“ Ostateczny rezultat—to poczucie narodowego posłannictwa, znalezienie w niem ostoi dla moralnych i estetycznych potrzeb duszy; dla estetycznych również, bo Słowacki zawsze czuł, jako artysta, i jako artysta spragniony był wielkości w życiu; na jej brak skarżył się w liście z dnia 27 paźdz. 1833 r. ¹⁾ i tak, jak Kordyanowi, trzeba mu było „myśli wielkiej z ziemi lub z błękitu.“

Jakkolwiek przedstawiony tu rozwój miłości ojczyzny ściśle się łączy z organizacją psychiczną poety, to jednak w tym okre-

¹⁾ „W moich uczuciach nie niema wielkiego oprócz jakiejś nieskończonoj niespokojności.“

się nie przedstawia patryotyzm jego żadnych szczególnych właściwości. Dopiero w czasie pobytu w Grecji zaznacza się odrębny jego charakter, ważny dla duchowego rozwoju Słowackiego i dla jego twórczości.

III.

Gdy widok Grecji ożywił w Słowackim zarówno wspomnienia świeżych walk o niepodległość, jak i dawnych bohaterskich bojów helleńskich, a podniecona fantazyja silniej jeszcze, niż zwykle, reagowała na wszelkie wrażenia — wtedy to ujrzał on z przerażającą jasnością, że ukochana przezeń Polska bardziej zbliżona jest do Hellady, niż do Polski współczesnej, że przedmiotem miłości jego jest *ideał*, od którego rzeczywistość Polska jest bardzo oddalona. A to przeświadczenie, wyłoniwszy się nagle w świadomości Słowackiego, wstrząsająco podziałało na wrażliwą jego duszę. Że zaś w swem podnieceniu, kierowany fantazyją, skłonny do przesady, sprzeczność między Polską idealną a rzeczywistą uważał za daleko większą, niż była ona w rzeczywistości, że nadto na ziemi Milcyadesów i Kanarisów powrotną falą wyrzutów sumienia targany, siebie samego widział wśród tych wielu, którzy winni są owej sprzeczności — więc nawał dręczących uczuć i myśli wybuchnął w nim — „Grohem Agamemnona.“

Patryotyzm Słowackiego od tej chwili staje się *patryotyzmem dwoistym*, obejmującym na przemian to Polskę idealną, to rzeczywistość.

Dwoistość pewna patryotyzmu jest zjawiskiem, które nie u samego tylko Słowackiego da się zauważyć. Występuje ona przy wielkiej intensywności uczucia tego i przy odpowiedniej kulturze duchowej. Gdy uczucie miłości ojczyzny siłą swą wzniesie się po nad inne i gdy całe dążenie do ideału, przenikające daną jednostkę, stanie się dążeniem patryotycznym, wtedy oczywiście przedmiot i cel dążenia tego przybiera silne zabarwienie idealne; miłość ojczyzny staje się nie tylko miłością ziemi i narodu, ale miłością idei. U nas, po utracie bytu państwowego, patryotyzm u najwybitniejszych ludzi rychło przybrał taki charakter i stwierdził to Mickiewicz, mówiąc, że Ojczyzna jest ideał. Ale zdaniem jego idea ta tkwi we wszystkich Polakach i jest łączącym ich węzłem duchowym. To też u niego, u wieszacza, obdarzonego silnym uczuciem społecznym i zmysłem rzeczywistości, nie doszło nigdy do nadmiernego spotęgowania dwoistości patryotyzmu i do sprze-

czności między miłością rzeczywistej i idealnej Polski. Uczucie jego pozostało zawsze jednolite. Gdy określał cel swój słowami: „Chcę go (t. j. naród) dźwignąć, uszczęśliwić, Chcę nim cały świat zadziwić“ — wyrażał w pierwszym wierszu miłość swą dla istniejącego właśnie narodu polskiego, w drugim chęć uczynienia go narodem idealnym, najwyższym; ale oba pragnienia te zlewały się w jedno patryotyczne dążenie.

Podobnie Krasiński, wyśpiewując w „Przedświcie“ miłość swą dla idealnej Polski, nie widział sprzeczności między Polską a swym ideałem, nie tracił jednolitości swego patryotyzmu.

Inaczej Słowacki. Uczucie jego wahało się między wymarzoną a rzeczywistą Polską, dochodziło nie tylko do dwoistości, ale chwilowo nawet do rozdziwienia. A dwoistość ta patryotyzmu i płynące z niej przekonanie o dwoistości Polski samej, znalazło silny oddźwięk w jego utworach i było ważnym często czynnikiem w ich genezie.

W naturze poety przewagę miała fantazyja — fantazyja tak potężna, że bynajmniej nie wydaje się niemożliwą istotną, szczerą miłość lub nienawiść względem tworów tej fantazyi. To też jego miłość ojczyzny zapewne już wcześniej była po części miłością jakiejś wymarzonej Polski, istniejącej w fantazyi poety. Ale tego charakteru swego uczucia nie uświadamiał sobie początkowo. Uświadczenie nastąpiło dopiero podczas podróży na Wschód. A przywykły w życiu swem do dysharmonii, łatwo uwierzył w sprzeczność między swym ideałem a rzeczywistością, boleśnie ją odczuł i wyraził z nadmierną gwałtownością w „Grobie Agamemnona.“

Tak pojęty, przedstawia się utwór ten nie jako wyskok chobliwego kaprysu, lub jako teatralny krzyk pozującego człowieka i nie jako psychologiczna zagadka, ale jako wypływający logicznie z ówczesnej ewolucyi duchowej poety szczery, chociaż przesadnie silny i ostry, wyraz uczucia.

Ideał Polski przedstawia się Słowackiemu jasno ze strony artystycznej, ale i pod względem treści nie jest nieokreślony. Żąda odeń poeta tego, czego brak najbardziej go raził na emigracyi: jedności, wielkości i mocy:

. . . . Wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Pragnąłby tedy takiej duchowej siły, iżby naród polski dzięki niej umrzeć nie mógł. I to żądanie wewnętrzznego spotęźnie-

nia — zgodne z „Księgami pielgrzymstwa“ — było czemś wielkiem i potężnym, a miało się odtąd powtarzać w poezyi Słowackiego.

Nie chciał przypuszczać, że między jego ideałem a rzeczywistością jest niezapełniona przepaść, jest sprzeczność nieprzewycięzona. Sądził więc, że ów ideał tkwi w Polsce, ale jest zakryty i przytłumiony wadami narodowemi, że Polska więzi „duszę anielską w rubasznym czerepie.“

Żądanie, by naród stał się „posągami z jednej bryły“ świadczy, że za jedną z owych wad narodowych uważał niezgodę. To przekonanie znajdziemy też w „Anhellin.“ Ale większy nacisk kładzie na inną wadę: skoro w Polsce tkwi dusza anielska, to jej przytłumienie zdaje się przypisać należy naleciałościom niepolskim, zboczeniu z polskiej drogi; dlatego nazywa Polskę „papugą narodów.“ A stała się nią Polska, bo zamiast oddać się służbie swej idei, marnowała energię na rzeczy małoważne, zewnętrzne — łudzona „błyskotkami“ była pozorami błyszczącym i krzykliwym „pawiem.“

Ale najważniejszy brak upatruje poeta w braku odpowiedniej kultury umysłowej; on, który w Paryżu ziomek „zebraniem głupców“ nazywał, woła tu:

Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.

A zgodnie z tem przekonaniem powie w „Testamencie:“

Niech przed narodem niosą oświaty kaganiec.

Wspomniałem już, że gorycz, jaką tchnie „Grób Agamemnona,“ źródło miała też w poczuciu osobistej winy. A winę widział nie tylko w wyjeździe swym, ale także w swej młodzieńczej twórczości. W owych utworach upatrywał zapewne te same wady, za jakie Polskę zwał „pawiem i papugą.“ To też dodał:

Mówię, bom smutny i sam pelen winy.

Ciskając straszne słowa „Grobu Agamemnona“ czuł, „że nie zdrzą w sercu długo.“ Zbyt silna była, mimo wszystko, miłość Polski rzeczywistej, której wyrazem „Hymn o zachodzie słońca“ i „Rozmowa z piramidami.“

Polski ideałnej oczekiwał w przyszłości, ale zarazem widział jej blaski w przeszłości. Tylko współczesnym Polakom blasków tych nie przyznawał. Dlatego cudzoziemcowi Szamanowi kazał być przedstawicielem narodowej mądrości, ale zarazem powiedział o nim: „I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od przodków naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.“

Jeśli które dzieło Słowackiego nazwać można „czynem narodowym“, to przedewszystkiem „Anhellego“ — ten pomnik marmurowy mąk polskich, zlany krwią, a osypany różami i liliami, zdobny rytymi na nim przykazaniami narodowemi. I gdyby chodziło o dowód szczerości patryotyzmu poety, dowodem takim może być przedewszystkiem „Anhelli.“

Jeżeli Słowacki wracał do ogniska emigracyi z zamiarem zyskania sobie znaczenia i popularności, to zaiste gorszego listu polecającego nie mógł wysłać do Paryża.

Ale on go wysłał, jako świadomy posłannictwa swego poeta narodowy.

„Anhelli“ był otwartym, strasznym aktem oskarżenia emigracyi polskiej, której wady poznał Słowacki podczas pierwszego pobytu w Paryżu. A jako taki akt oskarżenia był on niewątpliwie jedną z głównych przyczyn niechęci, z którą się twórca jego spotkał w Paryżu.

Oskarżał emigrację oczywiście o brak tych cech, których żądał od idealnej Polski w „Grobie Agamemnona“, mówiąc o „posagu z jednej bryły, tak hartownym, że w grobach nie pęknie“ — zarzucał brak jedności i brak hartu.

„Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych.“

Lecz oskarżając emigrację, czuł zarazem boleść i litość.

„Co uczyniłeś Boże? Ażaz każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? Dla czegoż ci ludzie mają ginąć?“

Obok aktu oskarżenia, łączącego się z „Grobem Agamemnona“, i obok obrazu martyrologii polskiej, tkwi w „Anhellim“ inny jeszcze ważny pierwiastek, wielką rolę odgrywający w twórczości poety, a łączący się z „Kordyanem“ i „Ułankami.“ Słowacki stara się określić swój osobisty stosunek do Polski. *) W „Kordyanie“ doszedł do przekonania, że jest niezdolny do czynu. Sposób służenia Polsce znalazł w poezyi i to wyraził w „Ułankach.“ Ale stanowisko narodowego poety nie wystarczało mu. W życiu swem obok poezyi widział jeszcze jeden zasadniczy pierwiastek: cierpienie. A więc począł zastanawiać się nad tem, czy cierpieniem nie służy Polsce. Analogicznie do mesyanistycznej teoryi o ofierze Polski począł samego siebie uważać za ofiarę. Tak zaś określiwszy swój stosunek do ojczyzny, zajął się znowu, podobnie

*) Por.: Tretiak, Juliusz Słowacki I, str. 96.

jak w „Godzinie myśli“ i w „Kordyanie,“ analizą swego smutku. I znalazł powody jego w nieszczęśliwej miłości, w braku rodzinnego szczęścia, w samotności, a przede wszystkim w bolesnym charakterze patryotyzmu swego, na który składała się tęsknota za krajem, boleść z powodu nieszczęść ojczyzny i brak nadziei, by w życiu swem kraj i szczęście jego oglądał.

„Okropności ziemi są niczem, zgrzyzota moja dla ojczyzny okropniejsza.“

Tęsknotę za krajem cudownie odmalował w wędrowce ducha Anhellego po jeziorze, a wspomniany brak nadziei cień swój na cały utwór rzucił i nawet słowa buntu wyciskał z ust bohatera.

Ów brak nadziei, owo przekonanie, że ideał jego urzeczywistni się dopiero po jego śmierci, ¹⁾ przez czas długi było tonem, powtarzającym się w poezji Słowackiego. Już w „Podróży na Wschód“ mówił z bólem:

Ojczyzno moja, może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę.

.

A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę.

W losie Anhellego i w losie braci Wenedów, nad których trupami dopiero ukazuje się Bogarodzica, wyraził owo przecucie, a w „Beniowskim“ mówił:

Ja jestem gwiazda życia, co o świecie
Skąpana w krwawej jutrzence wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę.

Jakkolwiek poczucie winy względem ojczyzny w „Anhellim“ się nie odzywa, to jednak bolesny charakter patryotyzmu Słowackiego dosięga tu szczytu.

Wkrótce po „Anhellim“ powstaje inny utwór patryotyczny, jeden z najsłabszych, jakie Słowacki napisał — „Poemat Piasta Dantyszka o piekle.“

Jakżeż się zrodził w fantazyi autora „Anhellego“ utwór taki i co skłoniło poetę do wydania poematu, którego wad nie mógł nie widzieć i który może ze względu na to wydał bezimiennie,

¹⁾ Por. słowa Szamana: „Bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.“

a który jednak za ważny utwór patryotyczny musiał uważać, skoro ten właśnie poemat poświęcił Warszawie?

Że przedstawienie mąk polskich w „Anhellim“ mogło w nim obudzić chęć przedstawienia mąk, na jakie skazani są za karę kaci Polski, że może chciał w ten sposób ulgę pewną przynieść cierpiącemu narodowi—to wydaje się rzeczą zupełnie naturalną. Ale czemuż on, który z pogardą mówił o „rubasznym czerepie“ Polski rubasznego szlachcica uczynił bohaterem? I jakie stanowisko zajmował względem Dantyszka, którego to aureolą otacza, to budzącymi odrazę rysami obdarza?

„Dantyszek“ łączy się ściśle z „Groblem Agamemmona“ i z „Anhellim.“ Wypowiedziawszy zdanie, że ideał Polski ukryty jest w Polsce rzeczywistej, że więzi ona „duszę anielską w czerepie rubasznym,“ chciał pokazać, jak to połączenie wygląda, jak czerep ów kazi duszę anielską, ale jak zarazem dusza anielska opromienia czerep rubaszny. Że zamiar artystycznie się nie powiódł, to rzecz inna.

Nie był to jednak zamiar jedyny. Rozpoczynając w „Grobie Agamemmona“ i w „Anhellim“ walkę z wadami narodowymi, chce ją wieść dalej w „Dantyszku.“ W „Anhellim“ przedstawił wady Polski cierpiącej, w „Dantyszku“ chce przedstawić zasadniczą wadę Polski działającej.

Jakaż jest główna treść poematu?

Dantyszek, znalazłszy głowy swych dzieci, idzie do Boga, z temi główkami, by zanieść straszną skargę na męczeństwo narodu. Po drodze, ulegając chwilowym uczuciom, porzuca jedną główkę za drugą i wreszcie, porzuciwszy wszystkie główki, do Boga nie dochodzi.

W tem tkwi idea poematu: zarzut marnowania sił w uczuciowych odruchach, tracenia z oczu wielkiego celu dla celów ubocznych. Ze Słowackiemu o to właśnie chodziło, że w postępowaniu Dantyszka widział typowy przykład polskiego działania, tego dowodzą słowa bohatera:

Mamże ja Boga wielką litość głosić?
Czy się przeklinać, stary człowiek smutny,
Że byłem trupków pieniędzmi rozrzutny?
Taki jest Polak — dobra jego sprawa,
Krwawe zaczęcie i osnowa krwawa;
Lecz kiedy przyjdzie dobić się do końca,
To wstydzicie mu się księżycu i słońca ¹⁾.

¹⁾ Jest to echo poglądu, który wyraził Mochnacki na początku „Powstania narodu polskiego.“

Dawał poemat także pewną pozytywną wskazówkę. W „Grobie Agamemnona“ żądał Słowacki od Polski siły wewnętrznej, niedostępnej dla śmierci. I teraz również domagał się woli potężnej, jako rękojmi zmartwychwstania:

Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie,
A przysiężemy — to zmartwychwstać musi.

Zapowiada się tu już późniejszy Słowacki, widzący w wewnętrznej duchowej sile alfę i omegę świata.

Z „Groblem Agamemnona“ łączy się jeszcze jeden utwór, co stwierdził sam poeta. Umieścił on wiersz ten na końcu Lilli Wenedy i w liście „Do autora Irydliona“ tak o nim pisał:

„Ile razy zetknę się z rzeczywistością, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jakgdybym miał umrzeć, albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni, śpiewany przez poetę.“

Ze słów tych widać, że Słowacki sam upatrywał genezę „Grobu“ w sprzeczności między ideałem a rzeczywistością i że istniał dlań związek ścisły między utworem tym a „Lillą Wenedą.“ Na podstawie tego, co powiedziałem o genezie i zasadniczej myśli „Grobu Agamemnona,“ łatwo da się ów związek dokładnie określić.

W „Grobie Agamemnona“ stwierdził poeta sprzeczność, istniejącą między idealną a rzeczywistą Polską, między ideał Polski a narodem, między „duszą anielską“ a „rubasznym czerepem.“ W Dantyszka połączenie to, a zarazem tę sprzeczność wcielił. Teraz pytał, skąd pochodzi ta sprzeczność, gdzie szukać źródła owej dwoistości Polski. Już pierwaj w „Balladynie“ sięgnął do bajecznych dziejów Polski. W tych dziejach więc postanowił wskazać źródło i początek dwoistości Polski. Wenedzi są praojcami polskiej idei, Lechici praojcami polskiego narodu i — jego wad narodowych. Symbolem idei, będącej w posiadaniu Wenedów, jest harfa Derwida. O harfie tej mówi wprawdzie Derwid, że po jego śmierci uleci z niej duch wieszcy, ale odpowiedź ta zdaje się raczej jest wyrazem dumnej boleści i oporu względem Gwinony, niż istotnej prawdy. Roza Weneda bowiem, świadoma przyszłości, odmiennie przepowiada los harfy:

. Zginie
Ojciec mój, ale harfa zwycięży narody.

Wynika z tego, że idea, której symbolem jest harfa, ma przeżyć upadek Wenedów i ostatecznie zwyciężyć. Idea ta zaś

wraz z harfą przechodzi w posiadanie Lechitów, ¹⁾ mimo, że ci do niej nie dorosli. Stąd dwoistość, stąd sprzeczność pewna między ideą polską a narodem.

Przedstawiając zaś siebie i Krasińskiego (który na rozwój patryotyzmu Słowackiego może również wpływ wywarł) jako Lelum Polelum, występował Słowacki wyraźnie jako bojownik idei owej i jeszcze dobitniej, niż w „Anhellim,” przeciwstawiał siebie ziomkom swoim.

Brak dalszych dramatów, mających przedstawić przedhistoryczne dzieje Polski, nie pozwala stwierdzić, jak Słowacki chciał dalej myśl swą przeprowadzić; ale zasadnicze pojęcie dwoistości Polski znalazło wyraz w „Królu-Duchu,” którego poeta związał z „Lillą Wenedą.”

Poeta, który wrócił do Paryża z przeświadczeniem o swem narodowym posłannictwie, z przekonaniem (wyrażonem w „Odpowiedzi na artykuł pana Z. K.”), że poezya jego Polsce walkę z wicherami północnymi ułatwi, boleśnie odczuwał niechęć, jaką mu okazywali ziomkowie. A że obok patryotyzmu jeszcze w nim tkwiła żądza osobistego szczęścia, budził się więc bunt chwilowy i chęć zawarcia kompromisu między uczuciem miłości ojczyzny, a innymi uczuciami. Echem tego stanu duchowego są słowa listu z dnia 1 lutego 1840 r., podpisanego imieniem „Zofia.” ²⁾

„Ciebie prawdziwie mogę nazwać matką moją, bo ta, której służę, ma prawo do życia mego, ale nie do mego serca... poświęciłam całe szczęście dla niej, jestem samotną dla niej, czoło moje zmarszczyłam myślami, myśląc, jak ją ślepą wyżywić i ubrać i jak jej łóżko kwiatami posypywać. Wypełniam moje przy niej obowiązki, jako należy się córce, ale już to mnie udręczyło: tobie nie służyłam tak, a ty mnie kochasz.”

Ale o opuszczeniu służby tej nie myśli: „Gdybym ja mogła porzucić moją kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z tobą” (21 październ. 1840 r.).

Mimo chwilowego zniechęcenia patryotyzm brał górę, a przeciwko kompromisom uczuciowym stawało przekonanie, wyrażone w „Beniowskim” przez usta ks. Marka:

Biada, kto odda ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa.

¹⁾ Że Lechici są spadkobiercami idei Wenedów, zauważył pierwszy Żulawski. (Prolegomena: Król-Duch).

²⁾ Słowacki lękał się, by list syna-emigranta nie zaszkodził matce, która dopiero co uwolniona została z pod śledztwa.

Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
 I padnie kiedyś w popiół taka głowa.
 Żadną łzą taki Boga nie poruszy —
 W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
 Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał —
 I będzie jak ten dąb umarły, szumiał.

„Beniowski,“ cięcia i ukłucia rozdając przeciwnikom Słowackiego, zwalczał też ogólne wady emigracji (przedewszystkiem brak wielkości, skrojenie piersi na „miarę krawca“) i w ten sposób toczył również tę walkę, którą wiódł „Grób Agamemmona,“ „Anhelli,“ „Dantyszek“ i „Lilla Weneda.“ Zarazem dawał w nim Słowacki wyraz swej miłości Polski idealnej i już zapowiadał jej początek.

A ty się już rodzisz nowa
 W żłobku serc naszych biednych położona. (Fragment pieśni VI).

Bojownikiem tej przyszłej Polski miała być nie szlachta, lecz lud, którego imię trzema ognistemi literami wypisane było na sztandarze rycerza-budziela w „Anhellim.“ Patryotyzm Słowackiego występuje więc w zabarwieniu demokratycznym, chociaż autor ze stronnictwem demokratycznym się nie wiąże.

Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
 Naród, i w trumnie grające zepsucie.
 A jednak—pod tym mogił chwastem, plewem,
 Jest jakieś dziwne, ciągle, głuche kucie,
 Pod narodową słyszane mogiłą.
 Jak gdyby *serce ludu* w kamień bilo (Ben. VII).

A tak silna była w nim miłość idealnej Polski, że zmartwychwstania Polski pragnął tylko jako zmartwychwstania Polski idealnej, narodu—według słów Szamana—„prostego i nieskrzywionego na cieie.“ W przeciwnym razie wolał, by Polska została tem, czem jest — „wielkich ludzi prochem.“

Te ostatnie słowa w związku z tem, co w „Anhellim“ powiedziane jest o mądrości Szamana, jako mądrości przodków naszych, rzucają światło na stosunek Słowackiego do przeszłości. Coraz to bardziej upatrywał on w przeszłości ślady Polski idealnej, im zaś więcej przeszłością się zajinował — a pisał wtedy „Mazepe,“ „Złotą Czaszkę,“ „Jana Kazimierza,“ „Beniowskiego“—tem bardziej rosła w nim miłość przeszłości, rosła tak dalece, że chociaż Słowacki twierdził: „Kocham lud więcej, niż umarłych

kości,“ to jednak chwilami miłość przeszłości stawała się głównym tonem jego patryotyzmu:

Dawna ojczyzna moja, o jak trudno
 Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
 Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
 Wabił na dawnych opłotki cmentarzy.
 Inni już pięją twoją przyszłość cudną,
 Ja zostawiony gdzieś na mogił strazy,
 Jak żóraw, abym nie spał wśród omamień,
 Trzymam me serce w ręku... serce-kamień—
 Biedne, uwiędłe serce! — Inni mogą
 Płomieniem twojej przyszłości oddychać;
 Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
 Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.

Ale nie opuszczał stanowiska bojownika Polski idealnej i pragnął pogodzić w poezyi swej miłość idealnej i rzeczywistej Polski:

Najbielsza moja, najsmutniejsza, w *tobie*
 Śpiewają jakieś pieśni i *nad tobą*—
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie.

Słowa te pisał już Słowacki mistyk ¹⁾.

IV.

Słyszeliśmy echa walki uczuć, jaka się rozgrywała w duszy twórcy „Beniowskiego.“ Nieprzewyciężona jeszcze żądza osobistego szczęścia zyskała wielką siłę wskutek uczucia, jakie wzbudziła w nim pani Bobrowa. Ale najsilniejszy ten przejaw żądzy szczęścia był zarazem ostatnim.

O ostatecznem zwycięstwie uczucia patryotycznego zadecydował towianizm, przez którego mgły Słowacki rychło przeszedł w dziedzinie samodzielnego mistycyzmu.

Składa on teraz ze siebie zupełną ofiarę i oddaje się całkowicie służbie idei, cel jedyny widzi w „ojczyźnie całej, wskrzeszonej i żywej i zdrowej“ ²⁾. Przejęty poczuciem posłannictwa swe-

¹⁾ Z pewnych wyrażeń, zawartych we fragmencie, z którego wyjęte są powyższe cytaty, wnoszę, że powstał on już w epoce towianizmu.

²⁾ Słowa z protestu przeciw adresowi, wysłanemu przez Koło towianczyków.

go i sprawę narodową identyfikując ze sprawą Bożą, protestuje przeciw adresowi do Mikołaja I, protestuje przeciw „dążności rosyjskiej“, „strzegąc prawdziwej wiary i dawnego sztandaru ojczyzny swojej“, a niedługo potem w wierszu „Do autora trzech psalmów“ protestuje przeciw wstrzymywaniu upragnionego postępu Polski. Ustawicznie potężnieje w nim poczucie posłannictwa narodowego; przypisuje sobie „wodzowstwo narodu“, a wreszcie wiza w nocy z 20 na 21 kwietnia 1845 r., kiedy to się mu według przekonania jego Bóg ukazał, utwierdza go we wierze, że jest „królem-duchem“, narodu. Jako taki stara się pokierować odpowiednio ruchem narodowym, gromadzi około siebie garstkę młodzieży, pragnie utworzyć konfederację, chce działać w powstaniu roku 1848, a chociaż nadzieje jego nie spełniają się, wierzy, że „już słońce wschodzi dla Polski“ (9 paźdz. 1848 do Teofila Januszewskiego)¹⁾.

Jakkolwiek przeświadczenie o posłannictwie narodowym wiodło go też na drogę czynu, nie była to jednak droga odpowiednia dla niego. On sam czuł to, gdy mówił:

To droga moja — żyć, cierpieć i tworzyć,
To wszystko czynię, a więcej nie mogę.

To też i nadal posłannictwo swe spełnia jako poeta—i w twórczości jego nadal szukać musimy podstawy do oceny jego patryotyzmu.

Dwoistość patryotyzmu trwa dalej i najwyraźniej, najwspanialej przedstawia się w „Królu-Duchu.“²⁾

Chwila, w której fantazyja Słowackiego w ślad za duszą Hera uniosła się w zaświaty — chwila ta szczególnie nadawała się do scharakteryzowania ducha poety.

Wszak to, co widzi dusza Hera po wyjściu z ciała, ma się stać pobudką i drogowskazem dla wszystkich dalszych jej żywotów, a więc i dla żywota samego Słowackiego.

Herowi ukazują się dwie wizye: najpierw postać „Umiłowanej odtąd i na wieki“, następnie „Piękność, córka Słowa, pani któregoś z ludów na północy.“

A Panią tą — Anioł Polski — uosobienie Polski idealnej.

Her Polski nie znał i nie mógł jej kochać. On poznał tylko anioła Polski — Polskę idealną — zstąpiwszy na ziemię nie dzia-

¹⁾ Bliższe szczegóły co do wspomnianych faktów w dziele prof. Treliaka: „Juliusz Słowacki.“

²⁾ W nim też przedstawił Słowacki dwojaki sposób służenia Polsce: czynem i ofiarą.

ła dla rzeczywistej Polski (tę on dopiero ma stworzyć), lecz dla jej ideału.

Po spełnieniu krwawej misji Popiela wraca on znowu do świata duchów i jako duch patrzy na Polskę Piasta. Odmienną jest ona od tej Polski, której pragnął. Ale już zbudziła się w nim obok miłości ideału Polski miłość Polski rzeczywistej i daje on jej wyraz w swem błogosławieństwie.

Choćby już nigdy myśl zbrojami świetna
 Nie powróciła na tę ziemię ze mną,
 Znienawidzona za to, że szlachetna,
 Chce jasnej broni, a gardzi nizeziemną;
 Choćby już tylko miodem prostym kwietną,
 Z myślą, jak chłopak, prostą, ale ciemną,
 Ojczyzna ta wstać miała i w postawie,
 Chłopka się klaniać miała—błogosławię.

Ten dwoisty patryotyzm „Króla-Ducha“ — to patryotyzm Słowackiego.

Sprzecznosc zaś swoich dwu uczuć patryotycznych ze szczególną wyrazistością przedstawił w wierszu bez tytułu zaczynającym się od słów „Narodzie mój.“ Wiersz ten — na pierwszy rzut oka zrażający niejasnością — można uważać za dyalog poety z duchem wyższym, względnie dyalog dwu głosów wewnętrznych, z których jeden, namiętną miłością Polski idealnej przejęty, znieść nie może wad narodu, drugi sprzeciwia się gwałtowności pierwszego w imię miłości narodu tego, jaki w obecnej chwili istnieje. Przypatrzmy wiersz ów w całości:

(I). Narodzie mój,
 Coś widział miecz,
 Na niebie ciemnym świecący,
 Powrócę ja —
 Patrz, Furya zła,
 Przyjdę, jak ogień gorący.
 Wezmę wicherzyce
 I na stolicę
 Wpadnę i dachy pozrywam,
 W rzeki się rzucę
 W krew je obrócę,
 W domy zbłąkane powpływam.
 Przez nocne cienie
 Tak jak płomienie
 Pójdę, a wam wzrok wypalę—

Przez błyskawice
 Mocarze chwyć,
 Nagie postawię na skale.
 (II). Przepuść jeszcze ludowi
 On sędzię postanowi
 I proroki swe boskie wybierze.
 Oto leżą jak snopki
 Błękitne twoje chłopki
 I baranków duchowi pasterze.
 Przez błękitne niebiosy
 Rozwiii słoneczne włosy
 Nie trwóż biednych, patrz — ję-
 [czą zgnędzniuli;
 Tysiąc lat w gwiazdę Twoją
 Idą a w miejscu stoją,

A tak drżą jak gdyby po fali.
 (I). A jakiż to lud,
 Który broni swych trzód?
 Jak przewinił, że nie pomógł za-
 [dnemu —
 Jeżeli mieczem władnie
 A stoi, to upadnie
 I blaskowi się pokłoni złotemu.
 Obnażę jego wstyd
 Z pod sztandarów i kit
 Oberwanych, twarz jego zawstydzę,
 Bo on sam sobie płacił,
 Z chwałę się swoich z bogacił,
 Kwiat swój wydał na ludu łodydze.
 (II). Duchu, na mały czas,
 Proszę, pozostaw nas,

Pozwól dożyć spokojnie starości—
 Właśnieśmy jak anieli
 Wytrzeźwieli, dojrzeli
 Krajów naszych cudownej piękności.
 Promień nowej oświaty
 Na tureckie makaty
 W nasze ciemne uderzył alkowy.
 Od stepów przyszły szумы
 Wiatrów, smętki i dumy,
 A od Litwy szum drugi sosnowy—
 Ziemi wrócona siła
 Oto nas upowila
 I wonnymi oblała balsamy.
 Świat snem—snu ziemia łożem,
 Ze snu powstać nie możemy,
 Ale z łoża do Boga wołamy.

Stara się Słowacki w epoce tej określić ideał Polski. Czy-
 nił to już w „Grobie Agamemnona“ i za cechy ideału tego uwa-
 żał jedność, wielkość, niedostępną śmierci żywotność i nieskażoną
 przez naleciałości obce polskość. Określeniu temu pozostał wier-
 ny, ale je rozwinął, rozszerzył i uzupełnił. Przedewszystkiem
 ideał Polski w jego oczach niesłychanie urasta. Podobnie jak
 autorowi „Przedświt“, tak i jemu przedstawia się, jako przyszła
 przewodniczka ludzkości ta „pierwsza rasa świata... rasa pierwsza
 w Słowiańszczyźnie — Polska“ („Do księcia A. C.“).

W pieśni XII „Beniowskiego“ mówi on, że Polska, śniona
 przez Aniełę

Świątą jest, wielką, z góry już uderza
 Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona
 I do żywota budzi i przymierza,
 Wielka i silnym podniesiona lotem
 Nad ludy, w ludach żywot budzi grzmotem.

Obraz tej Polski w oczach mistyka poety w świetne stroi
 się blaski.

I już nam widać przez oczy proroka,
 Jak Polska nowa na stolicy siada,
 Kopułą dachów swych świętych wysoka,
 A niska, kiedy przed Panem upada,
 A kiedy patrzy w świat, orlego oka,
 A jako hymn harf, kiedy z Panem gada,
 Oblana wdzięków dziewiętych szkarlatem,
 A jako tysiąc grzmotów, gdy ze światem.

(Poeta i natchnienie).

Tę przyszłą, idealną Polskę przeczuwa ks. Marek, gdy mówi:

Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska nie tego wieku.
. dziecko małe,
Które będzie żyło wieki!
O! gdybyś widział, jak one
Przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę
Włoży—jakię berło chwyci.

Korona ogromna, berło owo wielkie — to przewodnictwo w dążeniu ludzkości do najwyższego ideału, którego symbolem staje się dla Słowackiego apokaliptyczne, złote miasto, widziane przez św. Jana; symbol ten występuje kilkakrotnie w ówczesnych utworach Słowackiego. Z Apokalipsy wzięty też jest obraz niewiasty ze słońcem na głowie, a księżycem pod stopami, która dla Słowackiego wyobraża Polskę idealną ¹⁾.

O tej roli przewodniczki narodów ciągle mówi Słowacki w swych pismach. W „Zborowskim“ twierdzi:

Że przez ojczyznę naszą szło zbawienie,
Że ona była ostatecznym końcem
Żywota ducha ludzkiego, że ona
Mogła tę ziemię jedna wziąć w ramiona
I umiłowac i oddać ją słońcem.

W „Liście do Rembowskiemu“ zapowiada, że Polska „do celów ostatecznych ludzkość poprowadzi.“ Ona ma „rozwiązać zadanie człowieka“ (Pamiętnik 3 stycznia 1848 r.). Chciałby Słowacki „rozwiązać narodowości anielstwem ducha polskiego“ (Pamiętnik 13 marca 1848 r.). To też wystąpienie Polski na widownię dziejów uważa za fakt najważniejszy po narodzeniu Chrystusa i widzi w tem wskazówkę Bożą, że początek historycznych dziejów Polski przypada na czas blizki roku tysięcowego, owego „millenium,“ z takim niepokojem oczekiwanego przez ludzi średniowiecza (początek rapsodu o Piaście).

Z tego, że Polska ma powiesić ludzkość do ideału, który jest nietylko „złotym celem narodów, ale i duchów celem koniecznym“ („Zborowski“) — z tego wypływa dla Słowackiego wnioszek cie-

¹⁾ Zaznacza to też w swem dziele prof. Tretiak.

kawy. Wierzy on w metempsychozę, wierzy w to, że przez ustawiczne przechodzenie w formy nowe duch wznosi się ku ideałowi. Skoro więc Polska jest ostatnim ziemskim etapem w drodze do ideału, duchy prawdziwie polskie, t. j. mające poczucie Polski idealnej i służące jej, muszą to być duchy, stojące już na ostatnim stopniu rozwoju, mające przeszłość bogatą w innych narodach. Dlatego Słowacki szuka dawnych swych żywotów w narodzie egipskim, żydowskim, greckim (we fragmencie „Poeta i natchnienie,“ w „Zborowskim,“ gdzie Helionem jest on sam, w t. zw. „Wykładzie nauki“), dlatego Zoryana — Piasta utożsamia z Eliaszem. W „Zborowskim“ wyraźnie stwierdza, że w Polsce gromadzą się stare duchy już wydoskonalone i w tem widzi cechę charakterystyczną Polski idealnej:

...Musi być jakiś kraj gdzie się schodzą
 Duchy już godne najwyższego tronu,
 Które swój żywot jako harfę godzą
 Nie z żadną ciałą skruszonego troską.
 Ale z harmonią nieśmiertelną boską,
 Nie z celem ziemi już, lecz z celem światów.

„Polska — pisze w liście do Stattlera — jest to zbiorowisko najstarszych duchów, które całą przeszłość mają w sobie.“

Ustrojenie idealnej Polski w blaski mistyczne nie wystarczało poecie; a gdyby nawet jemu samemu było wystarczało, to czuł i rozumiał zapewne, że nie może wystarczyć narodowi, że chcąc naród do ideału poprowadzić, chcąc mu drogę wskazać, trzeba idealną Polskę jasno i wyraźnie określić, trzeba poetycko-mistyczny ideał uczynić zrozumiałą, uchwytą ideą.

Przed epoką towianizmu określił Słowacki ideał Polski w „Grobie Agamemnona.“ Idea Polski, której teraz szukał, miała odpowiadać warunkom, postawionym w owem określeniu.

Słowacki żądał od ideału Polski jedności — musiała więc idea Polski być zdolna zjednoczyć cały naród; na to wymaganie kładł poeta nacisk, mówiąc „O potrzebie idei.“

Żądał dalej od ideału Polski wielkości i niezmożonej siły żywotnej. Zgodnie zaś z jego obecną filozofią, z teorią ewolucji ducha i jego postępu w drodze do ideału, Polska miałaby taką wielkość i siłę żywotną o tyle, o ile przedstawia rzeczywiście konieczny szczebel w tym postępie. Ponieważ zaś postęp ducha objawia się przez twórczość, szukającą co raz to nowych form — najpierw form przyrody nieorganicznej, następnie form roślinnych, zwierzęcych i ludzkich jednostkowych, wreszcie form życia zbio-

rowego — przeto idealna Polska musi być twórczynią nowej i to najdoskonalszej formy życia zbiorowego.

Zarzucał Słowacki Polsce, że była „papugą narodów,“ że skazyła się naśladownictwem obcych. Idea Polski musi więc być szczeropolska, musi być czemś wyrosłym z czysto polskiego gruntu. Kładzie na to poeta nacisk w liście do księcia Czartoryskiego. Jeżeli ta idea ma być tak szczeropolska, musi mieć podstawy swe w historii Polski. Wymagała też tego miłość przeszłości, tak silna już u autora „Beniowskiego,“ i jego teoria ewolucji. Ale idea ta musiała także w zgodzie być z duchową istotą Słowackiego, ten zaś był nawskroś indywidualistą.

Ideę, któraby odpowiadała wszystkim tym warunkom, znalazł Słowacki u tego, któremu wiele pierwiastków swej poezji zawdzięczał, u swego „wielkiego pierwszego“ Mickiewicza. Już w „Widzeniu ks. Piotra,“ a następnie w wykładach łączył Mickiewicz ściśle ideę Polski z ideą *wolności*.

Do jaśniejszego określenia tej wolności przyczynił się niewątpliwie fakt ważny z życia Słowackiego. Oto pierwsze stanowcze jego wystąpienie w epoce mistycyzmu było protestem przeciw „dążności rosyjskiej“ w Kole towiańczyków, było według własnego jego określenia — *vetem*. To musiało w oczach jego nadać „*vetu*“ wielkie znaczenie. Widząc w niem środek potężny w dążeniu do idealnej Polski, uznał „liberum veto“ za zasadniczy pierwiastek tej Polski. ¹⁾ Liberum veto, „zaprzeczenie z ducha“ odpowiadało zdaniem jego i charakterowi Polski, jako przewodniczki w dążeniu do ideału — bo pozwalało przeszkodzić każdemu fałszywemu krokowi — i miłości przeszłej Polski i indywidualizmowi poety i godności zamieszkujących Polskę „starych duchów.“ Nie zupełnie jednak odpowiadało pierwszemu i zasadniczemu warunkowi, jaki miała spełniać idea polska, bo chociaż tego rodzaju wolność duchowa mogła być celem jednoczącym wszystkich Polaków, to przecież w istocie swej była przeciwieństwem jedności. Ale znalazł Słowacki pierwiastek, który pod tym względem mógł uzupełnić „*vetu*“ i reprezentować zgodę-władzę, płynącą ze zgody wszystkich — wybór przez wolną elekcję.

I tak znalazł poeta „dwa sfinksowe posągi,“ postawione w Polsce przez ducha Bożego: „obiór jednego przez wszystkich

¹⁾ Prof. Tretiak w dziele swem stwierdził, że na ten pogląd Słowackiego wpłynęły też pisma Królikowskiego i Bukatego, których poeta bardzo wysoko cenił.

i zaprzeczenie wszystkim przez jednego“ („Wykład nauki“). Na tych posągach chciał oprzeć przyszłą formę Polski i wogóle przyszłą formę narodów ¹⁾ — formę republiki, reprezentującej wolność idealną i zarazem idealną demokrację, w którejby *żaden wyższy duch nie ulegał niższemu*.

Misya, polegająca na stworzeniu nowej, najdoskonalszej formy zbiorowego życia, daje właśnie Polsce stanowisko naczelne między narodami i czyni jej zmartwychwstanie sprawą Bożą.

„Bóg nas chce... abyśmy wstali i nie tylko za siebie, ale za narody w cielesnych pracach gnuśniejąco ofiarowali nasze żywoty“ (List do Czartoryskiego, ogłoszony przez prof. Tretiaka w „Pamiętniku literackim“).

„Bóg chce od Polski, aby czyniła Wysokość między Wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody.“ (O potrzebie idei).

Dlatego to tak ogromnie apoteozował Zborowskiego, który wydawał mu się pierwszym przedstawicielem owej formy przyszłej, opartej na możliwości „zaprzeczenia z ducha“

...W nim leżało wszelkie prawo nowe.
Prawo, co wolność ducha zabezpiecza.

W „Królu-Duchu“ zaś tak określił „polskie duchy“:

...Polskie duchy tem przed Bogiem harde
Że się poddają jedynie duchowi,
Że przymuszone z ciała być nie mogą
Przeciwko vetu swemu—żadną trwogą.

Jakżeż wobec owego posłannictwa Polski tłumaczył sobie Słowacki jej upadek i jej nieszczęście?

Dotknął tego pytania w „Anhellim“ i przypisał nieszczęściom Polski niejako rolę wychowawczą; naród miał być — według słów Szamana — ponownie „kładziony w kołyskę, aby wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.“

Teraz, upatrując najwyższy objaw ducha i jego zadanie w twórczości, widział w upadku Polski bodziec, który miał ducha polskiego pobudzić do energicznego działania twórczego, a wy-

¹⁾ W t. zw. „Wykładzie nauki“ mówi poeta: „...że z głębi ducha potrafię wyrwać ojczyznę jakąś, któraby mogła być *kamieniem węgielnym budzących się nowo narodów*.“

rwać z gnuśności. Tak o zapatrywaniach jego wnosić można ze słów wypowiedzianych w rapsodzie „Miecz i sława:“

Duch wtenczas działa
Kiedy moc jego gniciem zatrwożona,
A on już w zgniłym prochu spać nie może,
Lecz sił dobywa..... i wyżej się porze.

W utworze, który prof. Tretiak nazwał „Listem apostolskim,“ mówi poeta do rodaków:

„Zmiercie się teraz z narodami i uznajcie, że Pan Ojców waszych jest dobrotliwy.

„Gdyby albowiem nie ukrzyżował, nigdybyście ogromnego głosu nie usłyszeli w duchach waszych.“

Twierdzi też, że narody, które najbardziej cierpiały, muszą przewodniczyć, bo serca przebolełe są bliższe Boga (16 kwietnia 1844 r.).

Spełnienia misji Polski nadal oczekiwał od ludu; dlatego występuje jako rzecznik ludu przeciw autorowi „Psalatów.“

Określenie i zrozumienie ideału Polski — i co więcej — zrozumienie celu i istoty świata uważał za konieczny wstęp do zmartwychwstania Polski. Przedstawił to w jednej ze swych przypowieści, w której człowiek, reprezentujący samego poetę, od ludzi, pragnących zdobyć dom nieprawnie przez szatana zajęty, żąda znalezienia idei wspólnej i jednoczącej i poznania tajemnicy stworzenia. W żądaniu idei określa ją oczywiście, jako ideę wolności ducha:

„A jeden rzekł: Odstąpmy jeszcze na czas przedsięwzięcia, a ułożmy między sobą myśl, podług której będziemy on dom kiedyś zamieszkiwali, a niech ta myśl będzie z Boga i dla braterstwa i miłości, a niech nas żadnego osobistej świętej wolności wyrzekać się nie przymusza, ani zbawienia naszego na zgubę nie naraża.“

Widzieliśmy, że przed epoką mistycyzmu patryotyzm Słowackiego przejawiał się głównie w walce przeciw wadom narodowym i w określeniu osobistego stosunku do Polski. Oba te pierwiastki doznają teraz przeobrażenia.

Z początku po przyjęciu idei towianistycznej Słowacki nie porzuca od razu dawnego rodzaju walki. Widać to w ks. Marku, tak namiętnie oskarżającym magnatów, czuć ślady tego w „Zawiszy“ (słowa dziada-Filistyna o Polakach), w wierszu „Narodzino mój,“ w wierszu „Do autora Trzech Psalmów.“ Ale poeta, który wierzył, że los narodu zależy od duchów kierujących, musiał zmie-

nić sposób walki. Jego walka w sprawie narodowej musiała stać się zwalczaniem duchów, idących drogą fałszywą. To też walczy Słowacki z dążnością, którą za fałszywą uważa, w Kole towiańczyków, z autorem „Psalmów“ i z księciem Czartoryskim. Ta ostatnia walka, chociaż z praktycznego stanowiska bezwartościowa, w pobudkach, środkach i tonie jest może ze wszystkich walk, jakie toczył w swych pismach Słowacki z innymi przedstawicielami emigracyi, najszlachetniejsza i najpiękniejsza.

Najważniejszego przeobrażenia doznało przekonanie Słowackiego o swem posłannictwie narodowem. Od chwili, gdy stał się towiańczykiem, poczucie posłannictwa urasta niesłychanie. Nie występuje ono, jako coś nowego. Słowacki, chociaż tak przemieniony, w swej działalności narodowej widzi ciągłość i jednolitość i dotychczasową walkę z wadami narodowemi i bojownictwo pod sztandarem Polski idealnej uważa za godne spełnienia swego zadania. We fragmencie „Poeta i natchnienie“ mówi do Atessy:

Świadcź o mnie, czym ja kiedy Polski ducha
W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie ominął pleśń, szczątki łańcucha,
Falsz, co źrenice światłami tumanil?

To, co go zajmowało w „Anhellim“ i w „Lilli,“ — określenie swego stanowiska wobec Polski i przeciwstawienie siebie innym — to teraz stanowi jeden z głównych tematów jego poezyj. W Ks. Marku, Agisie, Zborowskim, Zawiszy, — wszędzie przedstawia otoczonego nimbem świętości bojownika idealnej ojczyzny, wszędzie przedstawia stosunek jednostki do narodu analogiczny — według jego przekonania — do własnego. Trzeba takiego wstrząśnienia, jakim była rozmowa z Mokryną Mieczysławską, by utwór patryotyczny odrzeć z charakteru osobistego.

Ale w miarę jak rosła w jego oczach Polska idealna, rosło też jego własne stanowisko. I starając się ideał Polski określić i historycznie i filozoficznie uzasadnić, stara się też określić i historycznie i filozoficznie uzasadnić swój stosunek do niej (w „Królu-Duchu“), określić i wypełnić tę rolę przewodnika narodu, którą sobie uzurpował przy końcu V pieśni „Beniowskiego“ w pojedynku poetyckim z Mickiewiczem.

Bojownik Polski idealnej — jedyny według przekonania własnego, co stoi przy sztandarze dawnej ojczyzny — uważa siebie za jednego z „Królów Duchów“ Polski i to za tego, który jej pierwszy drogę wskazał i w jej postępie do ideału zdziałał dla niej najwięcej.

A teraz postąnnictwo wobec niej spełnia, odsłaniając ideę jej, jej misję i dając wytlómaczenie tajemnicy jej istoty i tajemnicy świata.

Jak tułającym się na obczyźnie Polakom, tak i jemu wśród mistycznych dociekań na pozór obcych sprawie polskiej, „przyświeca myśl, że ojczyźnie służy.“ Mówi o tem w „Genezis z ducha:“

„Albowiem na tych słowach, że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla celu cielesnego nie istnieje... stanie ugruntowana przyszła wiedza świata i *Narodu mojego*... a w *jedności wiedzy* pocznie się *jedność uczucia*... i widzenie ofiar, które do ostatecznych celów przez ducha Świętej ojczyzny prowadzą....

„Boże Ojczy... spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń, droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy słońcami... i *lud Twój wybrany, a drogą bolesną teraz idący, do królestwa Bożego doprowadziła.*

Postąnnictwo wobec Polski spełnia więc — jako autor „Genezis z Ducha“ i „Króla-Ducha.“

I postąnnictwo to spełnia też, utrzymując ducha swego na wyżynach świętości, bo wierzy, że od czystości i wielkości „Króla-Ducha“ zależy los narodu.

Chociaż przeminął dlań już okres melancholii i bolesnego patryotyzmu „Anhellego,“ cierpi on i jako „Król-Duch;“ nie oszczędza mu los przeciwności, (— smucić go musi brak zrozumienia u matki, niesnaski i rozłam w Kole, zarzut Niewiarowskiego, że polską sprawę, jako podrzędną traktuje, rozwianie się nadziei roku 1848—) a podniesienie ducha okupuje poeta walką z samym sobą.

„Cierpię — pisze do Krasińskiego — bo mam wielki cel przed sobą, a sił mi braknie.“

„O Polacy — skarży się w pamiętniku — gdybyście widzieli, przez ile mąk serdecznych otrzymuje się wodzowstwo narodu.“

Bolał nad tem, że naród nie dorósł jeszcze do wysokości idei polskiej i że między poetą a ziomkami ciągle istniało przeciwieństwo. Z boleścią wołał:

Ciągle powtarzam, że kraj się już pali
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali — tylko serce moje!

Ale nawet w chwilach zwątpienia nie myślał o porzuceniu postąnnictwa:

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup, leżąc w grobie, zbrzydła,

Potargam wprzódę ją pieśnią na pierze
 Położę wprzódę na pieśniane skrzydła.
 Porwę ją z ziemi, tak jak wichher bierze,
 Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
 Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
 Puszczę — jeżeli żywa, to poleci. (Poeta i natchnienie).

W miarę trwania epoki mistycyzmu ustalała się jednak w Słowackim wiara w zmartwychwstanie Polski idealnej i dówód życia jej widział we własnej swej roli. W brulionie listu do Czartoryskiego ¹⁾ pisał o duchu Polski, „bez którego, nawet po wskrzeszeniu cielesnem Polski, Polskiby prawdziwej na świecie nie było:“

„Ten duch wywołany już, Mości Xiąże — ten duch już wstał.“

A w tym samym liście pisał też:

„Zaprawdę — w tonie listu tego czujesz zapewne W. X. M., że już jest Polska.“

Swój idealny patryotyzm najlepiej określił Słowacki w liście do matki z dnia 22 stycznia 1848 r.:

„Jestem człowiekiem, który ma une idées fixe i w niej żyje, i żyje póty, póki w niej żyje, a bez niej żyćbym się nie zgodził nawet w raju, *nawet w Polsce, gdyby ona tą ideą nie była.*“

Wśród owych objawów mistycyzmem zabarwionej miłości Polski idealnej od czasu do czasu brzmi ton zwykłego materialnego patryotyzmu, co kocha ziemię i rodaków w ich rzeczywistej, pozbawionej mistycznych blasków istocie — ton dziwnie prosty, szczery i chwytający za serce.

Tęskni poeta całym sercem za krajem, za rodzinnemi okolicami nad Ikwą i woła do Zosi Bobrównej:

Wróc mi więc z kraju taką, jakby z nieba!

Gdy mu los pozwolił raz jeszcze stanąć na polskiej ziemi, pisze z głęboką radością:

„Ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina, że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach. Bóg i Pan mój pozwolił mi widzieć to i uczuć, a ja używam tego szczęścia, o ile mi jest wolno, ważnością chwili terazniejszej uciśniony“ (Poznań, 2 Dzień Św. 1848).

¹⁾ Ogłoszonego przez prof. Tretiaka w „Pam. lit.“

Zastanawiając się nad ewentualnym przyszłym swym żywotem ziemskim, powiada:

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota,
Nie wiem—lecz radbym żył z polskiego chleba.

A Szczęsny Feliński, donosząc Teofilowi Januszewskiemu o śmierci poety, pisze:

„Pytał, czy nie znam jakiego ubogiego rodaka, któryby chciał spać u niego, gdyż czuje, że śmierć się zbliża, a wolałby, żeby mu oczy zamknął rodak, niż obcy.“

*

*

*

Starłem się przedstawić wiernie ewolucję patryotyzmu Słowackiego i określić zasadnicze jego pierwiastki, a zarazem oświetlić odpowiednio utwory, w których charakterystyczny wyraz znalazła miłość ojczyzny, i zawarte w nich idee patryotyczne powiązać w organizm jednolity i konsekwentny w swym rozwoju.

Jeżeli staranie to nie doprowadziło do wyczerpania i rozstrzygnięcia kwestyi patryotyzmu Słowackiego, niechaj usprawiedliwieniem będzie ta okoliczność, że trudno o sąd stanowczy i wyczerpujący w analizie rozwoju duchowego poety, że często poprzestać w niej trzeba na hipotezie, zwłaszcza gdy chodzi o ducha tak skomplikowanego, jak Słowacki, tak subtelnego, tak usuwającego się niekiedy z pod ścisłej, logicznej analizy.

JULIUSZ KLEINER.

Unarodowienie teatrów warszawskich.

Hasło takie padło na Placu Teatralnym, a nawet znalazło już swój plastyczny wyraz w uczczeniu Mickiewicza, w wystawieniu „Powrotu Posła“ Niemcewicza i „Bogusławskiego i jego sceny“ Rapackiego w teatrze Rozmaitości.

Jakim sposobem stać się to mogło i jaka droga prowadzić ma nadal od hasła do czynu w teatrze, trzymanym dotąd w charakterze instytucji rządowej?

Odpowiedź na to znajdziemy dziś wszędzie, w całym państwie, którego sytuacja, jedyna może w dziejach, miniaturowymi rysami odbija się w naszym teatrze. Na te znamienne, mikrokosmiczne reprodukcje urzędowych prądów, nastrojów i paroksyzmów; na to przedrzeźnianie w drobnem administracyjnem lusterku wielkostylowych ruchów wahadła politycznego między reakcją a liberalizmem, zwracałem już niejednokrotnie uwagę czytelników „Biblioteki.“ Obecny stan teatrów warszawskich jest jedną więcej, dziwnie plastyczną ilustracją stwierdzonych oddawna analogij.

Z jednej strony biurokracja, rozpaczliwie czepia się strzępów władzy i przywilejów, które jej się z rąk wymykają; [z drugiej, piękna emanacja duszy narodowej — sztuka, zrzuca pęta urzędnicze i wolnem słowem przemawiać chce do tłumów z wolnej sceny.

Chce. — Czy może? Nikt w tej chwili o to nie pyta — i to jest bodaj najcharakterystyczniejsza ogólnej sytuacji cecha. W społeczeństwie, które przez dziesiątki lat oduczano chcieć, wola doszła do takiego stopnia natężenia, iż sama stała się jakby

skoncentrowanym czynem. Takiego czynu jesteśmy w tej chwili świadkami w teatrze, gdzie on obudził prawdopodobnie pewne zdumienie tam nawet, skąd wyszedł. Jakto? Więc to tak łatwo przyjść mogło? szepcą z pewną jeszcze trwogą, nie dowierzając prawie temu, co się spełniło, sami twórcy faktu dokonanego.

Nie dziwny się ich zdziwieniu. W ciągu tak długiego czasu mieli w rękach losy sceny polskiej i nie domyślali się tego, i nie spożytkowali, dla zbliżenia teatru ku idealniejszemu jego celom, faktycznej władzy, jaką z natury rzeczy osiąść musieli wobec nieudolności biurokratyzmu! Od tak dawna przywykli własną martwością i apatią osłaniać argumentami zewnętrznego ucisku!

Nie dziwny się ich zdziwieniu, ani nieodzownemu w pierwszej fazie wyzwoleniczych uniesień chaosowi pojęć i rojeń o dalszych losach teatru polskiego i o stosunku do odrodzonej sceny tych, którzy wydali pierwsze do tego odrodzenia hasło. Przejście od rządowej opieki do autonomii sceny, bądź pod kierunkiem samorządowego miasta, bądź pod patronatem komitetu obywatelskiego, bądź wreszcie pod dyrekcją prywatnego przedsiębiorcy, było już na tem miejscu, w różnych swoich kombinacjach, przedmiotem obszernego rozpatrywania. Przyszło to rozpatrywanie łatwo na realnym gruncie stosunków miejscowych, lub też takich, które gdzieindziej, poza krajem, dają mniej więcej konkretny materiał do praktycznych uwag. Inaczej się rzecz ma, gdy idzie o coś niezależnego od takiej lub innej administracji, nawet od takiej lub innej dyrekcji artystycznej; o coś prawie oderwanego, bo mającego źródło w duszy zbiorowej — o unarodowienie teatru. Tu myśl i uczucie innemi zgoła bując zwykły szlakami; nie trzeba więc mieć do nich pretensyi, gdy się czasem, chwilowo i na manowce zabłąkają.

Błędnym ogników nie brak. Oto wszystkie siły społeczne w całym państwie budzą się do życia pod znakiem zrzeszenia, wytwarzając nieznaną dotychczas potęgę do walki ze starym porządkiem. Cóż naturalniejszego nad wnioszek, zasuggestyjonowany w atmosferze zjednoczeń i związków: że stowarzyszenie artystów dramatycznych będzie również owym zbawczym czynnikiem, który odcisnie na scenie warszawskiej narodowe piętno? Rozprawiano tedy nad stowarzyszeniem, postanowiono zespolić się, uchwalono w rezultacie rzecz samą przez się dobrą, zaponinając tylko, że w stosunku do sceny i jej kierunku, jestto wlewanie do starych miechów nowego wina, powrót do utożsamiania istoty, treści, zadań teatru z hegemonią aktorstwa. Cóż stał, że tej hegemonii projektowano nadać wielki styl stowarzyszenia Komedyi Francuz-

kiej, kiedy ten styl, artystycznie rozważany, należy i w Paryżu do przeszłości wobec scen, odrodzonych nowożytnymi reformami, a pod względem społecznym nie może mieć u nas żadnego wpływu na unarodowienie teatru.

Bo stowarzyszenie na nim wzorowane byłoby w Warszawie, jak jest i w stolicy Francji, stowarzyszeniem, bądź co bądź, zawodowem, które przy najlepszych intencjach ze strony stowarzyszonych, musiałyby siłą rzeczy popchnąć sprawy teatralne w kierunku interesów aktorskich, zwykle sprzecznych z naturą teatru, urzeczywistniającego swoje ideały twórcze jedynie — w literaturze.

Gdzież jest w tej nowej organizacji teatrów literatura; co z nią zrobiono, jakie jej miejsce zapewniono w projektowanym ustroju? Głucho jakoś o tem; a przecież nawet przy kopiowaniu aktorskiego samorządu Komedyi Francuzkiej, z konieczności trzeba było natknąć się na kierownicze w niej przedstawicielstwo literatury w osobie p. Claretie.

Ale tu właśnie szkopał. Łatwiej może było w dzisiejszych okolicznościach wyswobodzić się z więzów biurokracyi; łatwiej sięgnąć po samorząd administracyjny i nawet kancelaryę przekształcić na dyrekcję, aniżeli unarodowić repertuar — a tylko przez literaturę teatr może być unarodowiony. Tymczasem między *chcieniem* a *możliwością* murem stoi — cenzura.

I.

Mur dotąd nie obalony — bo przez wyłom, z którego miała korzystać prasa, nie wciśnię się wolność na deski teatralne. Najprzód widzimy codziennie na co przydał się prasie ten wyłom, strzeżony przez „wzmocnioną ochronę“ paragrafów kryminalnych; a potem — w przypuszczeniu idealnej nawet ustawy o cenzurze, scena zostanie zawsze na „prawach wyjątkowych.“ Znane są pod tym względem zapatrywania wszechpotężnego do niedawna Komitetu cenzury. Pamiętamy wszyscy konferencyę w teatrze na próbie jeneralnej z krawcami: w jakoby sposób należało skrócić lub zgoła odrzucić wyłoty kontuszów, żeby Polacy, nawet przebrani tylko i ucharakteryzowani, nie pozwalali sobie w ruchach „niepotrzebnych rozmachów;“ nie zapomnieliśmy podejrzeń, obudzonych po przebudowaniu teatru Wielkiego z powodu namalowanego na kurtynie

w stylu gobelinowym starca w koronie, w którym malarz „upostaciować miał Króla Polskiego;“ tkwi nam w pamięci owo nadzwyczajne rozporządzenie, nakazujące bohaterowi „Hrabiny“ Moniuszki, wejść na scenę na drugim przedstawieniu opery z kaszkietem pod pachą, ponieważ na pierwszej reprezentacyi ukazanie się ułana w kaszkiecie na głowie, wywołało niepokojące oklaski. Następujące po sobie generacye przekazywać będą szeregom pokoleń opowieści o owych „racyach stanu“ zabraniających Słowackiemu występować na afiszach pod całkowitem nazwiskiem, a bohaterom jego zjawiać się na deskach teatralnych w monarszym majestacie; i wnuki nasze jednym wybuchem śmiecha przyjmą te krążące z ust do ust biurokratyczne pomysły. Pomijam rozmaite późniejsze zastosowania słynnych, mniej więcej „sekretnych okólników;“ pomijam różne zabawne pseudonimy, któremi posługiwać się musiał książę Józef Poniatowski, albo Stanisław August, niby urzędową przepustką przez granice repertuarowe, — poza temi bowiem wszystkimi śmiesznościami, wplecionemi nakształt intermedyów komicznych do tragedyi myśli polskiej, stać ma niby jakaś zasada, domagająca się z całą powagą, żeby ją brać na seryo.

Cenzura wytworzyła dla myśli polskiej trzystopniową kontrolę. Książka, dziennik, teatr odmiennie podlegają rewizyi. Książkę czyta się w odosobnieniu; wrażenie niekiedy odbiera się silne, ale pozostaje ono indywidualnem, nie łatwo udzielającym się rzeszy, można więc względniej obejść się z autorem i pozwolić mu pobujać nawet w krainie historyi, nawet na stopniach królewskich tronów. Gazeta krąży wprawdzie szybko i odrazu w mnóstwie rąk, lecz nawałem wrażeń niszczy ich trwałość, neutralizuje siłę; myśl wytryskująca dziś olśniewającą światłością, gaśnie jutro, aby ustąpić nowej błyskawicy. Wygląda to czasem jak burza, niekiedy nawet groźbą piorunów zdaje się pogrzmiwać; ale wszystko trwa krótko, mija prędko i proteuszową zmiennością swoją zażegnywa niebezpieczeństwo. Inaczej z teatrem. Teatr wskrzesza przeszłość w perspektywie mądrości dziejowej; potęguje życie terażniejszości w drgającej prawdą plastyce; okiem poety-widuna rozdziiera tajemnicze mgły, zasłaniające przyszłość—i spełnia to wszystko w realnych konturach, w żywych barwach, w dotykalnych kształtach, wobec tłumu, w którym, od pierwszego wymówionego na scenie wyrazu, wytwarza się jedna zbiorowa dusza, poddająca się całkowicie, niepodzielnie płynącym stamtąd wrażeniom. Nad źródłem tych wrażeń wypada tedy szczególną rozciągnąć bacność. Nikt jeszcze nie zro-

bił rewolucyi po przeczytaniu książki albo dziennika; ale Bruksella powstała w 1830 r. po przedstawieniu „Niemej z Portici.“

Takie mniej więcej były konsyderacye cenzury nad różnemi formami twórczości literackiej; takimi w dobie zadekretowanej wolności słowa pozostały dla teatru i prawdopodobnie owa niefortunna brukselska legenda wyparła niedawno jeszcze z repertuaru, po pierwszym przedstawieniu, operę Giordana „Andrzej Chenier,“ a poemat Żuławskiego „Eros i Psyche“ skróciła o jeden obraz z czasów wielkiej rewolucyi francuzkiej. Dochodzenie jaką w tem wszystkim odgrywa rolę ideowa obrona zagrożonej rzekomo „państwowości,“ a jaką — pospolity biurokratyczny nałóg, zadalekoby nas zaprowadziło; to jedno wszakże stwierdzić można niezawodnie z materiału faktycznego, który nagromadziły stosunki z cenzurą, że nikt tam nigdy nie wierzył naprawdę w powtórzenie w jakichbądź formach 1863 roku i że pod osłoną udanej w to wiary, wytknięto sobie cele, zmierzające przede wszystkim do myślowego odcięcia narodu, zresztą obezwładnionego zupełnie, od jego dziejowej przeszłości. Żeby zaś skuteczniejszą była ta operacya, dokonywana z całą systematyczną konsekwencyą jednocześnie na wielkiej poezyi narodowej z ubiegłej doby, przed którą zamknięto całkowicie drogę do repertuaru i na późniejszych poetach, którym łamano skrzydła ilekroć próbowali wzlotów w krainę historyi, — trzeba też było odpowiednio zrobić terażniejszość. I urabiano ją celowem zacieśnianiem ram repertuarowych, wypierając z nich wszystko, cokolwiek tylko potrącić mogło o pałace sprawy społeczne i zwrócić oczy szerokiej publiczności na trudny do wytrzymania ucisk we wszelkich stosunkach życiowych. Nietykalną stała się cała kategoria kwestyj, wytworzonych tym uciskiem; nietykalnemi uczyniono cały zastęp złowrogich postaci, nadających przemocą kierunek życiu społeczeństwa i popychających je do tragicznych konfliktów; umilknąć musiała zarówno satyra, która gdzieindziej w podobnej sytuacji znalazłaby gotową kopalnię nieocenionych typów; nie odzywał się dramat, bo mu zakneblowano usta żeby nie krzyknął tam, gdzie krzyk jego mógłby wywołać niepożądane echa. Repertuar mieszczański, a w nim niewyczerpane waryacje na temat wiarołomstwa — oto, co najlepiej dogadzało nadzorującej myśl i uczucie kontroli. Miało to podwójną zaletę: najprzód działało rozmiękczająco na charaktery; a potem przez tłumaczoną literaturę kosmopolityzowało je potrochu na najdostępniejszem polu zmysłowych sensacyj. Chodziło tu bowiem tymczasowo o „odpolszczenie“ społeczeństwa; rusyfikacya, — jak mnie-

mali „działacze“ w tym kierunku — przyszlaby później. Oczywiście, że akcja cenzury nie mogła pozostać bez śladów na twórczości oryginalnej; literatura dramatyczna, powtarzająca w wyblakłych odbiciach klisze repertuaru francuzkiego jałowiała i do coraz płytszego spadała poziom; kto zaś chciał spojrzeć w świat swobodniej, szerzej, głębiej, wyżej i rzucić na scenę obraz życia przez pryzmat duszy, nieskrępowanej żadnymi więzami, ten szukał sobie teatru „za kordonem,“ gdzie nie panował terror „okoliczności miejscowych.“

Można-ż teraz wystawienie „Powrotu posła“ i sztuki Rapackiego „Bugusławski i jego scena,“ w której Stanisław August nie potrzebuje już przekradać się na scenę za cudzym paszportem, — uważać jako stanowczy zwrot w historyozofii cenzury? Logicznie rozumując, — takby należało wnosić. Trudno przypuścić, ażeby pod parciem siły wypadków pewne biurokratyczne argumenty ostać się mogły; żeby niemi można było bronić stanowisk, gdzie stoi się już jak na straconej placówce, zwłaszcza gdy całe społeczeństwo, określiwszy jasno swój do państwa stosunek, odjęło tym posterunkom wszelkie strategiczne znaczenie. Co naprawdę przeszkadzać mogą dzieje Polski na scenie, od której publiczność domaga się żeby przez literaturę i sztukę dała ten sam wyraz duszy narodowej, do jakiego, w zasadzie, przyznano społeczeństwu prawo we wszystkich jego życia objawach? Ale nie tylko względ praktyczny ma tu swoją wagę; jest inny, natury ideowej, który nie powinienby zostać bez wpływu w sferach przetrząsających myśl polską. Oczywiście, że nikt nie może mieć do cenzury pretensyi żeby interesowała się rozwojem literatury polskiej, zwłaszcza w teatrze rządowym; ale wolno przecie mniemać, że nawet do urzędniczej inteligencji znaleźć mogą, bodaj minimalny dostęp, powiewy nowego życia, przenikające na wskroś całe państwo; i że to minimum odżywczych pierwiastków odezwie się w sumieniu biurokratycznym przynajmniej prostem przeświadczeniem o ujmie, jaką nawet samej idei „państwowości“ przynoszą inkwizytorskie instynkty. Gdyby takie uświadomienie stało się faktem, kierownictwo teatrów warszawskich miałyby niewątpliwie ułatwione zadanie. Ale zanim się to stanie, a nawet jeżeli się stanie, jak sobie ma to kierownictwo poczynać w trudnej, mimo wszystko, sytuacji?

II.

Bo nie ludźmy się. Zniesienie całkowite cenzury, czy też nastanie w niej pomyślniejszych stosunków, nie jest jedynym czynnikiem w sprawie unarodowienia repertuaru. Teatr, dbający o swoją godność i zdążający ku wyżynom sztuki nie może i nie powinien pod hasłami taniego patryotyzmu wyrzekać się piękna w literaturze i zejść do roli spekulanta, wyzyskującego wrażliwość tłumów na łatwe efekty. Unarodowienie sceny, — to coś więcej niż barwne tło kontuszów, żupanów i czupryn podgolonych; niż zamaszysty gest ku wąsom, wyłotom lub karabeli; to oddziaływanie przez teatr na duszę narodową wszystkiem, co z niej wyzwała najszlachetniejsze pierwiastki i spotęgowane artystem wciela w życie, jako jedną więcej odradzającą się; to uprzytomnienie na deskach teatralnych polskiej myśli, polskiego uczucia, polskiego charakteru w dobrych i złych zwrotach ewolucyjnych, przez jakie historia prowadzi ciężko doświadczany naród; to rodzaj publicznego rachunku sumienia, po którym naród poczułby się lepszym, silniejszym i ufniejszym w przyszłość. Pojęte w ten sposób unarodowienie ogarnia zatem nietylko tak zwane „sztuki patryotyczne,“ sięgające do dziejów Polski, lub wysnuwane z pewnych suggestywnych motywów, lecz i literaturę współczesną, przedstawiającą całkowitą psychikę narodową w świetle teraźniejszości — i tu dopiero rozpoczynają się istotne kłopoty kierownictwa.

Dopóki sięgać można do wielkiej skarbnicy poezji romantycznej, bogactwo wydaje się niewyczerpanem; ale gdybyśmy nawet zdobyli możliwość korzystania z tych bogactw, — to w końcu wyczerpać się one muszą, a wtedy pustka jakaś przynębiająca otacza stopniowo kierownika. Po Fredrze (ojcu), Korzeniowskim, Bliźnińskim i Fredrze (synu) tło w teatrze blednie; coraz niksze na niem kontury falują, chwieją się i rozplývają w wyblakłym kolorycie; aż przychodzi chwila gdy iść się w teatrze prawie dosłownie marzenie, niegdyś sformułowane w sferach kontrolujących myśl i słowo: „literatura Polaków powinna stać się tak szarą, bezbarwną, żeby w tej szarzyźnie nie było widać nic.“ I żyjemy wtedy istotnie parafrazami Augier'a, Dumasa, Sardou; Warszawie paryzkiej na scenie przyklaskuje w widowni Paryż

warszawski; kwestya czy mąż ma kochankę, czy żona ma gacha i kto kogo najefektowniej oszukuje, jest dla nas sprawą pierwszorzędną wagi; a przez te francuzko-polskie sploty, opasujące repertuar, przypadkiem chyba przeciska się jakiś promyk z szerokiego świata idei, jakiś powiew od szczytów myślowych czy uczuciowych. Wiemy już dla czego tak było; cóż stąd, kiedy przyczyna nie odmieni samego faktu, a z faktu kierownik niewiele uszczęknie dla dzisiejszej chwili „na pokrzepienie serc,“ jeszcze mniej znajdzie tego, coby w jakiejkolwiek fazie uplastyczniało duszę narodu, bo dusza skryć się gdzieś musiała w niedostępne dla oka widza tajniki.

Wyciąga wreszcie ów kierownik ręce z utęsknieniem do „młodej Polski“ i wstępuje w niego otucha; znalazł się wobec oryginalnych talentów, a wszakże w talentach, grupujących się pod taką nazwą, musi tkwić pierwiastek narodowy. Zapewne; tylko w jakich sferach twórczości szukać tego pierwiastku? Czy tam, gdzie para kochanków, oderwanych od wszelkich warunków miejscowych, czasowych, rasowych i społecznych w lubieżnych spazmach rozkoszy tęskni do „absolutu,“ a nie osiągnąwszy go, *triste est* i fizyologię swego smutku inscenizuje z tragicznym patosem, jako zagadkę wszechbytu? Czy tam, gdzie rozgrywa się dramat impotencyi artysty, szukającego w misteryach erotyzmu tajemnicy utraconej siły twórczej? Czy tam, gdzie młodość, odgrodziwszy się od świata czterema ścianami kawiarni, z dymnych jej obłoków kształtuje swoje ideały, a poza temi murami nie widzi w życiu nic, prócz „społecznego tramwaju,“ pełnego „wstrętnych“ filistrów, w którym jest się tylko przygodnym pasażerem, z prawem wysiadania gdzie i komu się podoba, a z obowiązkiem naplucia wszędzie ile tylko śliny wystarczy? Czy tam, gdzie kobieta, ciskając konwulsyjne klątwy na rodzinę za „marnowanie“ jej „skrępowanej“ indywidualności w „domowych kojeach“ córki, żony i matki, woła, wyprężona w histerycznych ciągach, o prawa kochanki? Co z tego wszystkiego przemówić ma *dzisiaj* do publiczności? Może arystokracja „nadludzkiej“ subiektywistów, brzydzących się trzodą społeczną? Może demagogia społeczników, mordujących indywidualizm na ołtarzach socyalnych, albo osobliwsza psychologia wspólnej u jednych i drugich pogardy dla „burżujów,“ lub może rozedrgane w atmosferze pesymizmu niszczące technienie *nirwany*? Niewiadomo dokąd się zwrócić, — zwłaszcza gdy z różnych stron rozlegają się echa uragań nad „filisterskimi ideałami tak zwanej *Heimatkunst* i *Heimatlitteratur*,“ powtarzane

za Berlinem i Monachium, które, w ostatnich czasach, podobnie jak przedtem Paryż, były Mekką i Medyną „młodej Polski.“

A jednak trzeba się liczyć z tą literaturą, będącą niewątpliwie i u nas odbiciem przemian, jakie odbywają się na pograniczu dwóch stuleci w duszy nowożytnej; nie można zamknąć uszów na te krzyki buntu, głośnie we wszystkich dzielnicach twórczości, na te wołania o „wyzwolenie,“ bodaj z pochodnią nienawiści w ręku, z więzów „historyzmu,“ byle życie ukształtować według protestu zrewolucjonizowanego *ja*. Trzeba się temu wszystkiemu przysłuchać choćby tylko dla tego, że w takim rzucaniu naokoło pysznych wyzwiań rozpętanego indywidualizmu, odzywa się coś z *liberum veto*, pokutuje grzech narodowy, który, jeżeli niegdyś był wrogiem przyszłości, dziś przybiera pozę jej rycerza i cnotą się mieniąc, z niej chce czerpać siłę twórczą. Czekać tedy warto a śledzić pilnie świetne niekiedy momenty tej twórczości, badając, co one przyszłości przynieść mogą.

Ale tymczasem żyć trzeba w teatrze jakąś strawą; a nie można przytem zapominać, że ma się do czynienia z publicznością, ogarniętą uczuciami, z których sama nie dobrze zdając sobie sprawę, nie wie naprawdę czego od sceny wymagać. Wie tylko, że co innego niż dotąd znaleźć tam powinna; wie, że naokoło niej wszystko wre, kipi życiem, wytężonem w jednym kierunku, więc łowi chciwie uchem ze sceny echa tego wrzenia i nie chce patrzeć na to, co ją do niedawnej jeszcze chwili interesowało.

„Ptaszyna“ p. Henryka Bataille'a? A cóż ją to może obchodzić, choćby sztuka, z dużym talentem napisana, była bardzo udanie grana przez panie Siennicką, Teklę Trapszo i panów Żelazowskiego, Sliwickiego i Wostrowskiego? Na olbrzymim obszarze państwa, do którego losy nas przykuły, w tragicznym konflikcie zmagają się dwie siły: „potęga ciemności“ wcielona w biurokracyę, z rozbudzoną samowiedzą, narodu, wpatzonego w jutrznię wolności; od wyniku tej walki przyszłość nasza w pewnej mierze zawisła, — a my interesować się mamy przygodami pani baronowej de Rysbergue, rozkochanej w przyjacielu i rówieśniku swego syna i prowadzącej romans podstarzałej mężatki w obecności własnych dzieci, pod dachem ich ojca! Na rozdrożu dziejowem historia o sfinkswem obliczu rzuca stumiljonowemu narodowi pytanie: absolutyzm czy konstytucya? na które i nam sądzono odpowiadać, — a nas wiozą do Algieru, żebyśmy tam byli świadkami kończącej się cudzołożnej idylli między przywidłą już „maman Colibri“ a znudzonym jej kochankiem i żebyśmy słuchali rozmyślań przeczuwającej swe blizkie opuszczenie heroiny nad

nietrwałością miłosnego szczęścia, wypowiedanych do kokoty emerytki! Cały nasz kraj wstrząsają konwulsje przesilenia, w którym odporność narodowego organizmu pokonywać musi infekcyę socjalistyczną — a od nas domagają się roztkliwiań nad skrucłą pani de Rysbergue, zjawiającej się w domu ożenionego tymczasem syna, aby uronić kilka łez pokutniczych nad kołyską wnuka! Był czas kiedy zaciekawiłby nas *paryzyanizm* atmosfery, przeniknionej grzechami życia w „szerokim stylu;“ kiedy z pewnem zadowoleniem przysłuchiwalibyśmy się dyalogowi, pełnemu dowcipu i ciętości, ostrzonej na wszystkich kamieniach obrazy „burżuazyjnej“ etyki; kiedy zdobylibyśmy się nawet na wyrozumiałe współczucie dla porzuconej Dydony, na sentymentalne przywitanie powracającej do swej klatki „ptaszyny.“ Dziś brzmi nam to wszystko obojętnie, obco; dziś doznajemy w zetknięciu z tym światem wrażenia jakiejś niezdrowej sugestyi, którą odpycha dusza, spragniona prostoty — bo zdrowie tkwi tylko w uczuciach prostych, nie sfalszowanych surogatami rozwydrzonej wyobraźni. Sztuczne komplikacje psychologiczne są zwykłą cechą momentów rozkładowych, kiedy sumienie prywatne i publiczne, potrzebując kompromisów, skwapliwie czepia się wykombinowanych z mozołem odcieniów, przeciwieństw, zwrotów i odwrotów i z nich na swój użytek snuje subtelną tkanę sofistyki moralnej. Ogień wielkich przewrotów niszczy te delikatne hafty, zostawiając myślom, uczuciom jakby ryczałtowe kontury. Jest może pewna rewolucyjna bezwzględność w takiej prostolinijskiej psychologii; ale wytwarza ją zwykle chwila, kiedy wszystko, zdążając do urzeczywistnienia jakiejś idei, biegnie ku niej najkrótszą drogą.

Ta psychologia przeżywanej obecnie doby tłumaczy dostatecznie zwycięstwo sztuki słabej, jaką jest „Powrót posła“ Niemcewicza nad utworem p. Henryka Bataille'a, bądź co bądź dobrze pomyślanym, zręcznie inscenizowanym i rzucającym niewątpliwie na deski teatralne „szmat życia“ współczesnego. Wszystkiego tego niema w komedyi twórcy „Śpiewów historycznych.“ Postaciom dodatnim, uosabiającym ideał enót obywatelskich, brak ciała i krwi; blade i bez życia, mają fizyognomie poruszających się automatycznie ogólników. Ujemne typy, z rozmachem molierowskim malowane, wydatnością niektórych rysów potracają o karykaturę, zatem o „szmacie życia,“ o ileby ono się wyrazić miało w osobistych sprawach bohaterów, mowy tu być nie może. Natomiast krąży w nich życie polityczne, którego źródłem jest sam autor, rozdający swoim figurom role w udranatyżowanej satyrze i pełniący przy nich gorliwie obowiązek suflera. Państwo pod-

komorstwo nie zajęliby nikogo bezbarwną swoją zacnością, gdyby nie byli oponentami: pan — w dyspucie ze starostą Gadulskim, broniącym wszystkich staroszlacheckich przesądów i urągającym wszystkim postępowym dążeniom sejmu czteroletniego; pani — w akcji przeciw zaletom fireyka Szarmanckiego do przyrzeczonej mu córki starosty, Teresy, którą kocha syn podkomorstwa, Walery, poseł na sejm, powracający właśnie do domu „podczas limity.“ Dysputa i opozycja uwydatnia oczywiście z większą wypukłością plastykę drugiej strony, jak się to zwykle dzieje tam, gdzie do charakterystyki przykładą rękę satyryk. Więc zakamieniały wstecznik Gadulski powtarza z całą zacofańczą swadą i skupia w swojej osobie wszystkie ówczesne, pełne żalu wspomnienia o saskich czasach, kiedy to: „człek jadł, pił, nic nie robił i suto było w kieszeni;“ gdy „bez żadnych intryg i najmniejszej zdrady“ — jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady, jeden ojczyzny całej trzymał w ręku wagę: powiedział „nie pozwalam“ i uciekł na Pragę. Cóż mu kto zrobił? jeszcze za tak przedni wniosek — miał promocyę i dostał czasem kilka wiosek.“ Więc wysławia elekcyę i całą zbrojną partyzantkę w obronie elektów. Byłoz z tem źle? Naprzykład „po śmierci Augusta wtórego,“ kiedy „ci bili Sasów, owi bili Leszczyńskiego; palili sobie wioski. No i cóż to szkodzi? Obce wojsko jak wkroczy, to wszystko pogodzi.“ Nie ustępuje też staroście w dosadności rysunku starościna, sentymentalna dama, z francuzka wychowana, wielbiąca Heloizę Rousseau a, rozkochana w pięknych „pejzażach“ natury, istota pusta z duszą płytka, choć nie zepsuta, jak u modnego franta, którego kandydaturę do ręki starościanki gorąco popiera, przypuszczając w młodzieńcu pokrewną naturę. Zarozumiały samolub Szarmancki nie ma również powodu zazdrości swoim protektorom szerokości konturów i żywości zabarwienia. Satyryk nie żałował mu kwaczu ani farb, używając do napiętnowania fizyognomii zwykłego sposobu — efektów przeciwstawienia. Kontrast, co prawda nie trudny był do osiągnięcia, skoro fircykowi dano za przeciwnika taką jak podkomorzyc maryonetkę; ale też Niemcewiczowi nie tyle o to chodziło, żeby jego bohaterowie żyli, ile raczej żeby wypowiedzieli wszystko, co podówczas zajmowało umysły, co rozgorączkowały jednych a oburzało drugich. Staje tedy młode pokolenie do podobnej jak starsi słownej rozprawy, którą zaostrza życiowy bodziec: rywalizacya o względy starościanki. Rzecz prosta, że sprawa sercowa jest tu tylko wygodnym prywatnym motywem, wywołującym starcie publicznych antagonizmów; w tej zaś kolizyi znów jaskrawiej

wychodzi na jaw rozluźnienie obyczajów XVIII wieku, przenikniętych cudzoziemczyzną i pogardą dla wszystkiego, co narodowe aniżeli powaga i dostojność ideałów 3-go maja, których rzeczni-kiem ma być młody poseł Walery.

A jednak w tym teatralnym przyczynku do publicystycznej literatury sejmku czteroletniego, najsilniej może oddziaływa na dzisiejszego widza to właśnie, co tam z różnych niedomówień wytwarza perspektywicznie tło dziejowe; to, co zdaje się zapowiadać wielką i śmiałą zmianę w instytucjach Rzeczypospolitej. Niknie przedział stu kilkunastu lat, widownia łączy się ze sceną wspólnym nastrojem wyczekiwania na decydujące wypadki; sympatyzuje się z ludźmi, wierzącymi w podźwignięcie ojczyzny, choćby wiarę swoją w dydaktycznych wypowiedziach frazesach; pogardza się tymi, co na drodze do odrodzenia piętrzą zapory z sobkostwa i prywaty, choćby satyryk z rozmysłem pokracznie powykrzywił ich postacie; dusza spektatorów staje się rodzajem arfy eolskiej, zawieszanej nad nizinami teraźniejszości, na której echa, dolatujące z oddali stulecia, wygrywają dziwną jakąś muzykę przyszłości. I koi, wzmacnia ta muzyka, zwłaszcza gdy w wykonaniu uczestniczy grono takich wirtuozów, jak pp.: Leszczyński (Podkomorzy), Frenkiel (Starosta), Nowicki (Walery), Wostrowski (Szarmancki), i panie: Lüdowa (Starościna), Barszczewska (Podkomorzyna). Doskonały ten zespół odczuł, grając, całą odżywczą moc wywołanej przez logikę dziejów aktualności; nie więc dziwnego, że dzisiejszy kierownik dramatu i komedii, p. Śliwicki, wystąpił z powtórnym zastosowaniem tej *sui generis* telepatyi historycznej, przedstawiając wkrótce potem sztukę Rapackiego p. t. „Bogusławski i jego scena.“

Szło tu naturalnie o inną aktualność, o uprzytomnienie chwili przełomowej w dziejach sceny polskiej. Nie można było wybrać na to stosowniejszego momentu, nad dzisiejsze w teatrach naszych przesilenie; nie można było wymowniej uplastycznic doli i niedoli sceny narodowej, jak w walce twórcy teatru polskiego z urzędowym monopolistą, kamerdynerem królewskim. Teatr polski miewał w różnych czasach różnych Ryxów, ale miał tylko jednego Wojciecha Bogusławskiego; wdzięczne więc podjął autor zadanie, dramatyzując kilka chwil z jego życia, które było życiem sceny narodowej.

P. Rapacki nadał pierwotnie swej sztuce nazwę „widowiska“ znalazłszy się w kłopotcie co do kategorii, do jakiej utwór swój miał zaliczyć. Sama natura przedmiotu nastęrczała pod tym względem najrozmaitsze wątpliwości. Akcyą odgrywa się na po-

sepnem tle konania Rzeczypospolitej; — wiemy jednak, że nieznac było nigdzie tej przedśmiertnej tragedyi, nie znać jej też w „Historyi teatru narodowego;“ spisywanej przez Bogusławskiego i stanowiącej jedyne źródło, z którego czerpać mógł p. Rapacki.

Bogusławski kochał kraj gorąco, namiętnie, do uwielbienia. Ale był najprzód synem swego narodu, w którego charakterze długo nie było śladu pesymizmu, a potem dzieckiem epoki przejściowej, nadającej ludziom giętkość i hart stali, aksamitną gładkość XVIII wieku i twarde demokratyczne dotknięcie XIX stulecia. Klęski ojczyzny czuł, ale im spokojnie patrzył w oczy; bolał nad ogólnymi nieszczęściami, ale nie uniał wobec nich rąk opuszczać i oddawać się rozpacz; na wyłomie stał, gdziekolwiek mu los wyznaczył stanowisko; robił wszystko, co było w jego mocy, aby się na zajętej placówce utrzymać i nie było chwil tak krytycznych, nie było okoliczności tak ciężkich, z którychby czegoś dobrego dla swojej idei nie wydobył — wszystko to z niezamąconą na obliczu pogodą, z lekkim, nawpół dobrodusznym nawpół subtelnym uśmiechem, cechującym jego moralną fizyognomię. Ta pogoda udzielić się musiała i p. Rapackiemu w obcowaniu z bohaterem, który, jakkolwiek mógłby być zaliczonym do rzędu najniewdzięczniejszych dla dramaturga „bohaterów myśli,“ nie przysparzał autorowi pod tym względem trudności.

Dramatycznym motywem w postaci Bogusławskiego jest nie wewnętrzna kolizya, nie refleksyjny proces, ale akcja na zewnątrz, pokonywanie otaczających przeszkód. I jeżeli w czem tkwił szkopuł, to w ujęciu i związaniu rozproszonych epizodów walki, odbywającej się coraz gdzieindziej, bez widocznej spójni, jakby za podmuchem przypadku; w pochwyce ruchliwej, zmiennej fizygnomii głównego bojownika, który tak dalece był wszędzie, że ograniczenie areny jego działania choćby względną jednością miejsca, przykucie go dłuższe do pewnej chwili jakąś jednością czasu wymagało istotnej zrzeczności. P. Rapacki, trafnie wybrawszy moment, streszczający w sobie obywatelską doniosłość podjętego przez Bogusławskiego zadania, przedstawił kulminacyjny punkt walki narodowego pierwiastku w sztuce dramatycznej, dążącej do samoistności, z uciskiem monopolu, który wyłączną opieką otaczał cudzoziemczyńę. Kolizya założyciela polskiej sceny z właścicielem przywileju, Ryxem, zakończona zniesieniem na wielkim sejmie monopolu, to jest zwycięstwem Bogusławskiego — stanowi oś akcji w utworze p. Rapackiego. Dla nadania tej akcji odpowiedniego stopnia dramatycznego napięcia, musiał

autor poddać się pewnej niedogodności, to jest przedstawić stosunek spraw teatralnych do innych w ten sposób, jak gdyby te sprawy były istotnie osiã, około której obraca się wszystko — nawet polityka. Ryx przybiera fizyognomię „czarnego charakteru;“ kwestya znaczenia przywileju teatralnego, którą agituje księżniczka z rodziny królewskiej, i która rozstrzyga się aż uchwałą sejmową, staje się sprawą niemal narodową. Wszystko to mogłoby dać podstawę do zarzutów, gdyby nie rys prawdy, na którym oparta jest cała ta kombinacya stosunków prywatno-publicznych. Kto zastanowi się nad tem jakie sztuka miała znaczenie za panowania Stanisława Augusta; i z drugiej strony, jaka młodzięcza wiara apostołstwa artystycznego popychała Bogusławskiego do pracy około dźwigania sceny polskiej na narodowych fundamentach; kto wreszcie historycznie spojrzy na rolę, jaką od tego czasu teatr odgrywał aż do dni naszych w życiu narodu — ten nie zgorszy się takim udramatyzowaniem pierwszych tego teatru początków, tem bardziej, że autor plastyczną charakterystyką postaci, zwłaszcza rzeszy aktorskiej, umiał je uczynić zajmującym.

W „widowisku“ p. Rapackiego przesuwają się kolejno światy: dworski, aktorski, szlachecki, nawet polityczny; autor usiłował spoić je wiązkami intrygi, w której potrosze występują: i romantyczna przygoda aktorki z kasztelańskim synem; i sentymentalne zajęcie się kuzynki królewskiej młodym dyrektorem młodego teatru; i knowania przeciw scenie polskiej zauszniaka Stanisława Augusta; i zakulisowe sprawy między aktorami, podzielonymi na stronnictwa — a nad tem wszystkim panuje, temu wszystkiemu ton nadaje główny bohater sztuki... Bogusławski. Postać założyciela sceny polskiej, odtworzona jest wiernie i przedstawia się tak, jak ją sobie wyobrazić można po przeczytaniu jego pamiętników, jak ją zresztą charakteryzują współcześni.

Bogusławski występuje w sztuce p. Rapackiego jako natura szlachetna, pełna zapału dla ukochanej idei, a zarazem przedsiębiorczej praktyczności w dążeniu do jej urzeczywistnienia. Inicytywa myśli i stanowczość czynu kojarzą się w nim przy pomocy najszcześniejszych od natury darów, między którymi talent grupowania około siebie ludzi i utrzymania ich zniewalającymi więzami wyższego umysłu i zacnego serca pierwsze zajmuje miejsce. Bogusławski podbija każdego, począwszy od króla, który go lubi, ceni i szanuje, aż do skromnej figury suflera, który ma dla niego cześć niemal bałwochwalczą. Od tej postaci jasnej, pogodnej, marzącej już wtedy z uśmiechem na ustach o lepszych sztuki dramatycznej zadaniach, wieje jakieś ożywe ciepło, któ-

re też przenika utwór p. Rapackiego. Dwa szczególnie rysy uwydatnił autor w swoim bohaterze: obywatelskie dążenia, usiłujące nadać scenie podkład narodowy i artystyczne aspiracye dyrektora, dążące do utrzymania teatru na możliwie wysokim poziomie.

— Imci pan Bogusławski — mówi Ryx, gdy sprawę polskiego teatru wytoczył przed króla sam jego założyciel — jako aktor, literat i filozof z bardzo wysokiego stanowiska patrzy na powołanie sceny. Ja, człowiek poziomy, widzę te rzeczy w innym świetle. P. Bogusławski chce teatrem naród kształcić i roztkliwiać, a ja chcę go bawić i ciągnąć zyski; a że ludzie wolą w tych czasach uśmieć się i zabawić, aniżeli płakać i uczyć się, więc im trzeba dawać zabawę aby kieszeń mieć pełną.

— Jestto w istocie — odpiera Bogusławski — odpowiedź poziomego człowieka, jakim się nazwać raczył p. starosta. Rozmawiać z nim o powołaniu teatru, byłoby to samo, co rozprawiać ze ślepym o kolorach. Przyjdzie czas, że ten naród ocknie się z bezmyślnej zabawy i zażąda rachunku z chwil, niecnie mu skradzionych, a wtenczas, panie starosto porachujemy się z tobą.

Może przyszedł właśnie ten czas ocknienia, może nastąpiła ta chwila obrachunku; może dlatego p. Śliwicki, wnikając w samą istotę sytuacji obecnej, przybrał na siebie postać założyciela sceny polskiej i rozsnuwszy przed nami jej odyseę, zapragnął początki unarodowienia teatru przygotować przerwaną tej odysei pieśnią; może dlatego artyści, wsłuchani w gorzką apostrofę Bogusławskiego do odstępców, skojarzyli się w stowarzyszenie, o jakim myślał był niegdyś ojciec sceny polskiej, jeszcze przed moskiewskim dekretem Napoleona I-go, regulującym samorząd teatru Francuskiego; może dlatego wreszcie publiczność, ogarnięta sympatycznym wrażeniem, które wzmacnia jeszcze stylowa gra panów: Frenkla, Śliwickiego, Żelazowskiego, Leszczyńskiego Ładniewskiego, oraz pań: Siennickiej, Tekli i Ireny Trapszo, Leszczyńskiej, tłumnie przypatruje się temu „widowisku“ i skwapliwie pochwyciwszy nić historyczną, przerzuconą jej z tamtej strony stulecia, w podnieceniu czeka na takie samo zwycięstwo ideałów Bogusławskiego, na jakie spada zasłona w sztuce p. Rapackiego.

III.

Czy to zwycięstwo zobaczy? Zapewne nie na tym gruncie, na którym stoją do dziś dnia teatry warszawskie, bo tam najtrudniej wytknąć jedyną drogę ku unarodowieniu sceny — unarodowienie repertuaru. Starałem się określić, co się w tem pojęciu mieścić powinno, publiczność zaś zajęła już wobec pierwszych usiłowań kierownictwa dość wyraźne stanowisko. Nie należy jednak tego stanowiska przeceniać, a raczej tłumaczyć go ciasno, jednostronnie; w tym bowiem kierunku, jak w każdym innym, jednostronność naraża smak publiczności na spaczenie, z krzywdą literatury, która w teatrze, prowadzonym artystycznie, musi najdonośniej się odzywać.

A nie może odzywać się głosem tendencji, choćby ją najdosłowniej chwila w służby swoje zniewolić chciała. Literatura, nawet jako *patriae ancilla*, wyzbyłaby się wtedy swej godności, którą frymarząc dla przypodobania się widzom, ubliżałaby przedewszystkiem majestatowi swej Pani. Czy jednak za tem idzie, że ma się odstrychnąć od wszystkiego, co w tej dobie zdaje się wciągać ją w tragizm jakiejś wyroczonej sytuacji? Nie, tysiąc razy nie. Tylko jest tendencya i tendencya. Jest pospolita przynęta, osłaniająca partactwo tandety, i jest coś, co wypromienia się wprost z duszy twórcy, skupiającej w sobie, jak w czarodziejskiej soczewce, całe piękno i całą grozę chwili, która się w niej odbiła. To *coś* może być poetyczną syntezą, mądrością dziejową, filozoficzną ideą; to „coś“ jest może w gruncie rzeczy po staroświecku pojętym *sensem moralnym*; ale to „coś“, gdyby nawet podobało się komu nazwać je tendencyą, nie będzie nigdy skazą na prawdziwym dziele sztuki. Otóż potrzeba teatrowi przedewszystkiem takich prawdziwych dzieł sztuki, które unaradawiałyby scenę nie teatralną apoteozą patryotyczną, lecz ideałami, tkwiącemi w duszy polskiej, objawionej *sub specie aeternitatis*. Twórczości, powołującej je do życia, nie zacieśnia żadne granice czasu ani miejsca; gdziekolwiek wprowadzi nas poeta, w jakimkolwiek świecie: wczorajszym czy dzisiejszym, zamartym czy żyjącym, pod jakimkolwiek niebem znajdziemy się z nim razem, polskiem będzie tam to wszystko, co twórca nosi w sobie bezwiednie, jako schedę stuleci: kult dla dobra i sprawiedliwości; prawość publicznego sumienia, odczuwającego wszędzie cierpienia słabszych, protestu-

jącego zawsze przeciw ciemnościom pokonanych, wrażliwego na wszelką krzywdę, gdziebądź wyrządzoną; polskiem będzie nade wszystko uwielbienie dla wolności.

Skąd wziąć takie dzieła, i gdzie są poeci, którzy je tworzą? Szukaliśmy ich już między dziećmi doby współczesnej i spotkaliśmy: albo odosobnionych w baszcie egotycznej samo-wielbicieli, albo zaprzepaszczonych w kosmicznych widzeniach tragiczków erotyzmu, albo wyjałowionych kosmopolityczną cyganeryą studentów literatury, albo muzyków przyszłości, komponujących socjalne symfonie na tematy nienawiści. Miałyby to być ostatnie ich słowa? Trzebażby przypuścić, że w chwili, kiedy ku wielkiemu dziełu odrodzenia muszą być wytężone wszystkie moce twórcze, jedna tylko literatura dramatyczna bezwładnie opuści ręce?

Niepozwoili na to właśnie ta chwila, nie dopuści do tego moment dziejowy, który kryje w sobie zapładniającą siłę. Z pod działania tej siły nie uchylił się żaden talent tam, gdzie istniał rzeczywiście; nie wyzwolał się też od jej wpływu ci wszyscy, których duszę zaskoczył przełom w jej okresie mgławicowym. Jakim będzie ten wpływ, trudno oczywiście przesądzać; ufać jednak trzeba, że z chaosu przedstworzonego, wyłonią się jakieś nowe światy — może nawet już wyłaniać się zaczęły. Kto uważnie śledzi proces ewolucyjny w młodej twórczości, tego tu i owdzie zastanowić muszą pewne niespodzianki, ten nie może nie dostrzedz, że wobec imponującej afirmacji narodowej, przycicha w literaturze negacya; że fanatycznych przeczników niepokoją sny o przeszłości, nawiedzają wizye przyszłości. Teraźniejszość zapewne zbyt natarczywie, bezwzględnie, despotycznie bije ich w oczy, by mogła już teraz stać się bodźcem twórczości, ale tragiczny jej zasiew zejdzie; pilnować go więc trzeba, bo plonem może być — wyczekiwany z utęsknieniem, choć dotąd nadaremnie, polski dramat, w którym pioruny nawałnicy współczesnej, oczyszczającej atmosferę, przetopią w nowe formy ideały historyczne i społeczne.

Trzeba tylko, żeby taki polski dramat, skoro się już narodzi, zdobył sobie publiczność. A to nie tak łatwo przychodzi, jakby się zdawało, i jeżeli kiedy, to w tym razie wypadłoby z powodu wszystkich naszych wywodów, przypomnieć przysłowie o rachunku, sporządzonym bez gospodarza. Ten gospodarz bowiem zajął w ostatnich czasach tak dziwnie odporną względem teatru postawę, że absenteizmem jego, opróżniającym kasy teatralne, mogła biurokracya własną nieudolność, własną samowolę osłaniać. Wobec pustych widowni zacierano ręce w pewnych

sferach ze złośliwym zadowoleniem; kto wie, może uda się zamknąć teatr polski i obwinić o to samo polskie społeczeństwo?

Co do źródła tych intencji, ujawniających się na razie ostrożnie, prawie ukradkiem, nikt zapewne nie będzie miał żadnych wątpliwości. Ale nie o nie w tej chwili chodzi. Idzie o to, czy w tym wypadku publiczność jest istotnie bez winy?

Na usprawiedliwienie jej możnaby przytoczyć nie jedną okoliczność łagodzącą. Najprzód okres, poprzedzający w teatrze ostre objawy przesilenia, odznaczał się tak rozpaczliwą bezbarwnością, takim brakiem wszelkiej siły przyciągającej, że pustki w salach i kasach teatralnych mogłyby być uważane za naturalny wykładnik pustek w repertuarze. To, co się później działo, nie zachęcało również publiczności do odwiedzania teatrów; przy znanym sposobie wprowadzania u nas swobód konstytucyjnych, przy nietykalności osobistej, wyrażającej się w rewidowaniu a nawet turbowaniu po ulicach przechodniów przez przeciągające patrole, zaopatrzone w dyskrecyjne pełnomocnictwa, stronięcie publiczności od teatru wyglądało jakby konieczna odpowiedź władzom, które zarzucając społeczeństwu obojętność dla własnej sceny, nie zaniedbały nic, żeby je od niej odstręczyć. Wszystko to razem wzięte: i zmysł krytyczny, protestujący przeciw nicości repertuaru, i bardzo usprawiedliwiona niechęć do zajść ulicznych z rozzuchwalonem żołdactwem, a nadewszystko usposobienie moralne, stan duszy nie sprzyjający wogóle rozrywkom i zabawie — tłumaczyłyby dostatecznie abstynencję publiczności, gdyby nie stwierdzony jednocześnie fakt wprost przeciwnej natury — tłuma frekwencya do teatru Nowości; gdyby nie smutny objaw znacznie jeszcze dawniejszy i mocno społeczeństwo nasze obciążający: obojętność ogółu dla opery polskiej.

Pierwszy z tych symptomatów dałby się jeszcze jako tako psychologicznie wytłumaczyć napadami depresyi, która chwyta się bodaj nawet kieliszka ordynarnego trunku byle tylko zapomnieć, byle w odurzeniu uciec myślą i uczuciem od dręczącej duszę niepewności. Ale zobojętnienie dla opery polskiej wyrosło z siebie w czasie i w warunkach, które nietylko niczem nie usprawiedliwiały takiego objawu, lecz przeciwnie, uczyniły społeczeństwo całkowicie odpowiedzialnem za losy dramatu muzycznego.

W obrachunkach z biurokratyczną administracją naszych teatrów, jedynie opera polska stanowić będzie niewątpliwie jej plusy. Podźwignięto istotnie tę operę zarówno w personelu śpiewaczym jak i w oryginalnym repertuarze. Grono wykonawców liczyło takie talenty, jak panie: Kruszelnicka, Korolewiczówna,

pp.: Bandrowski, Didur i Leliwa; a i w dzisiejszym komplecie, gdzie figurują pani Zboińska, panowie: Drzewiecki, Dygas, Gorski i młodsze a obiecujące siły, zespół cały przedstawia się dodatnio; kompozytorowie polscy znaleźli również otwarty dostęp do sceny, gdzie nie szczędzono starań, ku wydobyciu z nowych dzieł najwydatniejszych piękności. Stało się to oczywiście nie dla naszych pięknych oczów, nie wskutek samorzutnego uznania w dyrekcyi praw publiczności polskiej do posiadania opery polskiej, ale poprostu pod naciskiem opinii, która systematycznie piętnowała krzywdzące dla tej opery protegowanie wszelakiej cudzoziemczyny. Ustępstwo, zatem, zrobione opinii w tej sprawie, było krokiem podwójnie zręcznym: miało pozór liberalnego na kwestyę poglądu; było rodzajem okupu za podkopywanie finansów teatru rozrzutnością dla śpiewaków włoskich; na dnie zaś wszystkiego kryła się nadzieja podreparowania tych finansów frekwencyą publiczności polskiej na operę polską, o którą się tak wytrwale dopominała.

Wyrachowanie zawiodło. I to w jakiej chwili! Kiedy należało wszystkimi siłami wyzyskiwać oportunistyczną politykę dyrekcyi; gdy można było decydująco wpłynąć na losy opery polskiej i w obronie jej osiąść najpotężniejszy argument: pełną widownię i pełną kasę — wtedy właśnie dostarczyliśmy dyrekcyi i sferom miarodajnym wręcz przeciwnego argumentu, skierowanego tam przeciw naszej operze; wtedy padały kolejno, jedno po drugim takie dzieła: jak „Livia Quintilla“ Noskowskiego, „Manru“ Paderewskiego, „Marya“ Melcera, „Filenis“ Statkowskiego; wtedy pustkami świecił teatr na przedstawieniach oper z obcego repertuaru, śpiewanych po polsku (które wytargowano również ustawicznym nawoływaniem opinii); wtedy wreszcie dano dyrekcyi broń w rękę: możność dowodzenia na podstawie niewątpliwych faktów, że kampania w obronie opery polskiej była dziełem „kilku dziennikarzy“ i że prasa nie jest bynajmniej w tej sprawie wyobrazicielką potrzeb ani żądań powszechności polskiej.

Tak się rzeczy miały z operą. Czy coś podobnego nie stanie się z dramatem? Słyszę w odpowiedzi dwojaki argument: opera wymaga specjalnego zamiłowania do muzyki, którego widocznie nie ma publiczność warszawska; a co do dramatu, powodzenie „Powrotu posła“ i „Bogusławskiego“ jest pewną na przyszłość rękojmią. Replika nie będzie trudną. Dostarczy jej Filharmonia, gromadząca mnóstwo słuchaczy na najrozmaitsze produckye muzyczne; dramat zaś na obecnych sukcesach trwale budować nie może, bo nie rozstrzyga o nich literatura, lecz

motywy poza nią działające, które nie mogą i nie powinny pozostać wyłącznie rozstrzygającami. Stosunku zatem publiczności do teatru w dobie przełomowej nie można uważać za ustalony. Ustalić go może dopiero zupełna reorganizacja sceny polskiej na zmienionych gruntownie podstawach, co wobec zamierzonego i omawianego już gdzie należy objęcia teatru przez miasto, zdaje się być bliskiem urzeczywistnienia.

Różne sposoby umiastowienia naszych teatrów były już na tem miejscu przed trzema miesiącami szczegółowo oceniane, a zasady tego przekształcenia, mające jakoby najwięcej widoków realizacyi, nie wiele podobno różnią się od naszych, przedstawionych wtedy postulatów. Ale gdyby nawet sprawa miała być wkrótce pod względem administracyjno-finansowym zasadniczo rozstrzygnięta, ustrój artystyczno-literacki scen warszawskich przetrwać musi fazę przejściową, przebyć okres przygotowawczy, i wtedy dopiero będzie można coś pewniejszego orzec o wzajemnem oddziaływaniu na siebie teatru i publiczności. Wiele rzeczy zmienić się musi całkowicie; organa kierownicze i nadawana przez nie scenom dyrektywa artystyczna otworzą zapewne scenie szerokie widnokręgi wielkiej sztuki; rzesza aktorska, otrząsnąwszy się z urzędowych nałogów, postawiona wobec obywatelskich zadań, nakaze milczenie samolubnym instynktom i pracą szczerą, rzetelną, chętną odda na usługę idei; nawet cenzura — o ile się utrzyma — zrozumie może, iż po odjęciu teatrowi charakteru oficjalnego, inaczej trzeba urządzić swój do niego stosunek. Wszystko to jednak nie wystarczy, jeżeli nie weźmie w tem udziału ogół, kochający instytucję, która zdąża do unarodowienia. Odrodzenie teatru bez odrodzonej publiczności byłoby fikcją nieziszczalną.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

NIEOBECNI.

Kiedy Stanisław August Poniatowski, król-esteta, w trosce o podniesienie w Polsce, zaniedbanej mocno przez wychowanie jezuickie, kultury artystycznej i wogóle o rozbudzenie zamiłowania do sztuk plastycznych, sprowadzał forsownie do kraju artystów cudzoziemskich, kilku wcale niepospolicie utalentowanych polaków zdobywało uznanie wśród obcych. W tym że samym mniej więcej czasie, kiedy dwór warszawski wypłaca malarzom włoskim Bacciarellemu i Canalettemu, tudzież francuskiemu rzeźbiarzowi LeBrunowi około trzech tysięcy dukatów pensyi rocznej, Tadeusz Koniecz, krakowianin, dawny kuchcik biskupa Andrzeja Załuskiego, zbiera złoto i zaszczyty na dworze madryckim. Kiedy włoch z urodzenia, wprawdzie nobilitowany później w Polsce, Bacciarelli zostaje kierownikiem pierwszej szkoły artystycznej w Warszawie, Daniel Chodowiecki, wielkopolanin z krwi i kości, obejmuje stanowisko dyrektora Akademii sztuk pięknych w Berlinie. Kiedy wreszcie cała plejada przybyszów z zagranicy wyzyskuje na szeroką skalę formalną manię portretowania się, jaką dotknięta była wyższa sfera ówczesnego społeczeństwa polskiego, Aleksander Kucharski, szlachcic polski, paż i stypendysta Stanisława Augusta, portretuje wytworne panie i panów w Wersalu i Paryżu, a nawet królowa, Marya Antonina, pozuje mu do obrazu w Tuilleryach i to w bardzo ciężkiej dla siebie chwili, bo przed samą ucieczką do Varennes.

Artysta polski nanałował w tem środowisku zapewne mnóstwo portretów olejnych, pasteli i tak modnych wtedy miniatur, za które, jak wieść niesie, dostawał po dwadzieścia pięć luidorów za sztukę, co na owe czasy jest sumą bardzo znaczną.

Gdybyśmy chcieli z zestawień powyższych, wyprowadzać wnioski ogólniejsze, możnaby, zwracając się z wyrzutem do spo-

łeczeństwa, zacytować pełne goryczy słowa Chrystusa: *Nemo propheta sua splendidus in patria*, ale możnaby też znaleźć inny argument, mniej pochlebny dla wielu artystów wszystkich czasów i krajów, że *ibi patria, ubi bene*.

Słowa te najwłaściwiej, zdaje się, zastosowaćby można było do ostatnio wymienionego Kucharskiego.

Był on, jak się rzekło, stypendystą Stanisława Augusta, co prof. Maryan Sokołowski, na jednym z posiedzeń komisji do badania historii sztuki w Polsce, stwierdził autentycznymi dokumentami¹⁾ Przedstawił mianowicie oryginalny list Kucharskiego, pisany dnia 9 marca 1765 r. z Paryża, w którym, młody artysta polski, nawiasem mówiąc, wcale poprawną francuszczyzną, prosi swego króla o pomoc na dalsze kształcenie się. Przy liście załączał dwa rysunki, *non pas comme des ouvrages coloriés efinis*, jak objaśniał, *mais seulement pour donner à connaitre le besoin que j'ai encore d'étudier*. — Chodziło tylko zatem o przekonanie dostojnego protektora, że otrzymane w pierwszym roku pieniądze nie wystarczyły do ostatecznego udoskonalenia się w sztuce.

O sumie dowiadujemy się z innego znowu dokumentu, przedstawionego również przez prof. Sokołowskiego.

Jestto jakby projekt do budżetu na utrzymanie artystów królewskich, gdzie, między innymi, figurują pozycje po sto dukatów dla stypendystów, Sznuglewicza i Kucharskiego.

Pieniądze owe otrzymywać musieli pierwszy w Rzymie, dokąd wysłany był dla studyów klasycznych, drugi w Paryżu, gdzie kształcił się pod kierunkiem słynnego Vanloo i Vien'a, członka akademii i malarza nadwornego księcia de Condé.

Król, łożąc z własnej szkatuły na naukę młodzieńców na celu miał przede wszystkim, jak mniemać należy, przysporzenie krajowi dzielnych pracowników na niwie sztuki. Przy czem, jak wnosić można z listu, w którym posyła stypendystom swoim tematy do obrazów konkursowych, więcej nadziei pokładał w Kucharskim. „Król ma prawo więcej wymagać od tego, który kształci się u artystów żyjących, pp. Vanloo i Vien'a niż od tego który studjuje podług antyków.“

Istotnie Kucharski ziścił w pewnej mierze pokładane w nim nadzieje. Jakkolwiek niewiadomo czy lepiej od współzawodnika wywiązał się na razie z zadania, i czy wogóle stanął do tego artystycznego turnieju, w którym za temat służyć miała jakaś

¹⁾ Sprawozdania Kom. Tom VI, zeszyt II i III, str. XXIX.

scena z historii biblijnej, to pewna przecieź, że stał się z czasem wcale niepodrzednym, pełnym smaku i elegancyi portreciŝtą, podczas tego kiedy Szmuglewicz pozostał nazawsze zimnym, sztywnym, pozbawionym wyźszego polotu, malarzem okropnie nudnych obrazów historycznych.

Ale Szmuglewicz, zdobywszy pewien zapas wiedzy malarzkiej, nietylko przez powaźne studia nad antykami, ale takźe przez naukę u żyjącego, choć równie zimnego w swym klasycyzmie, jak martwe antyki, mistrza, Rafaela Mengsa, rozwinąwszy swój niezbyt z przyrodzenia bogaty talent, o ile to było możliwe, wrócił do Polski i pracował uczciwie przez długie lata dla kraju—Kucharski pozostał do końca życia we Francyi i pod tym względem niewątpliwie zawiódl najzupełniej oczekiwania króla-mecenasa.

Nie wiadomo co zmusiło ostatecznie naszego artystę do ekspatryacyi—czy zatrzymały go wśród obcych widoki sutych zarobków, owe dwadzieŝcia pięć luidorów za miniaturę, czy teź inne względy bardziej idealnej natury; to jednak nie ulega wątpliwości, że cały, prawdopodobnie doŝć znaczny, dorobek utalentowanego wyjątkowo rodaka naszego, przepada całkowicie dla sztuki polskiej.

Redakcyja miesięcznika „Sztuka,“ wychodząc z zasady, że, jako naród kulturalny o wielowiekowej tradycyi mamy prawo upominać się o zabytki swojej przeszłości, zwróciła się do kustoszów muzeów europejskich z ankietą, mającą wyŝwietlić sprawę dzieł polskich w posiadaniu zagranicy. W zeszytcie lutowym z 1905 r. pismo, jako rezultat tych wywiadów, podaje odpowiedzi, nadesłane z trzydziestu blisko muzeów, gdzie korespondenci, z najwyźszą, przyznać trzeba, gotowoŝcią pospieszyli z wiadomoŝciami o istnieniu niezbyt zresztą licznych prac polaków w różnych miastach europejskich.

Niewątpliwie troskliwoŝć taka o duchowe dobro narodowe jest najzupełniej usprawiedliwiona, jeźeli tyczy się to artystów, związanych istotnie z tradycyami sztuki polskiej; ale czy mamy prawo upominać się o prace ludzi, którzy, jak liŝcie oderwane od pnia rodzimego, rozmiezione burzliwymi wichrami po szerokim ŝwiecie, utracili wszelką łącznoŝć z krajem i jego kulturą?

A właŝnie wspomniana ankietą przynosi wieŝci o kilku takich dziełach malarskich, których jedynym tytułem w tej mierze jest mniej lub więcej polskie brzmienie nazwiska ich autora.

Ja osobiŝcie miałbym co do tego pewne wątpliwoŝci i uważałbym za konieczne w inwentaryzacyi zabytków naszych zachować pewną powŝciągliwoŝć i godnoŝć, jaka przystoi, narodowi istotnie o wielowiekowej kulturze. Jesteŝmy juź dziŝ doŝć zamoźni,

posiadamy w sztuce naszej arcydzieła niewątpliwie pierwszorzędnej wartości i możemy się już nie upominać o rzeczy mniej pewne.

Pan Andrzej Perraté naprzykład, kustosz muzeum wersalskiego, obok obrazów Henryka Rodakowskiego, artysty niezaprzeczenie polskiego i jednego z najpoważniejszych koryfuszów naszej sztuki, wymienia także Kupeckiego i Witkowskiego, których wcale w dziejach malarstwa polskiego nie znamy.

Wśród zbiorów wersalskich znajduje się również portret Maryi Antoniny, malowany przez obchodzącego nas bliżej Aleksandra Kucharskiego, w więzieniu Temple, na krótko przed tragiczną śmiercią królowej na szafocie — portret ze względu na swe znaczenie historyczne niezmiernie ciekawy i bardzo swego czasu popularny, gdyż w licznych kopiach rozszedł się między stronnikami Burbonów, gdzie przechowywany był, jak relikwie.

O obrazie tym dr. Mycielski napisał specjalną rozprawę, która wywołała ożywioną dyskusję w komisji do badania historii sztuki w Polsce, przy czem komunikaty korespondentów wyjaśniły wiele szczegółów, dotyczących się osoby i życia autora.

Był on niewątpliwie Polakiem i prawdopodobnie dopiero, jako młodzieniec dwudziestokilkoletni, wywędrował do Francji, nie mógł więc zapomnieć o swem pochodzeniu, nie mniej przecież ani wymienionego portretu, ani innych dzieł wykonanych przez malarza tego za granicą, nie uważałbym za słuszne zaliczać do naszego dorobku artystycznego.

Nie wiadomo u kogo kształcił się Kucharski w kraju. Zda się, iż początkowo uczył się u ojca swego w Krakowie, który również był malarzem; w każdym razie z epoki tej niepozostało nic, coby uważać można za jego puściznę duchową. Jeżeliby nawet udało się z czasem odnaleźć jakieś studia, rysunki, próby, musiałyby to być, bądź co bądź, rzeczy niedojrzałe, nie mające najmniejszego znaczenia artystycznego. Nie ma również śladów twórczości tego malarza, kiedy, jako stypendysta Stanisława Augusta, utrzymując jeszcze stosunki z krajem, powinien był coś robić dla kraju. Badania nie wykryły czy namalował kompozycję, na zadany przez króla temat i czy kompozycja ta była kiedykolwiek do Polski wysłana. Natomiast cała jego działalność od chwili, kiedy występuje, jako artysta skończony, odnosi się do Francji, to jest do środowiska, które go zaadoptowało, z którym on się zespolił, z którego ciągnął soki żywotne dla swego rozwoju; niewątpliwie też działalność ta stanowić powinna część ogólnego dorobku sztuki francuskiej.

Co prawda, wielka, potężna sztuka przestaje być wyłączną własnością jednego narodu — staje się dobrodziejstwem całej ludzkości; ale z drugiej strony prawdą jest również, że mniejsi skąd inąd twórcy mogą mieć nieraz ogromne znaczenie w sferze wpływów bardziej ograniczonych, że tak powiem terytoryalnych.

Włochy, wybrana dziedzina najpotężniejszych geniuszów sztuki, kolebka Michała Anioła, Rafaela i całej plejady gwiazd najpierwszorzędnějších, dały nam Tomasza Dollabellę, artystę średniej miary, który prawdopodobnie zniknąłby na firmamencie sztuki swego kraju, przyćmiony ogromnym blaskiem tyłu wielkości; u nas, w przybranej ojczyźnie, przecież świecił jasno i promieniował potężnie na otoczenie.

Istotnie Dollabella, jako twórca zgoła nie nadzwyczajnych fresków w pałacu Dożów w Wenecyi, zajmowałby jakiś skromny, szary kącik w historii sztuki włoskiej; jako nadworny malarz królów, Zygmunta III i Władysława IV—zdobywa miejsce poczesne i poważną kartę w dziejach sztuki i kultury w Polsce.

Gdyby wobec tego Włoch jakiś, w imię wspólności pochodzenia przyszedł upomnieć się, jak o swoją własność, o dorobek artystyczny mistrza z Belluino, gdyby dla ścisłej inwentaryzacji zabytków sztuki własnej chciał wyszukiwać po kościołach naszych puścizny po tym swoim rodaku, który wśród nas długo mieszkał i dla nas pracował, uważałbym to za rzecz najzupełniej niesłuszną.

Tomasz Dollabella, osiedlił się w Polsce na stałe, przyjął obywatelstwo krakowskie, zapisał się do cechu, ożenił się z rodowitą krakowianką, wreszcie tu umarł, nie wracając nigdy do rzeczypospolitej weneckiej, skąd pochodził.

Zjawił on się w kraju w chwili, kiedy rodzime malarstwo cechowe upadało ostatecznie i swoją rzeczywistość ogromną, niezmiernie łatwą twórczością, podtrzymywał ruch artystyczny w kraju i tak potężnie zapisał się w pamięci potomnych, tak w historii stał się popularny, że wszystkie obrazy tej epoki przypisywano jego pędzlowi. Pracował we wszystkich kierunkach, malował sceny historyczne, dworskie, portrety, obrazy religijne i alegoryczne. Przebywał w Polsce blisko lat 50. Umarł w roku 1650 i pochowany jest w kościele Dominikanów krakowskich, u których długi czas przemieszkiwał. Odcisnął on wyraźnie piętno na całym ówczesnym malarstwie cechowym, które pod wpływem świetności jego kolorytu, poczęło wyszlachetniać się w pewnej mierze i podnosić do wyżyn dotąd nieznanych.

Pozatem zostawił wielu uczniów, którzy, czy to malując bezpośrednio pod jego kierunkiem, czy, wnosząc wiedzę zdobytą od mistrza do robót samodzielnych, wzbogacali kraj sztuką, której bardzo brakowało w owe czasy.

Jakkolwiek signor Dollabella, darł koty z panami majstrami sławetnego cechu malarskiego, nazywając ich pogardliwie barbarzyńcami; jakkolwiek może do końca życia nie nauczył się poprawnie mówić po polsku, działalność jego artystyczna jest niezmiernie ważną dla sztuki polskiej, gdyż stanowi jeden z wytycznych etapów w jej ewolucyjnym pochodzie, należy więc całkowicie do naszych zdobyczy kulturalnych.

Takie same znaczenie w historii sztuki polskiej miały później prace Norblina, Bacciarellego i innych artystów cudzoziemskich, którzy, osiedliwszy się wśród nas na stałe, wytwarzali atmosferę, promieniującą na szerokie koła społeczeństwa, przyczem sami wsiąkali poniekąd w środowisko, przystosowując się do sposobu życia i obyczajów otoczenia. Skutki takiego promieniowania odbiły się z czasem w ogólnem podniesieniu się wymagań estetycznych i rozbudzeniu zamiłowania do rzeczy pięknych — w rozwoju stopniowym ruchu artystycznego.

Tak przedtem w wiekach XIV i XV wielu przybyszów z Pragi, Norymbergii, Ausburga, z ziem Nadreńskich, przynosząc ze sobą do Polski umiejętności i wiedzę, krajów wyżej cywilizowanych, dawali początek instytucjom urządzeń społecznych, przemysłu, rzemiosł, sztuki — kładli podwaliny rozwoju kulturalnego kraju, który obierali za nową ojczyznę.

Nie widzę racji, ażebyśmy się mieli wypierać udziału w pracy obywatelskiej około całokształtu naszego jestestwa narodowego Bonerów, Szylingów, Betmanów, którzy, przybywszy ongi ze stron dalekich, dali początek zasłużonym w Polsce rodzinom, jak zresztą obecnie jeszcze spotykamy często zupełnie niepodejrzany patriotyzm polski u dzieci i wnuków obcych przybyszów. Dlatego też twórczość Dollabelli, Bacciarellego, Norblina i wielu innych artystów, którzy się z nami żyli uczeni, możnaby śmiało uważać za naszą własność historyczną. Ale też z tego samego powodu, sądzę, że dzieła wielu Polaków wychodźców, stają się własnością społeczeństwa, które ich przygarnęło i usynowiło.

Jestto poniekąd ojczyzna z wyboru, wobec której zaciąga się pewne obowiązki. Nie tyczy się to bynajmniej wyłącznie artystów, ale wogóle znanego po wsze czasy i we wszystkich krajach ludzi typu argonautów, zapędzających się w odległe strony po złote runo. Nie zawsze przyjazne wiatry pozwalają im na

szczęśliwy powrót; zostają więc wśród obcych, zapominając o swoich. Polacy, przyznać trzeba, zapominają trudniej, niż inni, a w życiorysach artystów naszych, pracujących za granicą, spotykamy często strony pełne dowodów nieukozonej tęsknoty za krajem rodzinnym. Rozrzewniający jest np. szczegół z życia wysoce utalentowanego sztycharza Płońskiego, jak trawiony nostalgią, wybiera się z Paryża do Polski piechotą, zawinawszy w węzełek kilka blach do rytowania, ażeby mógł po drodze zarabiać.

Jestto rys niezmiernie sympatyczny, ale wogóle tragiczny los tego, przedwcześnie zmarłego, artysty zupełnie inaczej przedstawia się niż świetna karyera Kucharskiego, który zdobywa dla siebie wielki świat paryski i jakkolwiek dzieła jego nie należą może do zabytków sztuki polskiej, on sam, ustawiony na tle niezmiernie ciekawej epoki historycznej, jako jeden z polskich argonautów, jako duch śmiały, który los brał za rogi, jest niewątpliwie ogromnie ciekawy.

Rozprawka d-ra Mycielskiego tudzież wiadomości komunikowane przez prof. Sokołowskiego na posiedzeniach komisji sztuki w dniach 23 stycznia i 16 lipca 1896 r. oraz 21 stycznia 1897 r., wyjaśniły główne szczegóły biograficzne autora głośnego portretu Maryi Antoniny — malarza Polaka, który konkurował szczęśliwie z malarzami tej miary, co pani Vigée-Lebrun, Roslin i Greuze, który snuł się wśród wytwornych, upudrowanych, pachnących margrabin w uroczych ustroniach Trianonu, który przeżył okropności wielkiej rewolucji i nie zatonął w jej krwawych nurtach, choć nawet konspirował, zdaje się, trochę z rojalistami, lecz dożył sędziwej starości, bo umarł dopiero w osiemdziesiątym czwartym roku życia.

Ostatecznie badania ustaliły datę urodzin Kucharskiego na rok 1736 — umarł w roku 1820 w Sainte-Perin, około Chaillot.

Słynny portret Maryi Antoniny malowany był, jak podaje dr. Mycielski, w roku 1793 między 21 stycznia a 16 sierpnia, to jest datą śmierci króla, a straceniem królowej. Według napisu na kartce, przyklepionej do obrazu, znajdującego się w Brukselli, w galerii pałacu ks. d'Arenberg, wypada, że malarz, jako gwardzista narodowy, trzymając straż w więzieniu, widział królowę w Temple i Conciergerie, że ukradkiem rysy jej naszkicował, a potem w domu portret wykończył.

Owo wykończenie portretu z ukradkowego szkicu, technicznie biorąc, wydaje mi się nieco podejrzane i przypomina zbyt lotną fantazyę romansopisarzów, którzy każą zakochanym mala-

rzom wykonywać z pamięci całe skończone portrety ubóstwianych kochanek.

Znam ten obraz i nieprzypuszczam, ażeby mógł powstać z pobieżnej notatki, ale, że królowa przynajmniej kilka razy musiała artyście pozować.

Jakoż istotnie dr. Mycielski powołuje się na rozprawę p. Mauricego Tourneox: *Trois projets d'évasion de Marie Antoinette*, gdzie wspomniano, że jeden ze stróżów więziennych, niejaki Michonis, ten sam, który konspirował z rojalistami w celu ułatwienia ucieczki królowej, wprowadził malarza do celi raz w Temple, a po wtórnie już w Conciergerie.

Potwierdza to przysłany do Komisji przez d-ra Józefa Korzeniowskiego odpis z biuletynu Trybunału Rewolucyjnego, tytułujący się badania królowej, w którym, na pytanie czy w czasie zamknięcia w Temple, portretowała się, Marya Antonina odpowiada najwyraźniej, że malował ją pastelami malarz, Polak, nazwiskiem Coëstier, osiadły od dwudziestu lat w Paryżu, a mieszkający na ulicy Cocq Saint-Honoré.

Niewątpliwie więc oryginał musiał być względnie wykonany pastelami, a obraz ze zbiorów ks. Arenberga jest olejną jego kopia, prawdopodobnie wykonaną przez samego autora, jak kopia również jest egzemplarz znajdujący się w muzeum Wersalskim, z którego reprodukcję, zakomunikowaną przez kustosa pana Perraté, podaje „Sztuka.“ Zresztą kopij takich dr. Mycielski zna aż siedem, a musiało ich być znacznie więcej ze względu na znaczenie osoby portretowanej i chwili, w jakiej obraz był wykonany.

Co się tycze zmienionego do niepoznania nazwiska naszego rodaka w ustach królowej francuskiej, to rzecz jest całkiem naturalna. Jakkolwiek on sam podpisywał się Kucharsky, nazywano go także Kokarski z dopiskiem „Français“ (*La peinture en Europe par Georges Lafenêtre et Eugène Richenberger*), co w dalszych przeobrażeniach w stosunkach codziennych z Francuzami mogło przejść na Coëstier.

Wracając do omawianego portretu, zaznaczyć trzeba, że w kopiach olejnych nie jest on bynajmniej najlepszym utworem malarza. Nieco ciężki w kolorycie, sztywny i twardy jest w modelowaniu. Materiałem, którym się artysta najpełniej wypowiadał, były, zdaje się, pastele.

Według notatek ks. d'Arenberga wykonać on miał portret królowej jeszcze w roku 1780. Później malował ją powtórnie, a było to w 1791 w Tuileryach. Obraz zaczęły przez artystę na

wiosnę, pozostał nieskończony, gdyż w czerwcu przerwała posiedzenia ucieczka rodziny królewskiej do Varennes, poczem już król, królowa i dzieci królewskie, po powrocie do Paryża, osadzeni zostali w więzieniu Temple.

Chociaż utwór jest nieskończony, malarz podpisał go całym swym nazwiskiem i tem złączył je znowu z nader doniosłym wydarzeniem w historii Francji.

Rodzinie królewskiej w nieudanej ucieczce towarzyszyła margrabina de Tourzel, ostatnia „gouvernante des enfans de France”— jej to właśnie królowa darowała niedokończony swój portret. Obecnie znajduje się on w posiadaniu wnuka pani de Tourzel, księcia Pérruse des Cars w Paryżu.

Tam też przechowane są dwa inne portrety, zdaje się roboty Kucharskiego, mianowicie małego delfina, Ludwika XVII, tudzież, stanowiący niejako pendent do niego, wizerunek księżnej Maryi Teresy d'Angoulème, jako dziecka.

Oczywiście wszedł też Kucharski w stosunki z osobami najbliższej stojącymi dworu, więc przedewszystkiem z margrabiną de Tourzel i dla niej wykonał istotnie bardzo piękny portret jednej z córek margrabiny, Pauliny, wydanej później za hrabiego de Béarn. Portret ten znany jest z reprodukcji rytowanej przez WALTERA — ooryginalne niema żadnych wiadomości.

Niema również wiadomości o wielu innych portretach, których artysta niewątpliwie zrobił sporo w owym czasie w sferze najwyższej arystokracji francuskiej, gdyż musiał być malarzem modnym, jeżeli się zważy, że królowa sama zaszczycała go obśtalunkami dla siebie.

Pozatem Kucharski, jak wszyscy portreciści współcześni, jak pani Vigée-Lebrun, Füger, Angelica Kaufman i inni, był miniaturzystą i, jak wieść niesie, bardzo wziętym i wysoko cenionym.

Ciekawe więc jest niezmiernie życie tego malarza-Polaka w jedynym swojego rodzaju środowisku, zarówno pierwotnie, na dworze Wersalskim w miękkiej atmosferze przepychu i elegancyi, jak potem w okropnościach teroru rewolucyi, której służył, jako gwardzista narodowy.

Sprawy jego osobiste mogą w najwyższym stopniu zająć nas i zainteresować, rozognić wyobraźnię pragnieniem poznania dróg, jakimi chodził na obczyźnie dawny paź króla polskiego. Pragnęlibyśmy podpatrzeć go w romantycznym ustroniu parku Trianon, otoczonego gronem upudrowanych dam i panów w barwnych frakach, lub na krwawych ulicach Paryża, jak maszeruje przybrany we frygijską czapkę z karabinem na ramieniu; ale twórczość pa-

na Kokarskiego, czy pana Coëstier, już bezpośrednio sztuki naszej nie dotyczy.

Tak też twórczość wielu artystów współczesnych, tych licznych nieobecnych, mieszkających stale zagranicą i pracujących dla zagranicy, jest stracona dla naszego dorobku duchowego, jeżeli oni sami niemają ustawicznego czucia z życiem i sztuką społeczeństwa własnego.

Sfera promieniowania sztuki ich nie sięga na odległość, nie jest w stanie przyczynić się do wytworzenia w kraju koniecznej atmosfery artystycznej i tem samym nieprawdą jest, ażeby nieobecni narówni z nami pracowali około budowy gmachu kultury narodowej, choć dzieła ich wysoko notowane są na giełdzie sztuki wszechświatowej.

T. JAROSZYŃSKI.

ROZMAITOŚCI.

Błędy językowe.

Od dość dawna już szerszym warstwom naszego społeczeństwa dotkliwie czuć się dawał brak wydawnictwa, poświęconego wyłącznie *ortopeii*, czyli poprawności językowej. Prace Walickiego, Skobła, Szczerbowicza, Blizińskiego — zostały już wyczerpane i zapomniane. Zapomniane nawet słusznie. Nigdy nie czyniły one zadość wymaganiom naukowym, więc i w chwili swego ukazania się na świat boży, a tembardziej dziś. Dziś nawet tych, którzyby w nich porady szukać chcieli, raczejby przestrzegać przed niemi należało. Autorowie bowiem tych prac bardzo słabe o życiu języka mieli wyobrażenie.

Za miarę znajomości i rozumienia zjawisk językowych u Skobła np. służą już same słowa dedykacyi jego pracy zatytułowanej „*O skażeniu języka polskiego w dziennikach i w mowie potocznej, osobliwie w Galicyi*,” w której I. N. Deszkiewicza zowie „znawcą“ języka polskiego (wyd. 3, Kraków 1872). Ów zaś „znawca,” — prawda profesor „wszechuczelnii“ jagiellońskiej, — był to nielada „specjalista:“ w jego „*Rozprawie o języku polskim i jego gramatykach*“ (Lwów, 1843) między innymi „głębokimi“ myślami czytamy: „Rozumowość pojedynczych wyrazów jest dziwna. Weźnijmy (!) jeden tylko przykład wyrazów *kość* i *ość*: o ile *kość* zwierząt różni się od *ości* rybiej, o tyle wyraz ostatni przez wyrzucenie *k* traci ze swej twardości“ (str. 7). Albo np. oto co pisał on o wyrazie „wszechnica“ w innym swem „dziele“ p. t. „*Treść gramatyki polskiej*“ (Rzeszów, 1865): wyrazu „wszechnica“ używać nie należy, gdyż wyraz ten właściwego swego przedmiotu nie oznacza... końcówka bowiem *ca*, samicom zwierząt właściwa, później do ludzkich imion żeńskich dla okazania pogardy przeniesio-

na została, np. francuzica, paskudnica, nierządnica, wszetecznic...¹⁾ Zatem możnaby — konkluduje — powziąć wyobrażenie o najwyższym zakładzie naukowym wcale niepoehlebne. Wyraz „wszechnica“ bardziejby mógł się stosować do niewiasty, oddającej się wszystkim, po starodawnemu wszem, wszech (str. 106). — *Risum teneatis amici!!*.

Skobel *et consortes* ufali w zupełności tego rodzaju „znawcom“ języka polskiego (por. jeszcze innych „Deszkiewiczów“: P. Czarkowski, A. Morzycki, St. Jocher...), to też ich prace nie posiadają — jak rzekliśmy — żadnej wartości. Tymczasem stąd i zowąd odzywały się głosy prasy i publiczności, domagające się „porady“ w kwestyach poprawności językowej. Tu i owdzie też, w różnych czasopismach, czyniąc zadość ogólnie odczuwanej potrzebie, ukazywały się odpowiednie artykuły; np. w „*Głosie*“ (warszawskim) przez lat kilka, od roku 1895 do 1899, prowadził taką stałą rubrykę p. t. „Błędy językowe“ ś. p. Jan Karłowicz. Dopiero jednak z początkiem roku 1901 poczęło wychodzić w Krakowie pod redakcją Romana Zawilińskiego specjalne czasopismo: „*Poradnik językowy, miesięcznik, poświęcony poprawności językowej*.“ W znacznym stopniu spełnia ono zadanie swe dobrze, — chociażby już przez pobudzanie do zastanawiania się nad zjawiskami językowymi, nie na wszystkie bowiem tłumaczenia redakcyi i różnych autorów godzić się można, a niektóre stanowczo odrzucić należy. Również i artykuły większe nie zawsze pozostają w harmonii z wymaganiami nauki, że przytoczę tu np. wstępne słowa artykułu p. J. Czubka „*Nieco o rozwoju języka*“ (Roczn. II, nr. 1): „Nauka dotarła dotychczas do trzech pewników, że... pierwotne słowa... 2) miały postać samych pierwiastków.“ — Oczywiście „nauka“ nic podobnego dziś nie głosi — i nie od dziś.

Nie będziemy tu jednak zajmowali się „*Poradnikiem językowym*“; odkładamy to na potem. Na tem miejscu zamierzamy zdać sprawę z dwóch prac, poświęconych również wyłącznie poprawności językowej, a które ukazały się w handlu księgarskim jeszcze w roku ubiegłym. Są to: „*Najpospolitsze błędy językowe, zdarzające się w mowie i piśmie polskiem*“, opracowane przez p. Antoniego Krasnowolskiego (Warszawa 1903, nakł. i druk. M. Arcta; w wydawnictwie p. t. „*Książki dla wszystkich*“ nr. 123, in 16-o,

¹⁾ Naturalnie „zapomniał“ autor o wyrazach: kudzielnica, chrzielnica, strzelnica, wietnica (t. j. ratusz w staropolskim), popielnica, pszenica, obietnica, dzielnica i t. p.

str. 167) i „*Błędy językowe*,“ zebrane przez p. Artura Passendorfera, profesora c. k. wyższej Szkoły realnej we Lwowie (wyd. 2, poprawione i znacznie powiększone; Lwów 1904, nakł. Księgarni Polskiej; Warszawa, E. Wende i Sp.; in 8-o, str. VIII+238).

Obie te prace znacznie się różnią między sobą, tak pod względem układu materiału, ilości zebranych błędów, objaśnień przy nich, jak i pod względem zapatrywania się autorów na owe, omawiane przez nich, błędy językowe.

A więc co się tyczy np. układu materiału, to praca p. Passendorfera jest właściwie „słownikiem:“ błędy językowe ułożone zostały alfabetycznie. Jeśli np. kto wątpi czy *poselać*, *poselka* są formami poprawnemi, znajdzie pod temi wyrazami odsyłaczy do *posyłać*, *posyłka*, pod temi zaś ostatniemi — wyjaśnienie, że należy mówić *posyłać* a nie *poselać*, *posyłka* a nie *poselka* i t. p. Pod *książe*, *ręka*, *kurczę*... znajdujemy odmiany tych wyrazów, następujących zwykle pod tym względem pewne trudności; pod *oko* — cały szereg charakterystycznych wyrażen i t. d. Jeśli kto szuka rodzimego wyrazu równoznacznego zapożyczonemu *portyer*, to pod tym ostatnim znajdzie jego rodziny równoznacznik: *odźwierny*, pod *gaża* — *placa*, *żołd*, pod *furman* — *woźnica* i t. d. Liczne odsyłacze przy różnych wyrazach i wyrażeniach skierowują czytelnika ku większym artykułom, zatytułowanym: „*Nazwiska miast*,“ „*Nazwiska panien*,“ „*Nazwiska żon*,“ „*Liczebnik*,“ „*Odmiana rzeczowników*,“ „*Czas przeszły*,“ „*Czas przyszły*,“ „*Czasowniki*,“ „*Rodzaj rzeczowników*“ i t. p.

Nie tak łatwo szukać porady w wątpliwościach w książeczce p. Krasnowolskiego. Zebrany materiał językowy omawia autor w specjalnych rozdziałach, odpowiadających poszczególnym częściom gramatyki ogólnej, więc mamy tu: I. Błędy w głosowni, II. Błędy w słoworodzie, III. Błędy w odmianach, IV. Błędy w składni, V. Błędy w znaczeniu. I tylko w tym ostatnim odziale ułożone zostały alfabetycznie „*wyrazy, używane w znaczeniu błędnem*;“ w innych — bez żadnego porządku. Dla „wtajemniczonego“ w sprawy językowe podział taki może być ułatwieniem w odszukaniu artykułu, poświęconego omówieniu tego lub innego błędu; ale ci wszyscy, którzy nie są pewni, czy używana przez niego forma jest błędną czy też poprawną (a wszak dla nich chyba owa książeczka przeznaczona), tembardziej nie mogą wiedzieć w jakiej rubryce szukać objaśnień. Wszak przed owem szukaniem trzeba być głęboko przekonanym o błędzie i wiedzieć na czem on polega; jeśli się zaś to wie, to niema już poco szukać objaśnień u p. Krasnowolskiego. Zresztą nawet „specjalista“

nie odrazu da sobie radę z układem błędów we wspomnianej pracy, tak np. *rygski*, *pragski* pomieścić p. Krasnowolski w „głosowni,” ale przecie z równą słusnością można owe „błędy” omawiać i w „słoworodzie;” *weznę*, rozpatruje autor w „słoworodzie,” kto inny pomieściłby w „głosowni;” wistocie jednak i *rygski*, *pragski* i *weznę* jako „błędy” niczem się nie różnią — powstały drogą wpływów analogicznych.

Pod względem zatem praktycznym praca p. Passendorfera znacznie przewyższa pracę p. Krasnowolskiego. „*Błędy językowe*” p. Passendorfera ułożone zostały bez zarzutu. Na każdym kroku widać, jak wiele włożył autor usiłowań i pracy, aby każdy, poszukujący w tej książce porady, mógł ją odrazu znaleźć. Nawet szukający po omacku, machinalnie, natrafi na cel swoich poszukiwań. Dobór czcionek i wygodny format książki — dopełniają reszty. Słowem, zewnętrznie rzecz p. Passendorfera wykonana znakomicie.

Ilość błędów, zamieszczonych w książce p. Passendorfera, przewyższa znacznie ilość omówionych u p. Krasnowolskiego. Z tego jednak nie można robić p. Krasnowolskiemu żadnego zarzutu: już sam tytuł wskazuje, iż autor zamierzał mówić tylko o „najpospolitszych błędach językowych” (por. też przedmowę).

Co się tyczy objaśnień autorów, to zaznaczyć należy, iż p. Krasnowolski udziela ich bardzo obficie, p. Passendorfer — z wyjątkiem kilku miejsc — nie daje żadnych. Niejednemu może z czytelników wydaje się przeto, iż owa właśnie okoliczność stanowi zaletę pracy p. Krasnowolskiego. Niestety, tak nie jest; i mianowicie z następujących powodów: przedewszystkiem owe objaśnienia tylko w bardzo nieznacznej ilości wypadków mogłyby się przyczynić, iż czytelnik dla nich właśnie począłby unikać tego lub owego wyrażenia, jako „błędnego.” Popelniane zwykle „błędy” — są to w przeważnej części twory analogiczne; jeśli więc autor wykaże, iż ten lub ów „błąd” nie powstał drogą fonetyczną, to czytelnik, który przypomni sobie wiele innych tworów analogicznych, przeciwko którym nikt nie powstaje, nie będzie wiedział jeszcze dlaczemu tamtych właśnie ma unikać. Stwierdzenie i wykazanie, że ta lub owa forma lub wyrażenie nie powstały drogą fonetyczną, nie jest jeszcze dostatecznym powodem do wypowiedzenia im wojny. I chronologia tu mało pomaga: mamy przecie tego rodzaju formy sięgające swemi początkami odległych czasów, a mimo to wciąż i przez wszystkich uważane za „błędne,” i zatem unikane. Inną część błędów językowych stanowią wyrazy i wyrażenia przejęte z języków obcych. Zwykle objaśnienie, iż

ów wyraz jest np. rusycyzmem więc nie należy go używać, również niema siły przekonywającej, już chociażby dlatego, że co w jednym „poradniku“ uznano za rusycyzm, to w drugim — za germanizm, a w trzecim — za galicyzm i t. d. Tak się dzieje zwykle. W rezultacie czytelnik ciska w kął wszystkimi „poradnikami“ i traci do nich wszelkie zaufanie. Otóż p. Passendorfer podobnych objaśnień nie daje. Dla niego wszystko jedno czy ten lub ów wyraz powstał drogą fonetyczną, czy też analogiczną, czy to wyraz od wieków używany, czy też nowotwór. P. Passendorfer poprzestaje na stwierdzeniu, że pewna forma, pewien wyraz, względnie wyrażenie, jest w powszechnem użyciu, że używa go również Sienkiewicz, Konopnicka, Orzeszkowa, Wyspiański, Żeromski, Reymont i inni; w innych wypadkach stwierdza, że dwie formy są w użyciu, sprawdza zatem, która częściej i czy ją wzorowi pisarze używają — jeśli tak, poleca ją, nie potępiając bynajmniej obocznej. W wypadkach mogących budzić wątpliwości nie sili się na karkołomne dowodzenia rzekomej poprawności tego lub innego wyrazu lub wyrażenia, lecz przytacza liczne cytaty z wzorowych, nowszych pisarzy. Kieruje się więc metodą, że tak powiem, statyczną: jeśli wyraz jest w powszechnem użyciu — więc jest dobry, „poprawny.“ Jedynie w kwestyi wyrazów zapożyczonych jest p. Passendorfer mniej wyrozumiały, oto np. zamiast *rebus* bez potrzeby radzi mówić „zagadka obrazkowa;“ zamiast *blagier* — „zależnie od związku: samochwał, łgarz, pyszałek,“ zapominając, iż wyraz *blagier* różni się zabarwieniem w znaczeniu od przytoczonych synonimów; zresztą nie są tu też bez znaczenia i czynniki eufemistyczne; zamiast *boksować się* — „kułakować się, walczyć na pięści;“ ale tu przecie istnieje również różnica znaczeniowa: *boksować się* — to znaczy „kułakować się, walczyć na pięści *podług pewnych, znanych zasad;*“ i t. p. Są to jednak drobiazgi; zresztą niema tu dowodzeń, że tylko proponowane przez autora formy są jedynie poprawne.

Następnie — dlaczego objaśnienia p. Krasnowolskiego nie są zaletą jego książeczki — oto dlatego, że w ogromnej ilości wypadków pozostają w rozdzwieku z danymi naukowemi, niekiedy są wprost błędne, tak np. „prawidło odśredniojęzykowania“ pierwotnego *e*, podane błędnie (str. 14), o czem autor może się przekonać z każdej elementarnej gramatyki języka polskiego; w tem „prawidło“ opuścił autor *ł*, *n*, natomiast bez dostatecznej przyczyny wciągnął *k*: *włokę, włoką* niczego nie dowodzi, wszak mamy i *wlekę, wleką* i zawsze tylko *zwiekam*, nigdy *zwlokam*, a następnie -- *piekę, rzekę, ciekę*... dalej *siekę, człowiek, rzeka, wiek, wieko, lek*...

Nie chodzi nam tu jednak o wyjaśnienia szczegółów, raczej o stronę metodyczną; ta najbardziej szwankuje: *tłumaczus* (pol. tłumacz) jest tak „po litewsku,” jak *burmistrz* po polsku (str. 9), więc kombinacye autora, na tym wyrazie oparte, nie posiadają żadnej wartości. Chronologia zjawisk językowych jest dla autora kwestyą bez znaczenia: tu i owdzie przy nowszych wyrażeniach spotykamy takie zdanie: „dla ojców naszych byłyby (owe wyrażenia) wprost niezrozumiałe albo śmieszne.“ To żaden dowód; język na miejscu nie stoi. Mówiąc o imionach własnych obcych (str. 45—48) zapomina autor o stopniu ich przyswojenia. Dlaczegoż mówimy *Konfucyusz* a nie *Kung-fu-tse*, ale *Lao-tse*? Rzecz bardzo prosta. Imię pierwszego częściej się ma na ustach, imię zaś drugiego -- rzadziej; imię pierwszego przenikło do szerokich kół społecznych, imię zaś drugiego znane jest przeważnie tylko w kołach specjalistów i pozostających z nimi w bliższych stosunkach. Niema więc sensu na *Albertrandy* wzorować *Ferri* i pisać *Ferry* etc.; słowem, wszystko „podpędząć” pod jeden szablon. Mówiąc zaś o nazwach ludów, autor pomija jeszcze i okoliczność od kogo tę lub ową nazwę zapożyczyliśmy. Mówimy zatem *Hindus*, *Eskimos*, *Syngalez*... ponieważ nazwy te w nowszych czasach przeważnie od Niemców zapożyczyliśmy. Co innego *Chińczyk*, *Japończyk* (por. staropol. *Japon*). W XVI wieku, Bielski, w „Żywotach filozofów“ pisał *lidowski* (Lidya), *azyński* (Azya)... my dziś innych przymiotników używamy. *Indus*, *Hindus* — już się utarło; równie dobre, jak nowsze *Ind*, *Hind*, natomiast proponowane przez p. Krasnowolskiego *Indyjczyk* (też *Syngalczyk*) jest zupełnie niepotrzebne. Różnica między znaczeniem *Hindus*, *Hind*, a *Indus*, *Ind* błędnie przez autora wytłumaczona.

Czasami tłumaczenia autora są tego rodzaju, że zdaje się, iż autor drwi sobie z czytelnika; tak np. p. K. słusznie radzi mówić: „mówiłem z *Bergmanem* lub z *Bergmanową*,” nie zaś w obu wypadkach: „mówiłem z *Bergman*,” ale dla tego słusznie, że aczkolwiek spotykamy takie wyrażenia, jak ostatnie, to jednak w powszechnem użyciu są sposoby wyrażania się poprzednio wymienione, ale w żadnym razie nie dla tego, że „nie wiadomoby było, czy mam do czynienia z mężczyzną czy z kobietą.“ Przytaczanie podobnych „dowodów“ jest wprost ośmieszeniem się w oczach inteligentnego czytelnika. Wogóle, gdzie autor nie może się zdobyć na jakieś takie poparcie proponowanej przez siebie formy lub wyrazu, tam ucieka się do straszenia czytelnika mogącym wyniknąć między rozmawiającymi nieporozumieniem. Oto np. nie można mówić: „człowiek na tyle głośny“ (str. 103) tylko dla tego,

że „Polak, nieumiejący po rosyjsku... pomyśli zaraz o innym „ty-le,“ który nie znajduje się na przodzie.“ W tłumaczeniu polskim pisma św. z wieku XV czytamy: „Naprzodku było słowo, a Słowo było u Boga, a Bóg był Słowo. To było naprzodku u Boga“ (*Rozpr. wydz. filol. Ser. II., t. IX 95*), — sądzę jednak, że ani w wieku VX, ani w XIX i XX nikt opacznie zdania tego nie rozumiał. P. Krasnowolski nie zaleca 2 przyp. licz. mn. *to-warzyszy, niepokoi, partaczy...* bo „mogłoby spowodować dwuznaczność...“ „mogłyby być zrozumiane jako 3-ie osoby czasu teraźniejszego od słów *towarzyszyć, niepokoić, partaczyć*“ (str. 56)!! Albo np. trzeba mówić „gonić... za kim, albo za czem,“ bo osoba goniąca rzeczywiście (!) znajduje się za kim z tyłu“ (str. 105), ale nie można powiedzieć „śledzić za czem“ (str. 104) zapewne dla tego, że osoba śledząca *rzeczywiście* znajduje się *przed* śledzoną!!... Tych, którzy używają wyrażenia „*przeciętny*“ (niem. *durchschnittlich*) autor chce oduczyc od używania tego wyrażenia pytaniem: „Kto to wszystko poprzecinał?“ (str. 142). Otóż, *primo*, mówią „*przeciętny*,“ a nie „*przecięty*,“ a *secundo*, mówimy przecie „na oko“ w znaczeniu „pozornie“ („*blos zum Scheine*“) i nikt nie pyta czy przy owem patrzeniu „gdzieś komuś ktoś coś“ „na oko“ położył, czy też to ma znaczyć, że patrzymy wówczas tylko jednym okiem!...

W przeważnej ilości podobnych wypadków autor, kierując się czuciem, ma rację, wskazując na pewne formy, wyrazy i wyrażenia, jako na „dobre,“ na inne, jako na „złe,“ których unikać należy, ale motywy, dla których potępia jedno, a chwali i proponuje inne, nie tylko, że nie mają żadnej siły przekonywającej, ale jeszcze dla czytelników, niezbyt wprawionych w samodzielne myślenie wogóle, a w zakresie poprawności językowej w szczególności, są szkodliwe, wdrażają bowiem unysł w dziwnie niekonsekwentny sposób myślenia (por. „*kombinacje*“ przy *gonić, śledzić* i t. p.), z drugiej znów strony ośmieszają badania językowe, gdyż czytelnik doprawdy może pomyśleć, że „językoznawcy“ kierują się w swoich badaniach metodą p. Krasnowolskiego.

Również i cały szereg ogólników, wypowiedzianych przez tegoż autora z powodu poszczególnych „błędów“ językowych, grzeszy brakiem dokładności, wierności etc. Autor błędnie przedstawia pochodzenie języków romańskich (str. 4). Te ostatnie wcale nie powstały — jak pisze — przez „rozpadanie“ się „*łaciny*“ t. j. języka klasycznego, języka literatury, lecz skutkiem romanizacji języków nie-romańskich za pośrednictwem *łaciny ludowej*. Niedokładnem, a nawet błędnem jest tłumaczenie terminu „*makarok-*

nizm“ (str. 161). Autor nawet takie wyrazy jak *charakterystyczny, banalny, obiektywny*... za makaronizmy uważa! Nie należy zapominać, że właściwie makaronizmami zowią się nie „wyrazy obce (łacińskie, greckie, niemieckie, francuskie, rosyjskie i inne), wplątane do mowy polskiej“—jak mniema autor—lecz odwrotnie, pisane łaciną z wplątaniem w jej *formy* wyrazów jakiegoś innego języka. Wyrażenie: „mówilem z panem Piotrowicz“ daje autorowi powód do zapytania: „Co to znaczy? Czy nasz język spadł do rzędu języków niefleksyjnych?“ (str. 71). Dla czegoż „spadł“? Przecie np. francuski lub angielski język, tracąc fleksyę, bynajmniej nie „spadały.“ Niech sobie też autor przypomni, że po niemiecku nie tak jeszcze dawno temu „Goethe schrieb an Vossen“ (dziś już „an Voss“); por. też np. „der Herzog gab Goethen die Hand.“ Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy popierali cytowany wyżej sposób mówienia „po polsku,“ ale dla tego nie popieramy, że nie jest w powszechnem użyciu, nie można jednak tolerować z gruntu błędnego i bałamucącego czytelnika tłumaczenia. Zdanie autora ogólnie wypowiedziane, iż „wielu widocznie mniema, że imiona własne mają jakieś osobne prawa w gramatyce“ (str. 71) jest również błędne, gdyż dość zaglądnąć do jakiegokolwiek gramatyki któregośkolwiek języka aryoeuropejskiego, aby przekonać się, że imiona własne osobno są omawiane, że posiadają zatem „osobne prawa w gramatyce,“ wyrażając się słowami autora.

W wielu wypadkach należałoby autorowi wyrażać się dokładniej, tak np. na str. 25 pisze: „Wyraz *gimnazista* jest wzięty z języka rosyjskiego; jest wprawdzie utworzony według analogii rzeczownika *seminarzysty*!... Jakto — i „wzięty“ i „utworzony według analogii“? „Barbaryzmy semazyologiczne — pisze na str. 123 — jeszcze bardziej szpecą język, niż barbaryzmy syntaktyczne, gdyż głębiej od nich wnikają w ducha języka“ — jakaś to bardzo głęboka filozofia *à la* Deszkiewicz. Dla autora „dziwacznie brzmi“: „Mieszkam Wilecza 53“ (str. 74). Naturalnie, jeśli by tak „brzmiało,“ ale oddając wiernie owo „brzmienie“ żywej mowy należy napisać: „mieszkam: Wilecza 53,“ albo „mieszkam — Wilecza 53.“

Mimo, iż p. Krasnowolski w „Przedmowie“ do swej książeczki mówi, że w ocenie błędów kierował się „ogłędnością i uniarowaniem,“ że będzie zwracał głównie uwagę na błędy „najpowszechniejsze, t. j. takie, które najbardziej zagrażają czystości języka“ — mimo tych zastrzeżeń, co krok spotykamy się z zapędami

purystycznymi ze strony autora, tak np. przymiotniki *łąkowy*, *brzegowy*, *śniegowy* zowie dziwolągami i zupełnie niepotrzebnymi“ (str. 20). „Niech — pisze — kwiaty *łączne* nikogo nie rażą, nie wymyślajmy kwiatów *łąkowych*.... Niepotrzebna też linia *brzegowa* i *śniegowa*, gdyż posiadamy przymiotniki *brzeżny* i *śnieżny*.“ Ależ wyrazy *śniegowy* i *brzegowy* — dziś w powszechnem użyciu — istnieją w języku naszym od XVII stulecia, a *łąkowy* od XVIII. Za „niepotrzebny“ germanizm albo galicyzm uważa autor wyrażenie *jeden* w znaczeniu „pewien, jakiś“ (str. 88). A jednak już Leopolita w swej Biblii (1561 roku) pisał: „Był *jeden* człowiek bogaty....“, a lud dziś nie inaczej bajkę opowiadać zaczyna, jak od słów: „Był sobie *jeden* król...“

Nie ma też potrzeby powstawać na będący w powszechnem użyciu pleonazm *jednem słowem* (str. 88); zna to wyrażenie i Kna-pskiego: „*Thesaurus linguae Polonicae*“ (1621); — również i na wyrażenie *być w stanie* (str. 149), bo tak mówimy już od XVIII wieku, a dowcip p. Krasnowolskiego, że „w stanie“ może tylko ktoś być cienki albo gruby — nikogo ani przekona, ani zabawi. Raczej smutne dla autora reminiscencye wzbudzić może w umyśle czytelnika... Również *li tylko* nie jest wcale „głupstwem“, wyrażając się słowami p. Krasnowolskiego, lecz takim samym, mającym zupełną rację bytu, pleonazmem, jak już wymieniony „jednem słowem“, lub „sam jeden“, lub częste w staropolskim „jedno tylko“, albo „z dawien dawna“ i „z dawnej dawności“, jak pisze Konopnicka lub jak piszą Niemcy: „*Stillschweigend*“ i t. p. Więc niesłusznie potępia p. Krasnowolski te i inne wyrazy i wyrażenia, co więcej nawet sam „kuje“, tak np. radzi zamiast utartego „spacerowicz“ używać wyrazu „spacerownik“ (str. 43), zamiast „w dwóch, w obu rękach“ — „w dwu, w obu ręku“(!) (stronica 57) i t. d.

Z podobnymi błędami metodycznymi, niedokładnościami i zapędami puryfikacyjnymi nie spotykamy się w pracy p. Passendorfera. Jest natomiast pewna wada wspólna pracom obu autorów, zresztą i wielu innych autorów; p. Krasnowolski jednakowoż „celuje“ w tym kierunku, p. Passendorfer — jak zwykle — ostrożny, wrozumiały. Oto np. p. Krasnowolski pisze: „Prawidłowo może być tylko *reparować*“ (str. 6), p. Passendorfer zaś — „*reparować*, niekiedy także reperować“, a w objaśnieniu: „lepiej: *reparować*“; obaj opierają się na łacińskim wzorze — *reparo*. Ale nie zawsze tak łatwo o źródło. Oto np. zaraz po „reparować“, omawiając wyraz *weranda*, p. Krasnowolski pisze: „podobnież mówić należy:

weranda, gdyż ten wyraz w języku portugalskim, z którego pochodzi, brzmi: *varanda*,“ natomiast p. Passendorfer, polecając formę *weranda* objaśnia: „z hiszpańskiego *veranda*.“ Opierając się na formie portugalskiej — jak to czyni p. Krasnowolski — staje się niezrozumiałem dla czego pierwsze *a* („*varanda*“) mamy prawo w polskim przez *e* zastępować („*weranda*“), a drugie *a* („*varanda*“) musimy zachować? Gdzie tu logika? Więc może ma rację p. Passendorfer, ponieważ forma polska i hiszpańska brzmią identycznie? Nie sędzę. Najprawdopodobniej zapożyczyliśmy *werandę* od Niemców — „*Werande*.“ Źródłem zaś dla języków zachodniej Europy jest niewątpliwie wyraz portugalski, ten zaś bynajmniej nie jest „portugalskim;“ jest to bowiem wyraz, zapożyczony przez portugalczyków z języków indyjskich. Tak dobrze zatem można twierdzić, że wyraz polski „*weranda*“ pochodzi z języka portugalskiego, jak i z indyjskiego.

Nie ma również racji p. Krasnowolski twierdząc, że polskie *szemat* pochodzi z języka greckiego; z greckiego, a najprawdopodobniej z łaciny, pochodzi polskie *schemat*, zaś *szemat* zapożyczyli nasi technicy w nowszych czasach z języka niemieckiego. Podobnie mamy *machina* i *maszyna*. Rozumowanie p. Krasnowolskiego: „Czyż zwolennicy pisowni *szemat* zechcą pójść za przykładem niemieckim, a więc pisać i mówić: *szolastyka*?“ przypomina sylogizm: *Kajus* ma dwie nogi — *gęś* ma dwie nogi; *ergo* — *Kajus* jest *gęsią*!

Powszechnie używane są wyrazy *biszkopt* i *biszkolt* — ten ostatni naszym zdaniem znacznie rzadziej; jednakowoż p. Passendorfer objaśnia: „ze względu na pochodzenie tego wyrazu (*biscoctus*) lepiej: *biszkolt*“ (str. 9). Oczywiście nic nie przekonywujący dowód. Należy też zwracać uwagę i na chronologię: ten sam wyraz obcy, zapożyczony w różnych epokach, w odmiennych może istnieć postaciach np. *barwa* i *farba*.

Powtarzamy, że w pracy p. Passendorfera z niedokładnościami tego rodzaju spotykamy się nader rzadko; autor zawsze jest ostrożny i umiarkowany; nie narzuca jednych form i wyrazów, nie potępia bez dostatecznych powodów innych; np. *biedaczysko* *ten* albo *to*, ci *autorowie* albo *autorzy*, tych *badaczów* albo *badaczy*, tych *bednarzów* albo *bednarzy*, tych *bitew* albo *bitw*... *baldachin*, *baldakin* albo *baldachim*... „*Gdzie idziesz?*“ i t. p. Odwieczny zwyczaj językowy — pisze p. Passendorfer — uświęcił to wyrażenie, można więc mówić: *gdzie idziesz?* *gdzie jedziesz?*... albo *dokąd idziesz?* *dokąd jedziesz?*...

I podobnie w wielu miejscach. Taki stosunek autora do różnych form, wyrazów i wyrażeń, dowodzący, że autor rozumie istotę poprawności językowej, życie języka wogóle—stanowi wadną zaletę pracy p. Passendorfera. Najjaskrawiej zaleta ta występuje, gdy się porówna to, co mówią obaj autorowie o jednym i tym samym „błędzie“ językowym. Oto np. p. Krasnowolski na stronie 64 oburza się, że *para* w pewnych wyrażeniach oznacza „kilka.“ „Zabawna mowa!—pisze — jakby można było ni stąd ni z owąd postanowić, że trójka ma być parą!“ Tu nie potrzeba ustanawiać, ani filozofować *à la* Deszkiewicz, tylko *wiedzieć*, że w pewnych wyrażeniach *para* znaczy „kilka“: „parę flasz wina,“ „za parę dni“. . . czytamy też często w utworach XVIII wieku; również należy wiedzieć, że i „trójka“ może być „parą“ — nawet była i niekiedy jest: oto w dawnej polszczyźnie spotykamy wyrażenie „trzemi słowy“ czyli inaczej „kilkiem słów, jaknajkrócej.“ Oczywiście „od paru lat“ utworzone nie tylko na wzór „od kilku lat“ lecz i „od dwu (dwuch)... pięciu, sześciu, siedmiu... tylu... wielu... lat.“ Ponieważ w tem wyrażeniu „od paru lat“ — „para“ oznacza „kilka,“ a nie „dwa“ więc i „para“ w tem znaczeniu inaczej się odmienia, wbrew zdziwieniu p. Krasnowolskiego. Tak samo mamy „tego zamku“ i „tego zamka.“ Jakże inne stanowisko wobec powyższego wyrażenia zajmuje p. Passendorfer! Oto pod *para* (str. 138) czytamy: A) *Para* (=dwie osoby lub rzeczy, należące do siebie). *Para* narzeczonych, *para* gołębi, *para* butów. Rzeczownik ten odmienia się jak *ściana*. . . . B) *Parę* (=kilka). Liczebnik nieoznaczony: *parę* odmienia się, jak *kilka*. . . .“ Zgodnie z tem zatem odmieniamy *para butów*, *parę butów*... w *parze butów*... lecz — *parę butów*, *paru butów*... w *paru butach*... Powyżej daliśmy również kilka przykładów, ilustrujących metodę p. Krasnowolskiego: straszenie nieporozumieniami, logicznymi dziwolągami etc. Oto zaś charakterystyczny ustęp z pracy p. Passendorfera: „Od wieków mówiono i pisano: *mieszkać na ulicy*, dopiero w wieku XIX poczęto dowodzić, że „tylko włóczęgi i lazzaronowie włoscy *na ulicach* mieszkać mogą, ludzie zwykle mieszkają w domach *przy ulicy* stojących, a więc mieszkają *przy ulicy*, nie zaś *na ulicy*.“ Tego rodzaju wywody nie mają żadnego uzasadnienia. Gdybyśmy chcieli tym samym sposobem „poprawiać inne, pozornie niedorzeczne wyrażenia (np. *stoję na słońcu*, *stoję na deszczu* wyjechałem *na świeże powietrze* i t. p.), powstałyby bardzo *logiczne*. . . . *dziwolągi językowe*.“ Ale nie będziemy więcej mnożyć owych „porównań.“ I przytoczone dostatecznie charakteryzują wartość obu prac.

Praca więc p. Krasnowolskiego w porównaniu z pracą pana Passendorfera, pozostaje daleko w tyle. Nie dla tego jednak, aby dawała zawsze błędne rady: potępiała dobre formy językowe, a zalecała złe. Nie znaczy to znów, abyśmy się wszędzie z panem Krasnowolskim zgadzali, abyśmy formy, wyrazy i wyrażenia przez niego zalecane, za jedynie możliwe i poprawne uważali. Jeśli się zaś na większość zalecanych przez autora godzimy, to dla tego tylko, że one właśnie w powszechnem są użyciu, potępiane zaś przez niego słusznie, popełniane zostają li tylko przez niezmierną część naszego społeczeństwa. Za błędne i szkodliwe natomiast uważamy objaśnienia p. Krasnowolskiego bałamucące czytelnika, wprowadzające do myślenia urągającego elementarnym zasadom logiki, uniemożliwiające przeto wszelkie zrozumienie istoty zjawisk językowych. Słowem, aby książeczka p. Krasnowolskiego mogła być pożyteczną, musiałaby uleść gruntownemu przeobrażeniu, od A do Z.

Zupełnie inaczej rzecz się ma z pracą p. Passendorfera, pracą bardzo pożyteczną, doskonale wykonaną. Nie wątpimy, że nasze inteligentne warstwy społeczne potrafią tę pracę ocenić i wyróżnić, że znajdzie ona jaknajszersze rozpowszechnienie, na co ze wszech miar zasługuje. Nie wątpimy też, że niedługo czekać będziemy na nowe, powiększone wydanie „Błędów językowych.“

Drobiazgów, któreby, naszym zdaniem, poprawić w owem nowem wydaniu należało, wyliczać tu nie będziemy; natomiast pozwolimy tu sobie słów kilka poświęcić rubryce zatytułowanej: „Błędne wymawianie.“ Tę rubrykę należałoby całkowicie przerobić, a mianowicie przede wszystkim z tego względu, iż w niej autor pomieszał błędy „językowe“ i „ortograficzne“ z błędami „wymawianiowemi.“ Oto np. *posetać, posetka... oddechać, wdechać...* to nie błędne „wymawianie“ wyrazów *posyłać, posyłka... oddychać, wdychać...* Następnie wcale nie jest „poprawnem“ ze stanowiska języka polskiego „wymawianie“ *bronz, pensya...* albo *bęben, tętno, tępic...* co innego pisownia tych wyrazów; autor radząc tak „wymawiać“, jak owe wyrazy właśnie są wyżej napisane, popełnia błąd metodyczny. Wymowa tego rodzaju wyrazów już dostatecznie wyjaśniona została przez prof. Jana Baudouina de Courtenay, prof. I. Rozwadowskiego i p. T. Benniego. Również błędem metodycznym jest następująca rada: „Nie należy opuszczać końcowego ł w formach takich jak *lazł, padł, szedł...* nie: *laz, pad, szed...*“ Zauważę też nawiasem, że błędnie podano *laz, pad, szed...* zamiast *las, pat, szet...* Również nikt nie mówi: jabko (*jablko*), lecz

wszyscy mówią japko. Konsekwentnie autor powinien polecić wszystkim wymawiać: *bez, chleb, spiż, dąb, kolebka...* gdyż każdy „poprawnie“ po polsku mówiący — mówi: *bes, chlep, spisz, dąp, kolepka...* Słowem ustęp ten należałoby zupełnie przerobić. Na zakończenie jeszcze raz gorąco polecamy pracę p. Passendorfera wszystkim miłośnikom ojczystego języka.

HENRYK UŁASZYN.

PIŚMIENNICTWO.

ALEKSANDER KRAUSHAR. *Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. 1824—1828.*

Autor zaznaczył w przedmowie, iż przedostatnie czterolecie Towarzystwa, mniej zasobne w ważniejsze prace i rezultaty naukowe, zaznaczyło się faktem doniosłym, który na losy jego późniejsze wpłynął decydująco i sprowadził znamienne, w dotychczasowym jego, ściśle zachowawczym, kierunku dążeń i celów, następstwa. Po éwierćwiekowym przeszło udziale czynnym w rozwoju Towarzystwa, zeszedł Staszic z pola działalności doczesnej, a dziedziectwo po nim przeszło w ręce, mniej może mu duchowo równego, lecz w dążnościach obywatelskich jednako wyszkolonego, Niemcewicza. W tej epoce nie wydało grono członków ani jednego donioślejszego utworu literackiego. Na posiedzeniach publicznych popisywano się utworami poety Kruszyńskiego lub też wyjątkami z „Ziemiaństwa,“ wówczas właśnie, gdy na szerszej arenie rozbrzmiewały echa „Sonetów Krymskich“ Mickiewicza. Wyróżnienie nauk przyrodniczych i przewaga ich nad literaturą piękną, widocznemi są z przemówień Niemcewicza na posiedzeniach dorocznych, publicznych. Nawet Lelewel, historyk, ulega wpływowi owych nauk i bierze udział w posiedzeniach wydziału umiejętności. Do tej przewagi umiejętności ścisłych nad humaniorami, w owym czasokresie, przyczynił się niewątpliwie i nastrój ogólny w życiu publicznem, coraz gęstszymi chmurami się zasnuwającym.

Pierwsze posiedzenie 1824 r., które się odbyło w nowym gmachu, poświęcone było przeważnie uczczeniu Staszica za jego fundacyę Hrubieszowską. Mowę miał Skarbek. Była ona dla Staszica niespodzianką, to też gdy ją rozpoczął Skarbek, Staszic

rozczulony zakrył twarz rękami i tak przez cały czas jego mowy siedział, chcąc ukryć przed publicznością wzruszenie swoje. Opisał Skarbek urządzenie fundacyi, w której, miasto i wioski, przedtem przez czynszowych i pańszczyźnianych wyrobników osiadłe, w których nigdy praca i nędza kilkuset ludzi, zbyt kom jednego hołdownicze znosiła daniny—zaludnione zostały obywatelami nieulegającymi władzy lub wpływowi bezpośredniego dziedzica i którzy obecnie na własnym gruncie, dla siebie i dla potomków swoich, owoce pracy zbierają. Wyzuł się dotychczasowy dziedzic tych włości dobrowolnie z ich własności i rozdzielił między osiadłych włością pola, tak dworskie, jak i włościąskie, i aby osadę tę dobroczynną na zawsze od wypadków losowych, nieszczęśliwych zasłonić, nadał jej formę towarzystwa rolniczego, węzłem wzajemnych potrzeb skojarzonego i ustawom przez założyciela nadanym nazawsze podlegać mającego. Pierwszym obowiązkiem każdego stowarzyszonego, regularne opłacanie podatków, rozłożonych według zasady stałej, stosownie do rozległości gruntów ustanowionej. Za tę opłatę ręczy gmina solidarnie. Władza gminna czuwa nad spełnianiem tego obowiązku stowarzyszonych, zniewala opieszłych karami stopniowanemi, z których ostateczne jest wyzucie z własności i oddanie jej innemu, rządniejszemu.

Niezależnie od dobrobytu zewnętrznego pomyślał fundator o rękojmiach moralności osady, o wszczępieniu cnót samopomocy i pomaganiu sąsiadom w wypadkach losowych, o krzewieniu między osadnikami oświaty, przez ustanowienie szkoły miejscowej i funduszu na kształcenie młodzieży zdolniejszej w szkołach wojewódzkich i w uniwersytecie. Towarzystwo rolnicze hrubieszowskie uwolnionem zostało od nędzarzy i od sierot bezdomnych drogą obowiązkowego nakazu przyjmowania takich sierot przez bogatszych gospodarzy. Żołnierze z osady pochodzący, znajdują na starość przytułek w domu inwalidów. Przeworność fundatora obmyśliła dla osady bank zaliczkowy, kasę oszczędności i pożyczek, magazyny zbożowe. Pożyczki poddano zasadzie amortyzacyi. Dalsze przepisy fundacyi określały warunki wypuszczenia karczem i młynów w dzierżawę wieczystą, utrzymywania domów, grobel, dróg i mostów w należytem porządku, określały skład rady gospodarczej, władzę wójta naczelnego dziedziczną i poddaną kontroli władz wyższych.

Oto jest zbiór zasad, zakończył Skarbek, które służą za podstawę rolniczemu Towarzystwu przez dobroczynność jednego męża zawiązanemu. Oto obraz szczęścia i swobody na wieki kilkadziesiąt familiom zapewnionych, oto jest ten wzór rzadkiej cnoty

i prawdziwie ludzkiej instytucji, który z chlubą obcym do naśladowania podać możemy. Zwracając się zaś bezpośrednio do Staszica, rzekł Skarbek: „Tłómacz uczuć kolegów swoich, chciałem Ci wynurzyć tę wdzięczność i to uwielbienie, którem są dla Ciebie przejęci. Wieniec zasługi, który dzisiaj koledzy moi na tych sędziwych złożyć chcą skroniach, uwity jest z kwiatów, przez Ciebie samego na polu cnoty zebranych. Żadna zawiść, żadna złość ludzka, ani Ci go wydrzeć, ani zwiędnięcia jego zdziałać nie może. A jeżeli kiedy zapuścisz spokojne oko w daleki zawód przyszłości, ujrzysz tam, obok hrubieszowskich pokoleń, przyszłych członków naszego Towarzystwa, na jednym ołtarzu hołd wdzięczności swojej składających.“ Łatwo wyobrazić sobie zapal wzbudzony w słuchaczach i świadkach owej niezwyklej owacyi.

W r. 1824 Lelewel miał odczyt w Towarzystwie, poświęcony historii Rosyi Karamzina, jako mającej powszechniejszy interes, bo wyklada sprawy większego państwa, niż było rzymskie, „państwa osobliwego i nader ciekawego składu.“ Lelewel wytyka Karamzinowi niedokładności w ocenie zalet starożytnych historyków, w sposobie traktowania pojęcia historii, w zawilem nieco poszukiwaniu interesu historycznego. Wbrew twierdzeniu Karamzina, iż czytanie dziejopisów klasycznych przepelnione mowami fikcyjnymi i drobiazgowymi opisami, nadużywa cierpliwości czytelników, staje Lelewel w obronie owych pierwowzorów kunsztu dziejopisarckiego, zaznaczając, że pod piórem pisarzy starożytnych małe nawet widoki stały się wielkimi i nie sama adoracya, z którą najświetniej wystąpili, ale zgłębienie polityki, znajomość ludzi i szczęśliwa kompozycya, Thucydyesa, Sallustjusza, Tacyty i innych historyków, pamiętnymi uczyniła.

Następnie przechodząc do porównania Karamzina z Naruszewiczem, Lelewel oświadcza, że obcy historycy byli synami swego czasu. Jak byt zwątpiały, przerwany, tak wątpiała i przerywała się Naruszewicza praca, która pozostała niewykończoną. Dla Rosyi rozwinęły się właśnie wieki potęgi i chwały, wiek dojrzały owej pory szukający, gdy Karamzin różny los przeszłości swym ziomkom roztacza. W olbrzymim wzroście przypomnienie lat dziecięcych, upłynionych cierpień, obok dawnej, przypominającej sławy, niezachmurzy rosnącego widziadła. Obaj historycy zaczęli dzieła swoje od dziejów najdawniejszych, słowiańskich, jeden od Piastów, drugi od Ruryków. Naruszewicz więcej się zajmuje dziejami książąt, w notach jedynie podając odmiany zwyczajów, praw i stanu mieszkańców. Karamzin obok dziejów książąt rozważa zmiany wewnętrzne we wszystkich względach politycznych

i kultury, postępu moralnego i cywilnego, piśmiennictwa, sztuk i przemysłu. Tym sposobem budzi myśl filozoficzną, co daje mu nie małe pierwszeństwo przed Naruszewiczem. Polski pisarz zwraca uwagę na polityczny stan postronny, zewnętrzny. Rosyjski—przypuszczając, że czytelnicy znają politykę zewnętrzną, samą tylko wewnętrzną rozwija. Historyk rosyjski miał za przewodnika język grecki, przez co pozostał przy swojej harmonii, nabył powłokłości, utrzymał się na drodze łatwego postępu i doskonalenia. Wykład dziejów Naruszewicza ma charakter narodowy i monarchiczny. Ma go, choć z innych względów i wykład Karamzina. Nadawanie charakteru terażniejszego czasu wiekom dawnym, wpływa niepomierne na obrazy przez Karamzina kreślone. Toż samo i uczucie narodowe, które żywym wykład jego pociąga kolorem, toż samo i uczucie religijne prawowierności swego wyznania.

Jeszcze w r. 1823, poruszył Staszic kwestyę odnowienia pomnika na rzecz Unii w r. 1569, przedstawiając podczas bytności cesarza Aleksandra prośbę o odświeżenie dawnego pomnika kamiennego, który tę pamiątkę narodową uwieczniał. Cesarz zgodził się na tę prośbę i zezwolił na wzniesienie pomnika z żelaza. W r. 1825, władze krajowe zwróciły się do Towarzystwa z propozycją podania godeł pamiątkowych, jakieby na obelisku umieścić należało. Podjął się opracowania owego projektu Bentkowski, którego plan poddany był następnie dyskusyi Towarzystwa. Na tenże posiedzeniu, 1825 r., miano odczytać wyjątki z dzieła Gołuchowskiego p. t.: „Dumania nad najwyższymi zagadnieniami człowieka,“ poprzedzone historycznem rozwinięciem głównych zasad filozoficznych od Kanta do najnowszych czasów. Zaprotestował przeciw odczytaniu tych wyjątków na posiedzeniu publicznem ks. biskup Prażmowski, a uczynił uwagę przeciw odczytaniu owego wyjątku na posiedzeniu publicznem, z zasady, iż publiczność nasza nie jest dosyć na wysokiem postawiona stanowisku, aby styl metafizyków niemieckich pojęła i nie zgubiła się w tłumie nadzwyczajnych metafor i porównań. Przyłączył się do opinii biskupa Prażmowskiego umysł tak pozytywny, jak prof. Skrodzki, który również uznał za rzecz nie dosyć przyzwoitą, aby czytano na posiedzeniu publicznem, wśród tylu rzeczy świeckich, pismo, mające cechę religijno-moralną i w którym święte imię Boga tak często jest powtarzanem. Większość członków poszła za zdaniem tych dwóch i odczyt Gołuchowskiego z programu posiedzenia publicznego usunięto. Dotknięty owym wyrokiem Gołu-

chowski, zachował żal do kolegów i dał mu wyraz w liście, który autor poda w odpowiednim miejscu.

W r. 1825, wyjątkowo nie odbyły się wybory nowych członków. Nie było to następstwem braku odpowiednich kandydatów, lecz wynikiło z powodu wewnętrznego rozkładu i pewnego objawu partyjności, który niewiadomo przez kogo i gwoli czemu, wkraść się był do grona mężów poważnych, nauce oddanych i świadomych doniosłych obowiązków, z interesem Towarzystwa skojarzonych. Wogóle ta epoka (r. 1825) do najmniej pomyślnych w rozwoju instytucji danej należy. Czuć pewien zanik energii, brak celu, dorywczość zajęć, mechaniczne spełnianie obowiązków. Pierwszą przyczyną, zdaje się, było, chylenie się potężnego umysłu prezesa Staszica ku starości. Często jego nieobecność na posiedzeniach, odejmuje zebraniom charakter jednolitości. Cała uwaga skupiona jest około reformy w wyborach. Miesiące przechodzą na obmyślanie coraz to nowych formalności w przedstawianiu i obiorze kandydatów. Chęć naśladownictwa Akademii Francuskiej, w sposobie zabiegania o tytuł członka Towarzystwa, nasuwa niektórym osobnikom dziwaczne myśli i projekta. Obawa, by do grona z natury swej konserwatywnego, nie dostał się ktoś niepożądany, naprowadza projektowiczów na błędne ścieżki tajemniczości wyborów, osłaniania ich drobiazgowymi formułkami. Wobec takiego kierunku, dziwić się nie można, że w dotychczasowym rozwoju prac ściśle naukowych nastąpił zastój. Zamiast prac organicznych, na których czele było utworzenie szeregu monografij historycznych, prac około języka i literatury, widzimy jedynie dorywcze rozprawki z dziedziny archeologii i astronomii. Odgłosem tej niezaradności i skierowania umysłów mężów uczonych ku drobiazgom, był memoriał Brodzińskiego, w którym znajdujemy wyjaśnienie zakulisowych działań projektowiczów reform wyborczych i powód, dla którego do wyboru kandydatów w owym czasie nie przystępowano. Brak energicznej ręki Staszica daje się coraz bardziej odczuwać nawet w zewnętrznych objawach działalności Towarzystwa.

W r. 1825 zmarł Staszic. Rządy jego w Towarzystwie trwały bez mała lat dwadzieścia pięć. Albertrandi kierował Towarzystwem lat ośm, Niemcewicz lat sześć jedynie. Za Staszica Towarzystwo Przyjaciół Nauk, z pominięciem dwóch lat ostatnich, dostąpiło największego w dziejach swoich rozwoju i na polu postępu wiedzy pozytywnej znakomicie się wyróżniło. Albertrandi był przeważnie klasykiem i archeologiem, Niemcewicz — literatem-poetą. Staszic był nie tylko myślicielem, statystą i histo-

rykiem, lecz był przeważnie przyrodnikiem, uczniem tych wielkich przyrodznawców, którzy badaniami swemi przełom w naukach przyrodniczych wywołali. Był Staszic przede wszystkim mężem rozległego umysłu i obejmował całokształt wiedzy okiem filozofa, niezasklepionego w ciasnych ramach drobnostkowych badań literackich i filozoficznych. Za jego rządów wydział umiejętności, obejmujący w zakresie prac swoich nauki przyrodnicze, chemię, fizykę, geologię, nauki matematyczne i ekonomię polityczną, do daleko świetniejszych doszedł rezultatów, aniżeli wydział nauk, którego członkowie stosunkowo mało wnieśli do ogólnego dorobku umysłowego narodu. Nie były Staszicowi obce ważne zadania historii, filologii i sztuk pięknych, lecz nierównie wyżej od tych dziedzin stawiał on umiejętności praktyczne, z życiem narodu i jego ekonomicznym rozwojem ściśle zespolone. Takiego przewodnika jak Staszic, Towarzystwo, ani w początkach swego istnienia, ani też w końcu swego bytu, nie знаło. Z ustąpieniem Staszica nowy, znamienne różny od poprzednich, zjawił się kierunek prac Towarzystwa.

Po śmierci Staszica, bezkrólewie trwało dość długo w zarządzie Towarzystwa. Niezabierano się do wyboru nowego prezesa. Przeważnie na tę zwłokę oddziaływała niechęć W. Ks. Konstantego do tej instytucji i do zmarłego jej przedstawiciela. W. Książę nie lubił Staszica, podejrzewając go o szerzenie nienawidzonej przez siebie wolnoomyślności. Nie wpłynął na zmianę stosunku W. Księcia do Towarzystwa reskrypt cesarza Mikołaja I, zapewniający względy panującego tej instytucji. Jedynie życzliwość księżnej Łowickiej dla Niemcewicza łagodziła objawy niechęci W. Ks. Konstantego dla Towarzystwa; mimo to owe często powtarzające się sekatury nie mogły wpływać dodatnio na normalny bieg zajęć naukowych członków Towarzystwa, wywołując apatyę i obawy o przyszłość. W r. 1826 Bentkowski zaproponował ażeby pannę Tańską wybrano na członka Towarzystwa, zaznaczając, że zachęta z naszej strony okazana tak chwalebnyemu usiłowaniu, jakimi są panny Tańskiej i ją samą pokrzepić może nowemi siłami i dla innych zbawiennym stanie się bodźcem. Wniosek Bentkowskiego poparł Skarbek, ale deputacya rozpatrująca wniosek osądziła, że ustawa Towarzystwa nie wspomina nic o tem, iż niewiasty przystęp do niego mieć mogą. Przemilczenia ustaw w tym względzie za przyzwolenie poczytać nie można, nie można bowiem przyjąć tego pravidła, że ustawy pozwalają na wszystko, czego nie zakazują. Zresztą gdyby można było przyjmować uczone kobiety do Towarzystwa, niepodlega wątpliwości, iżby Towa-

rzystwo dawno już było powołało do swego grona inne polki, w ojczyściej literaturze zasłużone. Wyrażono jednak Tańskiej w inny sposób uznanie. Rada administracyjna w nagrodę dotychczasowych zasług i dla zachęcenia jej nadal do chwalebnej wytrwałości w tak pożytecznych pracach, mianowała ją wizytatorką wszystkich szkół i pensyj w stolicy, z płacą 4000 złp. rocznie, oraz za profesorstwo 2000 złp.

W r. 1827, który Skarbek zwie epoką najsmutniejszą Królestwa, przystąpiono do wyboru prezesa Towarzystwa. Został nim Niencewicz. Był on, jak świadczy Skarbek, despotą w Towarzystwie. Nawykły do ciągłych hołdów, zepsuty przez kobiety, jak pieszczone dziecko, wzbudzał powszechnie poważanie i taką uległość, iż co on uchwalił, to było przez wszystkich uchwalone, co on ganił, to było potępione. W ciągu roku 1827 nie zjawiała się żadna donioślejsza praca w Towarzystwie i zaznaczyć tylko należy, że wybrano na członków zagranicznych Szafarzyka, Beniamina Constant'a i księcia Wiaziemskiego. Wogóle praca Kraushara Towarzystwu Przyjaciół Nauk poświęcona, przedstawia się bardzo interesująco. Autor dzieje Towarzystwa rozsnął na tle cywilizacyjnem dziejów Królestwa i tem nadał swej książce donioślejsze znaczenie naukowe. Umiejętnie dobrane ilustracye rzeczywiście zdobią wydawnictwo.

A. R.

KS. ARCYBISKUP TEODOROWICZ. *Z ostatnich doświadczeń.* Uwagi po sztrejkach.

Kwestya ludowa, jak słusznie zauważył ksiądz arcybiskup, jest w naszym społeczeństwie najwyższej wagi, zwłaszcza od chwili, w której lud wystąpił, jako nowy czynnik polityczny i jako uświadomiony przez szkołę czynnik społeczny. Niezwykła doniosłość sprawy ludowej tembardziej się jeszcze potęguje, iż w kraju nawskróś rolniczym, jak Galicya, przy tak nierozwiniętym przemysle i handlu, lud stać się musi prędzej czy później osiłą, około której sprzegają się najżywsze interesy społeczeństwa. Trzeba jednak sobie powiedzieć, iż nie poświęciliśmy tej sprawie tego stopnia uwagi i intensywności pracy, na jaką zasługiwała i jaka w interesie wspólnym była koniecznie wymagana. Społeczeństwo (galicyjskie) musi się do tego przyznać, iż ogólny strejk rolny był dlań zupełną niespodzianką i niespodziewanem zaskoczeniem. Tem samem zaś oddaje sobie świadectwo, iż we wpływie na lud

dało się wyrećzyć innym i w samym rozważaniu sprawy ludowej nie trzymało zupełnie jej pulsu. Trzeba przyznać, iż jakkolwiek dopiero strejków potrzeba było na to, ażeby sprawą tak piekącą umysły rozognić, dziś budzą się u nas nietylko refleksye na całej linii, ale nadto daje się odczuwać wspólność myśli i solidarność w tych warstwach, które dotąd szły luzem.

Wnikając w zajścia ostatnie (galicyjskie) musi się przyjść do przekonania, iż lud strejkujący działał przedewszystkiem pod wpływem czynników socyalnych. Strejk sam w sobie, o ile jest środkiem do rewindykacji słusznych praw, o ile jest w granicach korzystania z własnej, bez naruszania praw cudzej wolności, o ile dąży godziwie do polepszenia własnego bytu, słusznym jest i dozwolonym. Ilekroć jednakże strejki są tylko środkiem i manewrem politycznym, skoro bez względu na słusność i istotną potrzebę, agituje się za strejkami, jako środkiem do oderwania ludu od jednych a przeciągnięcia go pod władzę drugich, skoro w następstwie tej taktyki mniej się uwzględnia istotne ludu potrzeby a bardziej baczy na rozdmuchanie w nim namiętności, pomocnych danej taktyce politycznej, skoro ten lud nie tyle się wiąże przy sobie przez rzecznictwo dla jego zagrożonych interesów, ile raczej więcej przez terroryzm i postrach, lub przez nieprawdziwe obietnice; skoro środki nie liczą się z zasadami prawa i etyki, skoro w tych, którzy odmawiali swej pracy, pojęcia prawne były albo chaotyczne, albo zniwelowane, albo zmieszane z pożądaniami innymi — w takim razie strejk, w takich warunkach dokonany, musi być potępiony i uważany za objaw antyspołeczny. Ostrze takich zaburzeń zwraca się nie przeciw jednej już tylko narodowości, ale wprost przeciw wszystkim, którzy obstają za porządkiem i ładem w społeczeństwie. To, co we wnętrzości ludu wszczepia truciznę pożądań, nie liczących się z prawem, ani z godziwością środków, musi być groźnem i niebezpiecznem dla wszystkich, którzy prawem i moralnością chcą być rządzeni.

Niema dzisiaj dwu zdań, że strejki (w Galicyi) ostatnie są zaburzeniem groźnem, przed którem bronić się należy. Dwa są środki obrony. Pierwszy sposób bardziej zmusza do wnikania w szczegóły indywidualne miejscowości, gdzie strejk wybucha, bardziej jest więc metodą partykularną; drugi zaś, z racyi poszczególnego zdarzenia wypowiada ogólniejsze prawdy i stawia ogólne programy działalności ludowej, bez względu na to, czy strejki w przyszłości będą, czy też nie. Pierwszy sposób przemawia tylko w imię obrony, drugi zaś wykazuje potrzebę obrony dla wyprowadzenia ogólnych prawideł i maksym. Dwie

zasady rządzą dziś zapatrywaniami na kwestyę ludową. Pierwszą zasadą jest jakoby uświęcona tradycja i ma swój wyraz w tem, co nazywamy stosunkiem patryarchalnym do ludu. Druga zasada spłynęła wraz z prądem, który dążył do jaknajszerszej oświaty ludu, i który go darzył prawami obywatelskiemi. Źródłem ożywczem i geniuszem jednej oraz drugiej zasady było serce, była szlachetna miłość ludu. Różnica między nimi tkwiła w samym sposobie działania społecznego. W imię pierwszej zasady wyznaje się, i to z głębokiem przekonaniem, że ludowi należy dobrze czynić, i że w ten lud iść trzeba. To jednak wchodzenie w lud ma swoje granice i kończy się tam, gdzie się rozpoczyna samodzielne myślenie ludu, samodzielna pomoc sobie i samodzielne używanie praw obywatelskich. Druga zasada wychodzi z tego, że pierwszą i konieczną jest rzeczą dać moralne i duchowe podstawy ludowi, uczynić ten lud ludem chrześcijańskim, i to nie z formy, ale z treści i z ducha. Druga zasada uważa wprawdzie pracę za konieczną i za najniezbędniejszą, jednak z drugiej strony uważa także za obowiązek wykształcić w tym ludzie obywatela.

Ci, którzy się rządzą pierwszą zasadą, wychodzą z tego założenia, iż lud jest dzieckiem nieletniem, za które i dla którego wszystko trzeba robić. Jako naturalna konsekwencja takiej zasady, jest robota dla ludu, ale i bez ludu. Nawet w zakresie materialnym nie ma się zaufania do pracy samodzielnej ludu i dlatego darzy się go tem, co pracę jego własną ma zastąpić t. j. jałmużną, objawia się mu miłosierdzie, które jest duchem dotychczasowych naszych działań dla ludu. Z drugą zasadą jest wręcz odmiennie. Ci, którzy ją wyznają, nie twierdzą bynajmniej, iż lud dorósł do wszystkiego, ale wierzą w to, że może dorastać, a wychodzą z założenia, iż powinien dojrzewać. To też ich praca dla ludu, rządzona tą zasadą, nie koniecznie jest większą niż pierwsza, może nawet poniekąd mniejsza, bo ten, co wszystko za drugiego robi, więcej zazwyczaj się spracuje aniżeli ten, co wspólnie z innym działa. Jeśli się zestawi oba te kierunki z chrześcijańską zasadą, to okaże się, iż ta zasada, głosząc miłość dla ludu, bardziej sprzyja temu kierunkowi, który w wychowaniu społecznem uwzględnia nie cząstkę tylko, ale rozwój wszystkich władz duszy i potrzeb ciała, który uszanuje w granicach możliwych to dobro wielkie, jakim jest wolność i działalność osobista. Autor jednak nie sądzi, że dla tego drugiego kierunku należy obalić to, co w pierwszym kierunku działa, jako oddające się i poświęcające miłosierdzie. W obu tych kierunkach rozechodzi się bardziej

o taktykę i metodę. Dziś też należy sobie przedewszystkiem zadać pytanie: czyśmy w pracy nad ludem dobrą mieli metodę?

I u nas metodę patryarchalną trzeba zamienić na tę drugą, nową, jak to stwierdzają eksperymentalnie strejki. Jeżeli lud, w imię metody patryarchalnej trzymany, za pierwszym obcem hasłem i podszczuciem oderwał się od tych, co w imię jej nim rządzą, jeżeli odpadł dziś, to niewątpliwie da się wziąć i jutro — a więc metoda dana nie wystarcza. Ale i drugą naukę mieszczą w sobie strejki. Wykazują one, że nieprzyjaciół wyzyskał w swoim działaniu na lud te właśnie strony, które dotąd były przez naszą pracę nietknięte. Aby zaś zrównoważyć wpływ nieprzyjaciela, nie ma innej rady, jak przerzucić się na to pole, na którem on atakuje i użyć tych środków, które mogą wytrzymać konkurencyę ze środkami, użytymi przez nieprzyjaciela. Na niczem nie zależy bardziej złej agitacyi, jak na odcięciu ludu od reszty zdrowego społeczeństwa, a nigdy agitatorzy tak łatwo terenu nie osiągną, jak gdy zostaną jedynymi jego panami. Aby zaś rozłamu między ludem a resztą społeczeństwa zupełnie dokonać, i aby równocześnie pochlebianiem ludowi słaby i nie rozwinięty jego krytycyzm do reszty usnąć i omylić, najczęściej chwytą się agitacya antagonizmów klasowych. Agitatorzy suggerują ludowi politykę klasową, wysuwając chłopą, jako chłopą w przeciwieństwie do pana. Czyż więc nie jest jednym z najbardziej piekących interesów, ażeby taktykę nieprzyjaciela przejrzeć i w czas ją sparaliżować? Lecz czy naprawdę większy udział ludu w rządzeniu jest malum necessarium?

W Sejmie padły tego roku słowa: „polityka ludowa a narodowa.“ Błędem zasadniczym byłoby odmawiać uzdolnienia w ogólności ludowi do wpływania na politykę narodową. Jeżeli jednak prowadzenie taktyki politycznej wymaga osobnego uzdolnienia, to z tego nie wypływa, aby owo uzdolnienie było jedynym warunkiem zdrowego kierunku politycznego. W ludzie niezaputym są pierwiastki zasadnicze wiary i etyki, związane razem w pewien zmysł zdrowy, bez którego nie może być nigdy żadnej polityki narodowej. Wszystkie pierwiastki kulturalne, pozbawione tego jednego, poświęcają każdej chwili względy na prawdziwy interes narodowy własnemu interesowi, któremu się uśmiecha dana kombinacya. Tego zmysłu nie daje ani wykształcenie, ani kultura, ani znajomość estetyki i smak sztuki. Naodwrot zaś, niezaputny grunt duszy ludu, który tak pomaga prostocie i prawości myśli, i skarbiec prawy wiary, razem się składają na jakąś intuicyę prawd głębokich, społecznych i politycznych. Obecna Francya

daje ilustracyę, że niezawsze polityka narodowa jest tam, gdzie rządzą ludzie, będący reprezentantami kulturalnej części narodu. W słowach chłopów bretońskich widzimy jeden z licznych objawów, że w zdrowej duszy ludowej są zawsze te wytyczne, po których kroczyć musi każda polityka, jeśli się nie chce sprzeniewierzyć temu, cośmy nazwali polityką narodową.

W materyalnym zakresie lud, wchodzący do rządu, wnosi ze sobą to pewne, zdrowe odczucie, ten pewien akcent na potrzeby rolnicze i ekonomiczne. Ile to u nas jest upośledzenia rolniczych spraw w ustawodawstwie. Inaczejby niewątpliwie było, gdyby politycznie reprezentowały ziemiańskie interesa, prócz nielicznej dotychczasowej garstki, zastępy uświadomione ludu. W polityce narodowej czynnik ludowy dopełnia i uzupełnia się tym czynnikiem, jaki w życie polityczne wnoszą warstwy, wykształceniem przewodzące. Więksi właściciele, jeżeli czują że giną, powinni powiedzieć sobie: jeżeli nie chcemy zginąć, to kształćmy lud tak, ażeby on, choć w swojej pozostając sferze, jedno z nami czuł i rozumiał, zstępujemy do ludu nie po to, by w nim, jako w wielkiej masie rozplynać się i siebie zagubić, lecz by nie tracąc siebie, ten lud przyciągnąć ku sobie, byśmy w ten sposób, nie tylko jako reprezentanci garstki, lecz szerokiej i potężnej masy, mogli stać się silni i odrodzeni.

W drugiej części praktycznej swego studyum, autor zaznacza, że doświadczenie, zebrane podczas strejków (w Galicyi), będzie mu jasną pochodnią, wskazującą kierunki dróg. Tę część pracy dzieli autor na trzy działy. W pierwszym zastanawia się nad terenem walki, jaki agitacya wogóle obierała, obiera, czy też w przyszłości sobie obierze. Zobaczymy, oświadcza autor, że terenem tym nie jest miłosierdzie, ale sprawiedliwość. Działalność przez miłosierdzie odpowiada tradycjom naszym przed usamowolnieniem ludu. Dawać z hojnego serca, łechce już miłość własną. Tymczasem obecne strejki wykazały dowodnie, że działalność dla ludu, przez ten jeden pryzmat obejmowana, nie wystarcza. W wielu wsiach, w których czyniono ludowi dużo dobrego, strejki mimo to wybuchały. Agitacya mówi przedewszystkiem do ludu: tyś pokrzywdzony, i tem jednym hasłem zarzuca wędkę, którą przyciąga ku sobie cały lud. Tą drogą socyalizm wypatrzył wszystkie krzywdy, jakie klasie pracującej zadał egoistyczny kapitalizm i tą drogą przemycą wszystkie swoje doktryny.

Co począć, wobec taktyki nieprzyjaciela? Nasamprzód autor pragnie usuwania w stosunku z ludem najdrobniejszych niesprawiedliwości, czy to bezpośrednio mu zadawanych, czy pośrednio

dnio przez plenipotentów, a z drugiej strony sprawiedliwe ocenianie jego osoby, jak i jego pracy. Powtóre, potrzeba dać ludowi jasne pojęcia prawne. O ile więc agitacya dąży do obalamenia przez suggiestyę krzywde nie istniejących, o tyle spotka się z oporem prawnie uświadomionego ludu. Prócz tego, potrzeba bronić lud przed niesprawiedliwością, skądkolwiek ona go dotyka. Niepowołanym obrońcom ludu przeciwnie przeciwstawić należy zastęp tych obrońców, którzy nie szukając siebie i swego, stają się rzecznikami strony obrażonej. Trzeba w ludzie stworzyć to silne poczucie, że się z nim sprawiedliwie obchodzi. Następnie powstaje kwestya słusznego oceniania pracy, z czem się łączy ocenianie czasu i osoby chłopca. Lekceważenie czasu lud łączy w swem przeświadczeniu z lekceważeniem jego osoby, i osobiste traktowanie ludu winno być mierzone nie zapotrzebowaniem go, ale sprawiedliwością. Lud niema pretensyi do tego, by wywyższano nad miarę jego godność osobistą, ale znowu jest niesłychanie wrażliwy na wszelkie uchybienia. Lecz niedość jest samemu bezpośrednio sprawiedliwość okazywać, potrzeba jeszcze przestrzegać tego, by ci, którzy pośredniczą między ludem a chlebobdawcami, jak ekonomowie, rządcy, faktorzy i t. d., nie krzywdzili i nie wyzyskiwali tego ludu moralnie, czy materyalnie.

Lud nie tylko nie chce być krzywdzonym, ale także chce i potrzebuje być obranianym. Obronie sztucznej, mającej za broń nienawiść, potrzeba przeciwstawić obronę spokojną, ale konsekwentną, w granicach sprawiedliwości leżącą. Sekretaryat ludowy, mniej znany u nas, rozpowszechniony zagranicą, niewiele potrzebuje przygotowań. Sekretaryat taki zajmuje się posługami ludowemi, jak np.: pisanie listów, informacje prawnicze, ci sami ludzie mogą się także wywiadywać o chorych, dawać kwitki do lekarza, który podjął się leczyć za zniżoną opłatą i t. p. Jednym słowem, po strejkach, nie tylko w imię samej sprawiedliwości, lecz w imię strategii, dobra organizacya obrony prawnej dla ludu staje się postulatem niezbędnym. Dwór posiada przeciw agitatorom broń zawsze zwycięską. Ową bronią jest sprężenie chaty z dworem tylu ogniwami interesu, że wieśniak od razu obrać może, iż ile razy da się porwać agitacyi, tyle razy traci, i to traci tem więcej, im więcej dobrego doznaje ze strony dworu. Łączność chaty z dworem nawiąże się już przez to, że więksi właściciele i dzierżawcy staną się przez swoją działalność obywatelską w gminie, w radzie powiatowej, wprost duszą wsi i powiatu. Lud nasz przytem umie się poznać na działalności obywatelskiej i ceni ziemian za nią, nawet w ogniskach agitacyi radykalnej.

Wspominając o instytucjach kredytowych, syndykatach rolniczych i t. p., autor kładzie główny nacisk na to, że jakiegokolwiek były owe organizacje i instytucje, to nie dosyć jest je założyć, ale cały interes od tego zależy, by je z ludem wspólnie poprowadzić. Wtedy bowiem, i tylko wtedy sprzęga się lud ciągłym i żywym interesem z temi warstwami, które mu przez pomoc, inicjatywę, oraz znajomość prowadzenia interesu, stają się wciąż na nowo niezbędnymi. W przeciwnym razie, instytucje przez założycieli porzucone, nie tylko odosobnią się od ludu, ale mogą się stać narzędziem do działania przeciw niemu. Wiadomo, że strejki, które powstawały w Galicyi, były następstwem pewnej broszury. Otóż przeciw takim broszurom trzeba użyć tej samej broni, tylko za taką broszurą winni stać mężowie zaufania tego ludu, do którego za pośrednictwem słowa przemawiają. Pieczęcią wszystkich uwag w pracy arcybiskupa Teodorowicza zawartych, ma być ta myśl praktyczna, że do wprowadzenia w czyn programu pracy społecznej, podyktowanego nieubłaganym eksperymentem, potrzeba związku ludzi, jedną przewodnią myślą ożywionych, innemi słowy, potrzeba organizacji. Teraz jeszcze czas na nią, jedynie sposobny czas, ale i bodaj, czy nie ostatni czas.

W studjum arcybiskupa Teodorowicza panuje myśl trzeźwa, z miłości całego społeczeństwa, t. j. wszystkich klas galicyjskich płynąca. Nie spotykamy w tej pracy żadnego ogólnikowego frazesu, żadnego talizmanicznego środka usuwającego strejki i całą kwestję socjalizmu, ale za to spotykamy rozumowanie na doświadczeniu oparte i pragnące za pomocą skombinowania praktyki z teorią wywołać zbliżenie między dworem a chatą i zapobiedz strejkom ludności rolniczej, które kończą się szkodą stronnictw t. j. dworu i chaty. Studium ks. arcybiskupa Teodorowicza jest pełne doniosłości i znaczenia dla polityki socjalnej w Galicyi.

A. R.

J. K. KOCHANOWSKI. *Szkice i drobiazgi historyczne*. 1904.

Zbiór powyższy „Szkiców i drobiazgów historycznych“ jest przedrukiem kilkunastu artykułów pisanych w latach 1897—1903 i zamieszczonych w różnych czasopismach i wydawnictwach warszawskich. Nie weszły doń studia, traktujące swój przedmiot w sposób bardziej wyczerpujący, ale przeważnie utwory lżejsze o charakterze szkicowym. Pierwszy szkic, noszący tytuł „U pro-

gów doby nowożytnej,“ charakteryzuje ową dobę, kiedy idee humanizmu, będące pierwszą pobudką do nowożytnej zmiany pojęć, wyobrażeń i porządku w świecie, przypuściły potężny szturm do bram średniowiecza, zasklepionego w odwiecznej rutynie. Stara Europa kona powoli w oplotach nowego życia. Nim jednak wybiła godzina jego tryumfu, stary porządek panuje niepodzielnie, jeśli nie w istocie, to przynajmniej z imienia. Złoty wiek Zygmunta sprowadził do Polski przemijającą falę prądów nowych, która w XVI w. odbiła się i na Krakowie, darząc jego uniwersytet usiłowaniami reformy Jana Konarskiego i wykładami kilku humanistów. Początek był zrobiony, ale średniowieczny gmach gotycki za Collegium Jagiellonicum miał pozostać i nadal symbolem niższości nauki polskiej. Wyższe sfery społeczeństwa polskiego, mające ciągłą styczność z Zachodem, skore do wolnomysłności, a cieszące się swobodą w życiu prywatnym i publicznym, domagały się reformy szkolnictwa krajowego, widząc jego braki dotkliwe. Reforma ta, do której dorastały zaledwie jednostki, nie tkwiła jednak jeszcze w duchu czasu i nie stanowiła w Polsce naturalnej potrzeby narodu, którego młodszość cywilizacyjna, została go daleko w tyle za Zachodem.

Drugi szkic poświęcił autor „Częstochowie w Historji,“ zaznaczając na początku, że rolę dziejową Częstochowy, a właściwie Jasnej Góry, nazwać można bez obawy wypowiedzenia paradoksu, zwierciadłem, w którym od wieków odbijała się nie tylko religijna i uczuciowa, ale poniekąd i narodowo-kulturalna strona bytu naszego kraju. Rola dziejowa Jasnej Góry pomimo licznych artykułów, opisów i broszur, nie uległa jeszcze poważniejszemu oświeceniu. Nic dziwnego, gdyż nauki niestać jeszcze na to, aby w studyum nad psychicznym rozwojem narodu, ująć mogła w rysy zasadnicze istotę dziejowego znaczenia podobnych wpływów. Podając kilka ciekawych szczegółów z historii Jasnej Góry, autor kończy przypomnieniem, że poczynając od Jagiełły, wszyscy królowie polscy zaznaczali cześć swoją dla Ś-go obrazu zarówno w modlitwach, jak i w monarszych darach. Możni prześcigali się wzajemnie w fundacjach, ofiarach i wotach, które składał tłumnie lud ubogi. Rok jedynie 1661 zaznaczony był zatargiem Jana Kazimierza z Paulinami, którzy, zachowując się biernie wobec walki rokoszan Jerzego Lubomirskiego, stoczonych pod Częstochową z regalistami, narazili się na zajęcie twierdzy Jasnogórskiej przez oddział wojsk królewskich.

Trzeci szkic został poświęcony Firlejom. W pracy tej heraldyczno-historycznej zwrócono uwagę na pochodzenie zachodnie

tej rodziny, wśród której hetmanowi i prymasowi przyznano obszerniejsze biograficzne uwzględnienie. Następny czwarty szkic ma tytuł wyrażony w liczbach: 1364, 1400—1900, i jest on artykułem okolicznościowym z powodu 500-letniego jubileuszu uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor sam, wychowaniec tegoż uniwersytetu, zaczyna pracę od wzruszającego wezwania, jakie zawarł król Kazimierz Wielki w dyplomie erekcyjnym, powołującym w r. 1364 uniwersytet do życia. Wezwanie to brzmi: „Niechaj się stanie umiejętności potężnych perłą, któraby mężów dojrzałych, w cnocie trwających, wszechstronnie przygotowywała. Niechaj będzie źródłem obfitem uczoności, czerpanej przez tych, którzy nauki i jej oznak pragną.“ Jagiellońska „Alma Mater“ kość z kości narodu, nie miała prawa skarżyć się na swych synów, otaczających ją stale miłością i pieczą. Otoczona i teraz miłością powszechną, a zasłużona, dzięki mistrzowi ostatniej doby, odrodzeniem polskiej nauki, dożywa dzisiaj sędziwa a wiecznie młoda wszechnica podniosłej chwili. Z za szeregu pięciu wieków błogosławia jej dzisiaj duchy Kazimierza i Jadwigi.

Następnym w szeregu szkiców jest „JMci Pan Szymon Szczecina i król Władysław Jagiełło.“ Na początku XV w. w gorącej epoce Grunwaldu, wojny głodowej i ciągłych zatargów Polski z Zakonem Krzyżowym, wyróżniał się z grona najruchliwszych a zapewne i najpoważniejszych mieszczan brzeskich, JMé pan Szymon, przewiskiem Szczecina. Spotykamy go po raz pierwszy w gronie mieszczan brzeskich, jako jedną ze stron w procesie. Dłużnikom bowiem nie zwykł był folgować, raz dlatego, że idąc w parze z obyczajem wieku „per fas et nefas“ gorliwe około dóbr doczesnych czynił zabiegi, a powtórę, że będąc chrześcijaninem prawym, lubował się tylko w lichwie „uprawnionej,“ pozostawiając pobór zwykłych a mniejszych procentów—niewiernym Żydom. Przynajmniej się do roli protoplasty rycerskiego rodu, został pan Szymon ziemianinem, co wobec środków, jakie zdobył przemysłem własnym i żony, posiadającej po pierwszym mężu zasoby pieniężne, nie było rzeczą trudną. Dzięki nieznanym bliżej zasługom otrzymał pan Szymon od króla Jagiełły przyrzeczenie nadania szlachectwa. Przez pewien czas nie mógł otrzymać niezbędnego skryptu, aż dotknięty do żywego w ambicyach swoich przez kmiecia Pawła, udał się sam do Jedlni w r. 1419 do króla, skąd przywiózł niezbędny dokument. Ale to królewskie zaświadczenie nie ochroniło go od dotkliwego poniżenia w innym procesie, gdy mu przeciwnik powiedział — nie jesteś tako dobry z czterech szczytów, jako ja (czyli nie jesteś szlachcicem z ojca i mat-

ki i z obu babek, jako ja). I stała się rzecz niestychana, nawet sąd stracił rezon wobec tego zarzutu i uznał się za niekompetentnego. Szlachectwo pana Szczeciny pozostało też nadal problematycznym.

Pierwotna germanizacja Słowian pomorskich w świetle historyografii niemieckiej, którą spotykamy na następnym miejscu, jest przeważnie sprawozdaniem dokładnym i sumiennym z pracy Sommerfelda p. t. „Geschichte der Germanisierung des Herzogthums Pommern oder Slaven, bis zum Ablauf des XIII Jahrhunderts.“ Autorowi znanymi były inne prace niemieckich historyków w zakresie powyższego przedmiotu, a więc sprawozdawca jego praca napisaną została z pewnym zasobem zmysłu krytycznego. We wspomnieniach o Szajnosze, Stosławie Łagunie i Adolfie Pawińskim zawarł autor dużo serdecznego uznania dla tych wybitnych historyków, których zasługa na kartach naszej literatury nigdy nie przeminie.

Następnie spotykamy się z Traktatem Kaliskim, zawartym pomiędzy Polską i Zakonem Krzyżackim, za panowania Kazimierza W-go, dnia 23 lipca 1343 r. Traktat ten zasługuje na miano najpoważniejszego ze wszystkich aktów politycznych, jakie kiedykolwiek Polska Piastowska zawierała z Krzyżakami. Przyszedł on do skutku na błoniach pomiędzy Murzynowem i Inowrocławiem, pod wsią Wierzblinem, a od miejsca rokowań przygotowawczych, przeprowadzonych dnia 8 lipca t. r. w Kaliszu, niewłaściwie zwie się Kaliskim. Traktat powyższy był istotnem i radykalnem zabezpieczeniem Polski od nękających ją tak długo niebezpieczeństw z Zachodu. Nadto dzięki temu właśnie zabezpieczeniu umożliwił on Kazimierzowi W-mu rozwinięcie organizacji wewnętrznej państwa i planów na Wschodzie, t. j. bogatą w plony a wszechstronną działalność.

W szkicu pod tytułem „Kamienieccy“ przedstawił nam autor jeden z rodów zasłużonych krajowi, niegdyś możnowładczych, a później z masą szlachecką zlanych, który zabłysł jak meteor na schyłku naszego średniowiecza w osobie Mikołaja, hetmana w. koronnego i jego braci, aby zniknąć wraz z nimi z szerszej widowni historycznej. Było to zjawisko rzadkie gdzieindziej, a u nas częste, bo typowe. Stwierdzają to dzieje różnych Odrowążów, Rytwiańskich i Zborowskich, Oleśnickich, po części Tarłów, Łosiów i innych. Z pamiątek po hetmanie Kamienieckim i jego braciach, portrety dostały się do Kijowa, tablica pamiątkowa, ufundowana w Ujeździe, w Sandomierskiem, legła w gruzach. W gruzach legł także zamek w Kamieńcu, średniowieczne gnia-

zdo tej rodziny, a Kamieniec przechodził z kolei w różne ręce. Bonarowie, Firleje i Jabłonowscy trzymali się go w wiekach XVI do XVIII najdłużej.

Ostatni szkic przedstawia z czasów Jagiełły „Karmazyna jakich wielu.“ W pobliżu Brześcia Kujawskiego, w parafii Krużyn, leży Smolsko, wieś ludna i starodawna, Smolskiem dziś przewana. Wieś ta składała się w wiekach średnich z posiadłości nietylko szlacheckich, ale i kościelnych, należąc w znacznej części do dóbr Kapituły kujawskiej. O właściwym gospodarstwie rolnem szlachty, a poniekąd i duchowieństwa, nie było wtedy mowy. Naogół, dawny system czynszowy panował jeszcze niepodzielnie, zwłaszcza na Kujawach, gdzie czynsz mógł być wyższy, a sąsiedztwo bliższe z Krzyżakami dawało często sposobność do okazji wojennych. Posiadłości szlacheckie były rozproszone, a szlachcic, nawet możniejszy, rozpraszał swe usiłowania na chwytanie łąnów u kinieci, jakby renty owoczesnej, gdzie się tylko dało. Zrozumieć łatwo, że wśród bliskiego sąsiedztwa ludzi, zgromadzonych na małej przestrzeni, wśród wspólności wielu spraw codziennych, nie mogło w Smolsku dziać się zgodnie. Właśnie w Smolsku ułożyły się tak stosunki, że wśród rzeszy biedniejszych dziedziców znalazło się za Jagiełły troje szlachty zamożnej, u której stóp, jak w cieniu dębów, znaleli wszyscy inni przedstawiciele miejscowego świata. Wśród tej trójcy zaś prawdziwym bohaterem był dygnitarz nie od święta, rzeczywisty karmazyn, kasztelan kruszwicki, Krystyn Feliks Szeliga.

Pan Krystyn kochał się w Smolsku i pomimo, że nie była to jego jedyna posiadłość, że miał już niejaki łąny w późniejszej rezydencji swojej, w Siemnowie, położonym nieopodal, mieszkał stale w Smolsku i z niego się pisał. Biorąc udział w wojnie głodowej z Zakonem, pan Krystyn zapożyczył się u jednego z usłużnych przybyszów niemieckich, od jakich roił się wtedy Brześć Kujawski, i smutny ten fakt starał się pogrzebać w głuchej niepamięci. To go naraziło na przykrą, sądową sprawę, ale pan Krystyn miewał spraw około dwóch tuzinów rocznie i zazwyczaj miewał słusność za sobą. Ostatnia jednak sprawa z Tworzyjanem dojadła mu do żywego, pogardził Smolskiem i osiadł w Siemnowie.

W szkicach Kochanowskiego znajdujemy dwie postacie szlacheckie z czasów Jagiełły: Szczecinę i Krystyna, które rzucają charakterystyczne światło na życie ówczesnej szlachty wiejskiej. Postacie owe zostały odtworzone na tle nawet humorystycznym przy wyzyskaniu obfitem materiału źródłowego, archiwalnego.

We wszystkich zaś szkicach panuje bezpretensjonalność, opowieść łatwa i jasna. A przedewszystkiem wszystkie szkice są owocem poważnej pracy.

A. R.

IGNACEGO DANIŁOWICZA, b. profesora w uniwersytetach: wileńskim, charkowskim i kijowskim, *Kodeks Napoleona* w porównaniu z prawami polskimi i litewskimi. Rozprawa opracowana w roku 1818 na temat zadany przez radę b. uniwersytetu wileńskiego — z autografu znajdującego się w dziale rękopisów Biblioteki Cesarskiej, publicznej w Petersburgu — wydał Aleksander Kraushar. Warszawa, 1905.

Przed wprowadzeniem do kraju prawodawstwa Napoleońskiego — jak objaśnia wydawca — nie było na terytorium Księstwa Warszawskiego żadnych szkół specjalnych prawniczych. Magistratura rządów pruskich posiłkowała się osobistościami obcymi, z prawodawstwem miejscowem zupełnie nieobznajmionymi. Z wprowadzeniem nowego kodeksu francuskiego, utworzono w Warszawie szkołę prawa, która następnie weszła, jako fakultet prawa i administracyi, do założonego w r. 1816 Uniwersytetu Królewskiego. Stojący na czele katedr prawniczych mężowie, zbyt mało posiadali czasu i możności, by w wykładach swoich uwzględniać teoretyczną, naukową przeważnie, stronę przedmiotu i w objaśnianiu i porównaniu zasad dawnego prawa polskiego z nowem prawodawstwem Napoleońskiem, przygotować młodzież do kariery naukowej. Pierwsze też pytanie, które zajęło uwagę wydawcy było: dla czego następstwami wprowadzenia kodeksu Napoleońskiego zajął się nie uniwersytet Królewski warszawski, którego, z natury rzeczy, przedmiot ten, mógł i powinien był obchodzić bliżej, lecz uniwersytet wileński, dla którego statut litewski dawny i prawa miejscowe były obowiązującymi i nie zagrożonemi w ówczesnych okolicznościach żadną zmianą.

Daniłowiczowi, autorowi rozprawy, ubiegającemu się naówczas o katedrę praw polskich na uniwersytecie wileńskim, powierzono temat powyższy, który miał posłużyć do ocenienia zdolności, wiadomości i gorliwości autora, a zarazem wskazać, gdzie ma być nadal do nauki wysłanym i jak w naukowym zawodzie użytym. Nie ulega wątpliwości, że dyskusye nad kodeksem Napoleona, w owym właśnie czasie, przygotowawczo, w kołach spe-

cyalistów, a następnie na sejmowych obradach w Warszawie prowadzone, dały impuls uniwersytetowi wileńskiemu, mającemu na czele księcia wojewodę Adama Czartoryskiego, jako kuratora szkół litewskich, do wybrania takiego właśnie tematu. Czartoryski czytał uważnie rozprawę Daniłowicza i taką jej ocenę krytyczną przesłał w liście do rektora Malewskiego: „Sposób, jakim p. Daniłowicz myśli swe wyraża, bywa czasem niedokładny, tak, iż rozmaicie słowa jego tłómaczyć można i stąd część uwag moich zapewne powstała. Życzyć także wypada, aby autor więcej dawał baczności na ducha ogółu, a w podobnych, jak ta rozprawa, kwestyach, na roztrząsane Kodexa, nie tylko prawnika, ale prawnawcy, moralisty i polityka, starał się patrzeć okiem. Niektóre także błędy autora może są skutkiem wiary w opinię, która przez czas jakiś była u nas powszechną, a którą nazwałoby można, nie tak skutkiem rozważki i doświadczenia, jak raczej uczuciem narodu wdzięcznego. Wreszcie p. Daniłowicz wart zachęcenia i opieki uniwersytetu i zasługuje, aby mu podać sposoby dalszego doskonalenia się.“

Prócz tego książę Adam tekst rozprawy Daniłowicza zaostrzył w uwagi, które wydawca zamieścił wiernie u spodu stronic. Z uwag powyższych dostrzedz łatwo, że Czartoryski nie należał zupełnie do wielbicieli Kodeksu Napoleona, a tembardziej do wielbicieli Napoleońskiego świata. Przesadne czy powierzchowne pochwały kodeksu zaopatruje Czartoryski w trzeźwiące uwagi, starając się zmniejszyć zachwyty autora dla praw francuskich. Nawet dygnitarzom prawniczym napoleońskiego świata nie może książę Adam wybaczyć i np. Cambaceresa obdarza uwłaczającymi i niezbyt sprawiedliwymi epitetami. W każdym razie uwagi księcia Adama są niezmiernie charakterystyczne i z nich wyłania się stanowczy przeciwnik Kodeksu Napoleona, jakiemu równego nie miało Księstwo Warszawskie.

Rozprawa Daniłowicza, traktująca Kodeks Napoleona ze stanowiska historycznego i porównawczego jest w literaturze naszej unikatem. Posiadamy bowiem rozprawy objaśniające przepisy pojedyncze prawa francuskiego, posiadamy nawet Komentarz Wołowskiego, ale traktatu naukowego porównawczo-historycznego dotychczas nie mieliśmy. Rozprawę swoją ukończył Daniłowicz w r. 1812, a więc oceniać ją należy ze stanowiska naukowego owoczesnego, a nie późniejszego. Wszystkie owoczesne sławy naukowe i najwyższe powagi, jak np. Montesquieu i Bentham, były Daniłowiczowi dobrze znane i sumiennie przestudyowane, ale wogóle kryteria jego porównawcze nie były zupełnie wystar-

czające nawet na owe czasy, a znajomość zasad głównych prawodawstwa niemieckiego—powierzchną. Wykład Daniłowicza, jak to zresztą Czartoryski słusznie wykazał, nie odznacza się jasnością i logicznością rozumowania. Panuje w nim zbyt często ogólnik nie wzbudzający zaufania, czego powodem jest niedostateczna erudycja autora. W każdym razie rozprawa Daniłowicza jest dowodem, że i na tem polu nie próżnowaliśmy swego czasu, i dla tego wdzięczni jesteśmy wydawcy, że ją nam w druku uprzystępniał.

A. R.

Kronika miesięczna.

Lud wiejski na arenie politycznej. — Próba charakterystyki chwili obecnej. — Artykuł „pana“ Nałkowskiego w „Młodości.“ — Walka bratobójcza.

Lud wiejski — ten rdzeń i ostoja narodu, dziedzic odwieczny tej ziemi, którą własnymi uprawia rękami i z którą jest zrosnięty wszystkimi włóknami swojej prostej, niezłożonej duszy — nie zabierał dotąd głosu w sprawach politycznych. Kiedy w Warszawie na rozmaitych wiecach radzono nad położeniem kraju i kiedy, jak z rękawa, sypały się daleko idące postulaty i dźwięczne a jaskrawe frazesy — wieś polska milczała. Przedstawiciele jej nie przemawiali publicznie, nie rzucali żadnych hasła. Za to u siebie w domu pracowali, zakasawszy rękawy.

Ale przyszła chwila, kiedy potrzeba było zgromadzić się i wypowiedzieć jasno swoje żądania i zamiary.

I lud uczynił to, zwołując do Warszawy przedstawicieli wszystkich gmin, aby na wspólnym wiecu ustalić program dalszego działania.

Wiec włościański odbył się d. 17 grudnia i urosł do miary wydarzenia historycznego w naszym życiu publicznym.

Pierwszy to raz od czasów Piasta, jak słusznie zauważył pisarz „Gazety Świątecznej“, K. Prószyński, lud obradował nad sprawami kraju, a obradował rozumnie, statecznie, po obywatelsku.

Na mównicy w wielkiej sali Filharmonii stawali włościanie w barwnych strojach krakowskich i w szarych świtkach podlaskich i lubelskich i w zwyczajnych kubrakach, a z ust ich płynęły

słowa, podyktowane szczerem umiłowaniem ziemi ojczystej i głęboką troską o jej przyszłość. Znać było, że to mówili prawdziwi gospodarze tej ziemi, która jest ich ojcowizną i ich ojczyzną. Znać było, że są oni świadomi istotnych potrzeb kraju i doskonale zdają sobie sprawę z tego, jaka różnica zachodzi pomiędzy pracą narodową twórczą, a dezorganizacyjną robotą agitatorów socjalistycznych.

Uczestnicy wiecu wynieśli też naogół wrażenie, że naród, którego najpotężniejszym czynnikiem składowym jest tak po obywatelsku myślący lud, może być spokojny o swoją przyszłość, że żadne burze i kataklizmy rewolucyjne, gdyby nawet nie dało się ich uniknąć, nie zdołają zepchnąć nas z drogi prawidłowego rozwoju kulturalnego, że ład i porządek wyłoni się zawsze z tej ziemi i potrafi stłumić wszelką importowaną zkażyną anarchię.

Rękomię tego dają powzięte przez zjazd włościański uchwały, które dadzą się streścić w następujących 6-iu punktach:

1-o, Zważywszy, że Królestwo Polskie jest krajem odrębnym i że ma odrębne potrzeby społeczne, religijne i narodowe, zkaąd wynika potrzeba odrębnych urzędzeń politycznych; że kraj może być dobrze zagospodarowany tylko wtedy, kiedy ludność nie jest odsunięta od głosu, ale sama w sprawie tej gospodarki postanawia; że władze krajowe mogą umiejętnie i sumiennie rządzić tylko wtedy, gdy wyjdą z łona społeczeństwa i gdy przeto w naszym kraju z Polaków składać się będą; że czterdziestoletnie rządy urzędników rosyjskich przyniosły krajowi nieobliczone szkody; że dzisiejsze władze rosyjskie nie zdolne są nawet do pełnienia swego najpierwszego obowiązku t. j. do zapewnienia mieszkańcom kraju bezpieczeństwa życia i mienia, — zjazd włościan Królestwa Polskiego uchwała:

porządek społeczny i pomyślny rozwój w Królestwie Polskiem możliwe są tylko po gruntownej przebudowie urzędzeń politycznych kraju t. j. po wprowadzeniu w Królestwie Polskiem samorządu narodowego czyli autonomii, która ma polegać na zasadach następujących:

a) wszelkie prawa i przepisy dla kraju stanowi sejm w Warszawie, złożony z przedstawicieli całego kraju, bez wyłączenia jakiegokolwiek stanu, jakiegokolwiek klasy ludności, a więc obrany przez powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie wszystkich ziemi polskiej mieszkańców,

b) rząd krajowy składa się z Polaków, a urzędowym językiem w szkole, w sądzie i urzędzie jest język polski,

c) rząd krajowy jest odpowiedzialny przez sejmem.

2-o. Zanim autonomia zupełna będzie wprowadzona w życie, konieczne jest natychmiastowe wprowadzenie języka polskiego, jako urzędowego we wszystkich szkołach, w sądzie i urzędach cywilnych, oraz powołanie Polaków do cywilnego zarządu krajem.

Konieczne jest również ogłoszenie zasad manifestu z d. 30 października, nie jako obietnicy, ale jako ustawy konstytucyjnej, i zaprzysiężenie tej konstytucyi przez monarchę.

3-o. Gmina wiejska, jako podstawa samorządu, a tem samem całego urzędzenia politycznego kraju, ma swoje wielkie zadania i obowiązki i musi je spełniać każdej chwili, niezależnie od stanowiska rosyjskich władz rządowych.

W chwili obecnej, kiedy w rządzie rosyjskim panuje nieład i władze jego nie pełnią swych czynności, gmina nie może czekać na wezwanie urzędów rosyjskich i oglądać się na ich pomoc, ale musi tem gorliwiej pracować, zaspokajając samodzielnie swoje potrzeby, rozciągając pieczę nad mieszkańcami i strzegąc bezpieczeństwa ich życia i mienia.

4-o. Lud polski stoi na gruncie jedności narodowej, bo w jedności tylko skuteczna będzie praca narodowa i walka o prawa narodowe. W chwili obecnej, kiedy cały naród ma prawa do zdobycia i cały się znajduje w niebezpieczeństwie — zgubę gotują mu ci, którzy podżegają dziś do załatwiania rachunków wewnętrznych drogą przemocy i gwałtu. Przeciw wszelkim takim próbom włościanie polscy występują z całą siłą.

5-o. Zjazd uznaje, że obowiązkiem wszystkich uświadomionych obywateli kraju jest pośredniczenie w nieporozumieniach i sprawach pomiędzy pracownikami a właścicielami folwarków tak, żeby zgodnie i polubownie załatwiane były.

6-o. Lud polski przez usta swych przedstawicieli na zjeździe włościan Królestwa Polskiego stwierdza swoje przywiązanie do wiary świętej katolickiej, do swojej Ojczyzny Polskiej i chce budować przyszłość kraju na zasadach *narodowych i religijnych*, przekazanych nam przez ojców naszych.

Oto czego lud pragnie i do czego dąży. Jestto program trzeźwy, nie łudzący nikogo obietnicami zdobyczy nieosiągalnych, ale stojący twardo przy tem, co jest istotnie dla rozwoju kraju niezbędne.

Lud polski chce autonomii, chce ładu i porządku polskiego, przy którego pomocy mogłyby zacząć budowanie tych rzeczy, które czterdziestoletnie rządy dotychczasowe bądź zburzyły doszczętnie, bądź uszkodziły i wypaczyły, bądź też do których budowania nie dopuściły wcale. Całe nasze gospodarstwo narodowe wymaga ol-

brzymiego nakładu sił i pracy do tego, aby je podnieść na ten poziom, na jakim w normalnych warunkach byłoby się już oddawna znajdowało — i stan włościański zdaje się rozumieć dokładnie ciężar tych obowiązków, które w tej pracy na jego spadną barki. Rozumie on, że nie czas jest na spory, waśnie i porachunki międzyklasowe teraz, kiedy wszyscy powinni wziąć za młot i kielnię i stanąć do zgodnej, łącznej, ożywionej duchem jedności i miłości pracy twórczej. Rozumie dalej, że przyszłość narodu nietylko zależy od wyniku prądów dążących do reformy stosunków w państwie rosyjskim, ale, i to przede wszystkim, od tego, co naród sam sobie zdobędzie i od tego, jak się sam w nowych warunkach życia urządzi. Rozumie jeszcze i to, że anarchia wewnętrzna, rozprzegająca porządek społeczny, nie jest bronią, skierowaną tylko przeciw rządowi, ale jednocześnie drugim ostrzem swoim rani ona, i to rani bardzo głęboko i boleśnie, własne społeczeństwo.

Będąc konserwatywnym z natury, lud ten nie chwyta na ślepo hasła rewolucyjnych, które mu podsuwa usłużna agitacja, ale sądzi je surowo i odrzuca od siebie, jako nie odpowiednie, wysuwa natomiast naprzód swoje interesy i interesów tych zamierza bronić.

To poczucie i zrozumienie własnego interesu dowodzi, że włościanstwo polskie dojrzało zupełnie do tej roli politycznej, jaką rozwój dziejowy przeznaczył dla niego w chwili dzisiejszej i w najbliższej przyszłości. Roli tej nie odpycha ono od siebie, przeciwnie, idzie na jej spotkanie śmiało i z tem przekonaniem głębokim że nikt inny wyręczyć go w tem nie może — i rolę tę niewątpliwie odegra ku ogólnemu pożytkowi kraju, spełniając swoją misję polityczną bez emfazy, bez krzykliwego wychwalania się, bez przypisywania sobie zasług po nad miarę, ale z zupełną i głęboką świadomością, że spłaca dług swój ojczyźnie, która dla chłopca polskiego nie zawsze może być dobrą i pieściotliwą matką, ale zawsze była macierzą, której się należy bezwzględna miłość i dla której poświęcać się w pracy jest rzeczą słodką.

Tego wszystkiego dowiódł i w tem przekonaniu utwierdził nas pierwszy Zjazd włościan Królestwa Polskiego, włościan uobywatelonych i po obywatelsku czujących, włościan, którzy stają razem z innymi warstwami narodu do wspólnej pracy nad przyszłością i szczęściem kraju.

*

*

*

Charakterystyka chwili obecnej w Królestwie nie jest rzeczą łatwą, bo w stosunku do zjawisk, których jesteśmy świadkami, brak nam koniecznej do sądu obiektywnej perspektywy. Wskutek tego jedne rzeczy wydają się nam zbyt wielkimi, inne zbyt małymi. W miarę odsuwania się w przeszłość, wypadki nabierają dopiero charakteru wyraźnego i mogą służyć za podstawę do wniosków. Na razie przedstawiają się nam one chaotycznie.

Wskutek tego o jakiejś wyczerpującej charakterystyce chwili, mowy być nie może. Natomiast możliwe są i pożądane próby takiej charakterystyki — i te publicystyka powinna podejmować jak najczęściej.

Niestety, dotąd w tym kierunku nie posiadamy prawie żadnej pracy. Pierwszą z nich, jeżeli się nie mylimy, jest broszura p. Parvusa p. t. „Chwila obecna w Królestwie“ — broszura ze wszech miar ciekawa.

Pod pseudonimem tym ukrył się wytrawny publicysta, który, z jednej strony zdając sobie dokładnie sprawę z tego, jak trudne podejmuje zadanie, z drugiej — nie wahał się spełnić swój obowiązek publicystyczny, bez względu na to, że z góry wiedział, iż praca jego pewne braki posiadać musi, jak każda praca, która ma do czynienia z ruchliwą i zmienną falą życia, a nie z zastygłymi już i podatnymi do badań faktami historycznymi.

P. Parvus postępował też oględnie i wtrzymywał się od sądów i wniosków tam, gdzie to uczynić należało. I dla tego próba, na jaką się pokusił, wypadła pomyślnie.

Charakteryzując na wstępie rządy rosyjskie w Polsce, p. Parvus zaznacza, że odejmowały nam one po kolei wszystko — najpierw prawa obywatelskie, później prawa narodowe, a wreszcie prawa ludzkie.

Rząd postawił sobie za cel przeszkadzać naszemu rozwojowi ekonomicznemu, skrzywić nasz rozwój socyalny, zniszczyć rozwój umysłowy i rozstroić społeczeństwo pod względem moralnym.

Skutki tej działalności były bardzo poważne i wszystkim są dobrze znane.

Mamy w kraju 70% analfabetów. Mamy ludność włościańską w znacznej części nieoświeconą i biedną. Rosną karłowate gospodarstwa rolne, które obniżają poziom kultury chłopskiej i grożą przyszłości naszego rolnictwa. Klasy robotnicze fabryczne mnożą się liczebnie, ale nie postępują cywilizacyjnie, przeciwnie — cofają się. Obniżył się niezmiernie poziom umysłowy kraju, obniżyła się w nim kultura zewnętrzna, szybko postępuje wstecz ogólna moralność. Bandy rabusiów i złodziejów grasują po kraju.

W miastach zorganizowały się i ustaliły zamachy na mienie, a nawet na życie mieszkańców.

Ideale obywatelskie konkretne nie mają żadnego kursu. Klasom mniej oświeconym brak drogowskazu, co czynić i dokąd dążyć. Klasy oświecone rozbite, nie zdolne do porozumienia się w inną czynną akcję społeczną. Rosną tylko liczebnie i niesłychanie podnoszą się w podnieceniu zastępy „niezadowolonych.“ Niezadowolenie to jest najpotężniejszym hasłem, łączącym wszystkie klasy i grupy społeczne, ono też dyktuje nakaz walki ze złem, choć nie dyktuje ani jej metody, ani najbliższego celu.

Takie jest położenie ogólne. Badając szczegóły p. Parvus zastanawia się dość szeroko nad działalnością dwóch najsilniejszych w chwili obecnej partij — demokratyczno-narodowej i socjalistycznej.

O tej ostatniej mówi, że straciła ona obecnie panowanie nad szeregami swoich zwolenników. Dziś — rządzi ulica. Awanturnicy, nieuki, młokosi i szumowiny społeczne kierują w tej chwili ruchem socjalistycznym i narzucają społeczeństwu taktykę działania. Przyłączają się do ruchu tego w znacznej masie żydzi, zwłaszcza rosyjscy, którym leży na sercu rozwój swobód ogólnych, ale nie interes narodowy i którzy dla tego nie obawiliby się nawet okupacji Królestwa przez Prusaków. Nadto znaczne środki finansowe czerpią nasze organizacje socjalistyczne z Niemiec, których partya społeczno-demokratyczna pragnie za wszelką cenę podsycić ruch proletaryatu. W ten sposób ster wypadków wysunął się zupełnie z rąk socjalistów, pragnących urzeczywistnić swe ideały na gruncie Polski i jak się rzekło — kieruje niemi ulica, kierują żydzi, kierują wreszcie socjaliści rosyjscy i socjalna demokracja niemiecka.

To kierownictwo doprowadziło już do tego, że w kraju jest głód i chłód i tysiące ludzi nie myśli o niczem więcej, tylko o obronie przed śmiercią z nędzy. Zdenerwowanie ogarnęło słabszych, a więc opuściła ich przytomność i jasny sąd o rzeczach najważniejszych, dotyczących przyszłości narodowej. Niektórzy wzdychają do jakiego takiego już tylko „dawnego“ porządku. „Co nam tam — mówią — Polska lepsza i sprawiedliwsza, kiedy teraz bieda, niepokój i nawet niepewność życia. Many okrzyki „precz z Polską“ i „precz z orłem białym.“ Mamy motłoch rozpetany i zdiczały, nie wiadomo z kim pragnący walki: z rządem, czy z własnym społeczeństwem i jakie pragnący załatwiać rachunki: polityczne, socjalne, czy poprostu osobiste.

Tak wygląda „chwila obecna.“ Obraz jej ponury, ale zgodny z rzeczywistością, rozwinął przed nami w broszurze swojej p. Parvus.

Ale z tego zamętu, pomimo wszystko, wyłania się przecież świadoma myśl polityczna, świadome dążenie całego narodu, wszystkich jego warstw, partyj i stronnictw.

I autor broszury nie przeocza tego, aczkolwiek zachowuje się na tym terenie z wielką ostrożnością.

Oto — zdaniem jego — położenie jest takie: całe społeczeństwo polskie żąda autonomii kraju, ale rząd nie chce jej dać. Nie chce dać nawet tymczasowych ustępstw w zakresie szkolnictwa i administracji. Zresztą powierza ostateczną decyzję woli narodu rosyjskiego, wyrażonej przez usta Izby parlamentarnej.

Cóż więc teraz czynić? Czekać na decyzję narodu rosyjskiego? Mieć zaufanie, że światła opinia rosyjska zrozumie interes państwowy i interes liberalizmu, tkwiący w sprawie polskiej?

Zastanawiając się nad temi pytaniami, które są obecnie na ustach wszystkich, radzi p. Parvus pamiętać o kilku rzeczach.

Najpierw o tem, że rząd biurokratyczny jeszcze istnieje i że on może się jeszcze dłuższy czas opierać naporowi sił wolnościowych. Jeżeli na taką perspektywę będziemy przygotowani, to zrozumiemy, że wszystko, co daje powód do rządów militarynych, mniejsza o to, że tylko powód formalny, sprzyja rządowi a nam szkodzi. Pod naciskiem praw wyjątkowych wprowadzie ani wrzenie nie ustaje, ani niezadowolenie nie cichnie, lecz za to przerywa się poniekąd praca organizacyjna i konstrukcyjna. Staje narodowa maszyna polityczna, co powoduje straty niepowetowane.

Druga perspektywa jest taka. W Rosji waleczą dwie siły: zdeorganizowana — absolutyzm, druga jeszcze nie zorganizowana — lud. Zwyciężyć może jedna albo druga, albo wreszcie narazie — żadna. Mocowanie może trwać lat kilka. Co z tego wyniknie na chwilę współczesną? Anarchia — najstraszniejszy stan, w jakim społeczeństwo nowoczesne może się znaleźć.

Mając to na widoku, żywioty narodowe, które są w olbrzymiej większości w społeczeństwie, *powinny się skupić, zorganizować, wypowiedzieć stanowczą walkę objawom zamętu i anarchii*, zużywając na to wszystkie zasoby energii, zapалу, zdolności i tradycji, jakie naród posiada.

„Jesteśmy w przededniu nowej ery, obiecującej odrodzenie i rozkwit — kończy p. Parvus — i losy nasze naprawdę spoczywają tylko w naszych rękach.“

Te ostatnie wyrazy warte są zapamiętania. Gdyby w społeczeństwie naszym istotnie była głęboka świadomość tego, że wyj-

ście z ciężkiej sytuacji zależy od nas samych — to nie mielibyśmy już u siebie ani komendy obcej, ani strejków, któremi dysponują i do których wzywają naszych robotników Komitety petersburskie, ani tych przykrych objawów, jakie towarzyszyły ostatniemu bezrobociu. Mielibyśmy natomiast liczne zastępy obywateli, stających do pracy twórczej i nie przerywających tej pracy, ani odkładających ją do „czasów lepszych.“

Widzieliśmy wyżej, że takie właśnie stanowisko wobec chwili bieżącej zajął zjazd włościański i to powinno nas napełnić otuchą na przyszłość najbliższą, mimo ponurych zgrzytów, wydobywających się jeszcze z łona partyj socjalistycznych.

*

*

*

Zdawałoby się, że każde społeczeństwo dumne jest z ludzi, którzy siłą swojego geniuszu stanęli wysoko, że ta sława, która stała się ich udziałem, nie powinna nikogo drażnić, przeciwnie, dla każdego powinna być czystą i podniosłą radością.

I bywa tak istotnie. Ale zdarza się również, że tam, gdzie cześć powszechna otacza jednostkę, nagle podnosi głowę pospolita mierność i kierując się uczuciem niskiej zawiści, stara się obrzucić błotem to, co inni szanują.

Zdarza się to, niestety, najczęściej u nas. Nigdzie bowiem niema tylu ochotników do obniżania zasługi ludzkiej, jak w społeczeństwie naszym, w społeczeństwie, które wcale niema do zbyt-ku ludzi zasłużonych i wyrastających po nad miarę przeciętną. Ale niech taki człowiek się zjawi, niech tylko zabłyśnie talentem, niech tylko działalnością swoją przysporzy blasku i chwały narodowi, wnet z rozmaitych ciemnych kątów wypęłza jadowita intryga i zaczyna prowadzić przeciw niemu kampanię.

Oto opinia powszechna mówi, że ten lub ów jest wybitnym malarzem, że dzieła jego zyskały sobie rozgłos i uznanie w całej Europie, że sława jego jest dobrze zasłużoną. Wszędzie tylko nie u nas. Bo u nas zaraz odezwą się głosy, że to „mydlarz,“ że to miernota, że to bazgracz, nie mający pojęcia o prawdziwej sztuce. I tak na każdym kroku. Kto inny, dzięki pracy i wysiłkowi, zdobywa duży majątek. I temu również intryga potrafi odebrać dobre imię. Wnet powiedzą o nim, że to nie rozum, praca i wysi-

łek woli, ale spryt i geszefciarstwo, ale wyzysk, i nieprzebieranie w interesach doprowadziły go do fortuny.

To samo spotka każdego, kto wyrósł ponad swoje otoczenie. Ślepa zawiść rzuci się wówczas na niego z całą zaciekłością i będzie go kłóła swoim żądłem — mniejsza z tem czy boleśnie — ale to pewna, że nie zostawi na nim jednego miejsca, wolnego od ukąszeń.

Jestto bardzo znamienny i bardzo smutny objaw naszego życia i dla tego godzi się, aby każdy wypadek tego rodzaju był właściwie napiętnowany.

A wypadek taki zdarzył się świeżo właśnie.

Niedawno ukazał się w Warszawie nowy tygodnik p. t. *Młodość*. W szeregu zamieszczonych tam artykułów, zwrócił na siebie powszechną uwagę artykuł p. W. Nałkowskiego (młodzieńca z górą pięćdziesięcioletniego), wymierzony przeciw Henrykowi Sienkiewiczowi, a tak niepospolicie jadowity w swej treści i taką tchnący zawiścią, że gdyby słowa te nie były wydrukowane czarno na białem, trudno byłoby uwierzyć, że są one rzeczywistością.

P. Nałkowskiemu oddawna już nie podobał się Sienkiewicz.

Nie podobało mu się przede wszystkim to, że autor trylogii był szczerym i prawym artystą, że nie służył żadnej doktrynie, żadnej partii, głoszącej jaskrawe frazesy, ale że służył tylko Polsce i tylko sztuce polskiej. Nie podobało mu się następnie, że naród tę służbę zrozumiał i ocenił właściwie, że nietylko był dumnym z pisarza, którego imię powtarzał z uwielbieniem świat cały, ale że czci i wdzięczności swojej dał wyraz realny.

Nie podobało się wreszcie p. Nałkowskiemu, że Sienkiewicz otrzymał nagrodę Nobla.

To, zdaje się, było ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. I p. Nałkowski nie mógł już wytrzymać dłużej. Nienawiść bluznęła z niego całym potokiem, na karty pisma, którego sama intytulacya wskazuje, że powinno ono służyć czemu innemu.

Rzecz naturalna, nie będziemy tu powtarzali wszystkich wycieczek p. Nałkowskiego przeciw Sienkiewiczowi.

Nie myślimy go także bronić, bo pisarz tej miary obrony nie potrzebuje, a gdyby nawet potrzebował, to przeciw pociskom panów Nałkowskich *e tutti quanti* najskuteczniej obroniłby go właśnie ten proletaryat, którego rzecznikiem mieni się być autor omawianego artykułu. Wśród tego proletaryatu bowiem Sienkiewicz miał i ma po wsiach, miastach i miasteczkach całej Polski liczną rzeszę czytelników, ma nawet takich, którzy sami *nie umieją* czytać, a którzy książki jego *znają* z głośnego czytania dzieci lub

sąsiadów. Wśród nich, tak samo jak wśród wszystkich sfer naszego społeczeństwa, trylogia spełniła swoją misję ideową — obudziła ducha narodowego, obudziła *duszę polską* z odrętwienia, w które popadła po klęskach 63-go roku, wykrzesła z niej iskry głębokich i świętych ukochań, nawiązała przeszłość do teraźniejszości. Tam niech p. Nałkowski pójdzie, a znajdzie bardzo wymowną odpowiedź na swój artykuł, tam też nazwą po imieniu całe jego wystąpienie.

Tutaj, wstrzymując się od tego, nie możemy jednak nie wyrazić smutnego zdziwienia redakcyi nowopowstałego tygodnika, założonego i wydawanego przez młodzież.

Jakto? więc młodzież polska tak daleko już odbiegła od wzorów filareckich, że przestała odróżniać fałsz od prawdy, marne pobudki od szlachetnych porywów, warcholstwo od cnoty obywatelskiej?

Przyznajemy otwarcie, że oczekiwaliśmy zgoła czego innego. Czytając zapowiedź nowego pisma, byliśmy głęboko przeświadczeni o tem, że będzie ono służyło interesom i sprawom młodzieży, że na łamach jego młodzież powie nam jasno, szczerze i otwarcie, co myśli, czego pragnie, jak czuje, dokąd dąży, że w ten sposób pomiędzy nią a nami nastąpi bliższe porozumienie się.

Zawiedliśmy się. Młodzież milczała i milczy. Natomiast przemawiają na jej łamach ludzie, którzy już dawno stracili prawo do nazwy „młodych.“ Ale i z tem ostatecznie zgodzićby się można, byle wśród tych przemówień nie było przepojonych jadem napaści w rodzaju elukubracji p. t. „Proletaryat a twórcy.“

Napaści te społeczeństwo oceni właściwie — to rzecz pewna, ale cień, który od nich pada na *młodzież polską* — wyrządza tej młodzieży krzywdę w opinii publicznej i źle jest, jeżeli młodzież tego nie rozumie.

*

*

*

W początkach stycznia zaszedł w Warszawie wypadek znamienny.

Do mieszkania jednego z robotników warsztatów kolei Wiedeńskiej zgłosiło się w porze obiadowej trzech ludzi uzbrojonych w rewolwery. W chwilę potem właściciel mieszkania leżał już nieżywy.

Dzienniki doniosły o tem, jako o zbrodni, dokonanej na tle walki przekonaniowej. Zabity miał należeć do partyi demokratyczno-narodowej, zabójcy podobno byli socyalistami.

Jeżeli tak jest istotnie, a za prawdą takiego przedstawienia rzeczy zdają się przemawiać wszystkie okoliczności, w jakich dokonano zabójstwa, to stoimy wobec faktu, który poważnie każe się zastanowić nad kierunkiem naszego ruchu robotniczego.

Propaganda socyalistyczna zaczęła się u nas przed laty blisko 30. Niedziw, że doktryna ta w środowiskach fabrycznych umiała sobie dość szybko zjednać gorących zwolenników. To co działo się w całej Europie zachodniej, musiało powstać i u nas.

Odrazu jednak, od samego początku ruch socyalistyczny u nas odbywał się nieco inaczej. Wpływały na to przedewszystkiem warunki polityczne.

Gdzieindziej organizowano robotników, pracowano nad ich kulturalnem podniesieniem, nad ich oświatą i polepszeniem warunków pracy, prowadząc jednocześnie robotę polityczną.

U nas — socyalizm kryć się musiał pod ziemią i dla tego, a może w części przez fanatyzm jednostronny swoich przewodników, nie zgoła nie uczynił w kierunku kulturalnym, wyteżając wszystkie swoje siły na pracę polityczną.

Na czerwonym sztandarze jego zwolenników nigdy nie było słów miłości, a jeżeli były kiedykolwiek — to nie były szczere. Broń, którą walczone — to była broń najbardziej destrukcyjna, najbardziej niszcząca moralne pokłady duszy ludzkiej — broń, której na imię *Nienawiść*.

Agitatorowie na zebraniach i w broszurach tajnych uczyli socyalistów-robotników przedewszystkiem *nienawidzieć*. A więc tłómaczone im, że trzeba nienawidzieć kapitał, jako źródło ucisku, burżuazyę, jako przedstawicielkę kapitału, rząd, jako obrońcę burżuazji i t. d.

Cały ten łańcuch nienawiści, złożonej z pojedynczych ogniw, tak w końcu oplótl duszę polskiego robotnika, że zwolna zaczęły w niej głuchnąć najszlachetniejsze uczucia. Wiara ginęła, miłość ojczyzny przestawała być ideą zasadniczą.

Na tak przygotowany grunt padły ziarna wzmoczonej agitacji rewolucyjnej, która rozpoczęła się już podczas wojny rosyjsko-japońskiej, a w ciągu roku ubiegłego przybrała charakter groźny nie już dla rządu, ale dla społeczeństwa, któremu starano się narzucić dyktaturę proletaryatu.

Próby tego, co robotnikom mówiono, zachęcając ich do walki, znajdujemy w licznych proklamacyach naszych partyj wywro-

towych, rozsypywanych po kraju w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, tudzież w efemerycznej prasie rewolucyjnej, której świstki kolportowano w ostatnich czasach po ulicach Warszawy.

„Proletaryusz,“ „Socjaldemokrata,“ „Trybuna Ludowa,“ „Naprzód“ etc. miały jeden ton wspólny — ton nienawiści przeciw wszystkiemu, co nie jest socjalistyczne.

W tej dobie na sztandarze socjalistycznym wypisano już wyraźnie słowa: „Kto nie z nami, ten przeciw nam“ i w myśl tego działano. Ze szczególną zaciekłością rzuciła się prasa socjalistyczna na wszystkie hasła narodowe, starając się je zołhydzić w oczach swoich wyznawców.

Patryotyzmu nie wybaczone nawet stronnictwu postępowo-demokratycznemu, które starało się być ogniwem pośrednim pomiędzy obozem narodowym a socjalistycznym, z wyraźną jednak sympatją dla tego ostatniego.

To wszystko jednak było niczem w porównaniu z wycieczkami, jakie socjaliści urządzali stale przeciw narodowcom. Wszystko skupiło się tu na demokracji narodowej, jako na stronnictwie najdalej posuniętem w akcji społecznej, przeciwdziałającej jednolitemu i wyłącznemu panowaniu socjalistów. Zwłaszcza od chwili, kiedy demokracja narodowa zaczęła organizować robotników i znalazła wśród nich, jak się okazało, grunt podatny do pracy — walka przybrała charakter groźny. Tu dopiero puszczono w ruch hodowany przez tak długie lata pierwiastek ślepej nienawiści.

Uczono więc nienawidzić narodowców całą siłą duszy i wołano na cały głos: „Śmierć demokratom narodowym!“

Groźbę tę słyszeliśmy niejednokrotnie, ale w warstwach kulturalnych społeczeństwa sądzono, że jest to raczej okrzyk podnieconego tłumu, niż zapowiedź czynów walki bratobójczej,

Stało się jednak inaczej. Wypadek, opisany przez nas powyżej, stwierdził, że ziarno nienawiści, tak szczodłą sianę ręką, wydało owoce.

Krew niewinna została przelana. Spada ona całkowicie na tych, którzy oddawna już przekroczyli granicę w pracy nad „uświadomieniem“ robotnika polskiego.

Tu już została spełniona zbrodnia, tem gorsza od zbrodni pospolitej, że dokonana pod płaszczem idei, która szczyli się tem, że głosi światu sprawiedliwość.

Ta idea przez tę zbrodnię została pohańbiona.

Mordercami są nie ci, którzy broń bratobójczą podnieśli, ale ci podszechuwacze, którzy do użycia tej broni zachęcali, którzy bu-

dzili fanatyzm i doprowadzili proste umysły do zupełnego omroczenia. Mordercami są kierownicy ruchu.

Powiedzieli oni robotnikowi polskiemu, że jest „bojownikiem wolności,” ale wytłómaczyli mu tę wolność tak fałszywie, iż on zrozumiał, ją jako *samowolę*.

Nie powiedzieli mu, że wolność obywatela kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innych obywateli, że w imię wolności nie można terroryzować ludzi odmiennych przekonań, że wolność, która nie uznaje wolności innych, staje się niewolą, że zbrodnią jest zabić brata za to, że myśli i czuje inaczej.

Nauczyli go tylko nienawidzić.

I oto stoimy wobec ogromnego pytania. Jak się rozwinie ruch społeczny u nas, jeżeli głównym jego motorem będzie i nadal nienawiść? Czy nie stanie się on raczej ruchem antyspołecznym, antykulturalnym, prowadzącym całe masy ludu polskiego do barbarzyńskiego zdziczenia, do zwyrodnienia duchowego, do moralnego upadku?

I na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź — to zapewnienie społeczeństwu takich swobód politycznych, przy których stosunki jego ekonomiczne kształtowałyby się ewolucyjnie w kierunku coraz bardziej humanitarnym.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Na posiedzeniu Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności — odbytem 20 listopada r. z. pod przewodnictwem dr. Fr. Zolla—Czł. St. *Smolka* przedstawił rozprawę p. t.: „Sprawa Litwy i ziem zabranych w grudniu 1830,“ stanowiącą część wielkiej pracy, poświęconej ministrowi Lubeckiemu i dziejom powstania listopadowego, której pojedyncze rozdziały drukują się w bieżącym roczniku Biblioteki Warszawskiej. W niniejszej rozprawie autor roztrząsa instrukcję rządu tymczasowego, daną deputacyi, wysłanej do cesarza Mikołaja 10 grudnia 1830 r. Jak wiadomo do deputacyi tej powołani zostali minister Lubecki i hr. J. Jezierski. Z brulionu instrukcyi, znalezionej w papierach po Lubeckim, okazuje się, że instrukcja zawierała dwa punkty, dotyczące Litwy i ziem zabranych. Żądano w nich: 1) rozszerzenia, w myśl traktatów z r. 1815, konstytucyi Królestwa na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę; 2) zwołania z terminem 1 maja 1831 Sejmu Walnego, do któregoiby powołano nie tylko posłów i deputowanych z Królestwa Polskiego, ale także posłów i deputowanych powyżej wymienionych prowincyj, połączonych z Królestwem Polskiem. Autor roztrząsa powody, które skłoniły Lubeckiego, skądinąd znanego ze swojej trzeźwości politycznej, do wysnuwania tak daleko idących projektów i wyjaśnia drogi, jakimi Lubecki do zamierzonego w ten sposób celu chciał dążyć.

Na temże posiedzeniu sekretarz wydziału przedstawił pracę p. *M. Roztworowskiego* p. t. „Prawno-polityczna strona budżetów Królestwa Kongresowego 1815—1830.“ W pracy tej autor wykazuje smutny fakt w dziejach konstytucyjnego życia naszego kraju w XIX w., gdzie w sprawach budżetu prawo konstytucyjne stało się tylko martwą literą. Bo chociaż oba przewidzia-

ne przez prawodawcę systemu powstawania budżetów znacznie ograniczały Koronę, to przecież rządy ówczesne potrafiły opacznie tłómaczyć brzmienie Art. 162 i doprowadziły do tworzenia budżetów wyłącznie biurokratycznych, zatwierdzanych na przedstawienie Rady Administracyjnej.

Do biuletynów swoich Akademia Umiejętności zaczęła dodawać, tłómaczone na język niemiecki, streszczenia z artykułów pomieszczanych w wydawanym w Warszawie *Przeglądzie Historycznym*, a to w celu zapoznania obcych uczonych z tem nowem wydawnictwem.

N O W E K S I A Ź K I.

KSIĄŻKI O DUMIE PAŃSTWOWEJ. Na czele ich wymienić należy *Stefana Godlewskiego* „Prawa Konstytucyjne z r. 1905,“ Warszawa, 1906, str. 183, 8-o. Tom ten jest d. c. Zbioru Praw Królestwa Polskiego (dodatek do X tomu). Wydawnictwo to jest cenniejsze od innych, bo pomieszcza obok polskiego tłómaczenia manifestów oryginalne ich brzmienie rosyjskie, łatwo więc na każdym miejscu sprawdzić można tłómaczenie z tekstem oryginalnym, co jest ważne dla czytelnika. Tom zawiera wszystkie akty prawodawcze, dotyczące Dumy Państwowej, poczynawszy od manifestu 6 sierpnia 1905 r. o utworzeniu Dumy Państwowej, a kończąc na wydanych 2 grudnia 1905 r. przepisach tymczasowych co do karalności udziału w bezrobociach w przedsiębiorstwach, mających znaczenie publiczne lub państwowe. Zawiera także przepisy tymczasowe o wydawnictwach peryodycznych. Razem księga zawiera 11 manifestów, i ukazów mających związek bezpośredni lub pośredni z projektowaną Dumą. W wydawnictwie tem żadnych objaśnień nie podano.

CHABIELSKIEGO IGNACEGO. Ustawy o wyborach do Izby Państwowej. Warszawa 1906, Geb. i Wolff, 8-o, str. 78. Autor stara się wyjaśnić przystępnie dla szerszego ogółu akta prawodawcze, dotyczące Dumy Państwowej. W tym celu we wstępie podaje wyszczególnienie wszystkich ukazów Najwyższych, dotyczących powołania Izby Państwowej i wyborów. W pierwszej części odpowiada na pytania zasadnicze, kto ma prawo przyjmować udział w wyborach, w drugiej części przytacza w przekładzie polskim wszystkie ukazy i przepisy, dotyczące bezpośrednio wyborów do Dumy Państwowej. Po za tem załącza wykaz liczby posłów i wyborców w miast i powiatów Królestwa Polskiego, oraz z dziewięciu sąsiednich gubernij zachodnich.

Zwracając uwagę na dodatnią stronę niniejszej broszury ze względu na objaśnienia poczynione przez autora, jako też systematyczny układ dziełka — zaznaczyć należy, że tłómaczenia ukazów na język polski grzeszą w wielu

miejscach niedokładności; broszurka więc, aczkolwiek dla ogółu wielce pożyteczna, za źródło naukowe i prawne służyć nie może.

BORKOWSKI MAREK. O udziale mieszkańców Królestwa Polskiego w wyborach do Sejmu Państwowego. Wykład popularny, z dołączeniem wszystkich ustaw, przepisów i instrukcyj Sejmu i wyborów dotyczących. Warszawa 1906, 8-o, str. 46 i 71.

Ta książka, zarówno jak poprzednia, przeznaczoną jest do zapoznania szerokich warstw z nowo wydanymi przepisami. Autor zaznacza we wstępie, że według przepisów wybory są u nas: ograniczone, pośrednie, tajne i równe, wyjaśnia te właściwości i rozpatruje prawa wyborcze w następujących rozdziałach: I. kto ma prawo uczestniczenia w wyborach; II. kto z osób posiadających wymagany przez prawo cenzus, jest wyłączony od udziału w wyborach; III. jak się odbywają wybory elektorów (tak autor nazywa wyborców, którzy mają prawo wyboru posła do Dumy); IV. o wyborach posłów przez elektorów. W drugiej części swojej broszury pomieszcza akty prawodawcze w polskiem tłumaczeniu, oraz tablice ilości posłów.

KTO U NAS MA PRAWO WYBORCZE i jak należy tych praw dopilnować? Wskazówki praktyczne opracowane przez Grono Adwokatów Warszawskich. Warszawa, w drukarni Noskowskiego, 1906. 8-o, str. 24.

Tytuł dokładnie określa treść. Broszurka napisana zwięźle i jasno. Autorowie we wstępie nawołują do natychmiastowego zgłaszania swych praw, które przez opóźnienie przepaść mogą. Dla dobitniejszego przedstawienia rzeczy powołują się na przysłowie: „Kijem tego, kto nie pilnuje swego.”

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

BIBLIOTEKA DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH. Warszawa, pod red. ks. Zygmunta Chelmieckiego. Zeszyt 57 i 58, Wrzesień i Październik, 1905, 8-o, str. XXVII i 350 IV oraz i 129 — 160. Na czele książki pomieszczono obszerną biografię kardynała Józefa Hergenröther'a pióra ks. *Jana Gajkowskiego*, z portretem kardynała. Na drugim miejscu „Dokończenie historii kościelnej“ przez ks. *Antoniego Rewerę*, prof. Seminarium Sandomierskiego. Praca ta obejmuje pontyfikat Leona XIII i ma za zadanie jedynie tylko kronikarskie zestawienie szczegółów, dotyczących dziejów kościoła ostatnich lat, o których nie czas jeszcze wyprowadzać wnioski syntetyczne. Następuje potem chronologia do całego dzieła ks. Rewery, spis papieży, patriarchów, oraz drobny indeks osób i rzeczy. Zakończają tom Notatki Bibliograficzne za Wrzesień i Październik, zawierające liczne recenzje najnowszych publikacji związków mających z naukami teologicznymi.

HOMILETYKA, pismo miesięczne poświęcone kaznodziejstwu i życiu duchownemu pod kierunkiem lit. ks. *Maryjana Nassalskiego* Mag. Teol. Grudzień 1905.

W odezwie „od Redakcyi“ czytamy: „Rok ósmy dobiega do końca, jak prowadzimy wydawnictwo nasze. Czytelnicy nasi rozumieli nasze intencje, ducha naszego pisma..., nawiązała się więc łączność duchowa wspólnej pracy. W ostatniej dobie warunki społeczne wielce się zmieniły. Stanęliśmy do walki z socjalizmem jawnym, nieprzyjacielem Boga, kościoła i ojczyzny. Nieprzyjaciele nasi występują ku nam z bronią ziemską—my z orężem słowa Bożego. Oni z nienawiścią, a my z miłością. Te warunki określają działalność naszą—redakcyjną. Gdy dom nasz płomień obejmuje, beczynnim stać nam nie wolno.“ Następnie zaznaczywszy konieczność gruntownego poznania życia społecznego i rodzących się z czasem potrzeb, Homiletyka w niniejszym zeszycie zamieszcza następujące rozprawy:

1) „Ideal pracy społecznej na gruncie katolickim“ tu autor przedstawia, czem jest praca społeczna w ogólnem znaczeniu, jakie jej zadanie i jaka praca naród uszczęśliwić może.

2) „Ekonomia Społeczna“ rozbiera w dalszym ciągu genezę socyalnej niemocy: fałszywe pojęcia społeczeństwa, pracy i własności.

3) „Doniosłe zagadnienia społeczne czasów obecnych“, biskupa mogunckiego *Wilhelma Emanuela Kettelera*, najwybitniejszego i najpierwszego przedstawiciela ruchu katolicko-społecznego. Pierwsza konferencya ma tytuł: Pojęcie chrześcijańskie o prawach własności. Praca ta tem więcej zajmuje czytelnika, iż autor w 1848 roku poruszał kwestye, które są teraz na dobie.

4) „Kilka myśli o ubóstwie kapłańskiem“ przez *ks. Lemiesza*; ciąg dalszy rozpoczętej pracy. Wreszeie wypełniają zeszyt: Administrowanie Sakramentów ŚŚ. dzieciom ciężko chorym; Głos przestrogi pasterskiej—odezwa *ks. Biskupa Stanisława Zdzitowieckiego* do wiernych dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej; kazania na pięć niedziel po Trzech Królach, na uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej i t. d. Nadto redakcyja „Homiletyki“ zapowiada na rok przyszły, obok dalszego ciągu prac rozpoczętych, artykuły: o Misyach, Kongregacyach dekanalnych, Kazania pasyjne na temat bieżących kwestyj i t. d. Kazania *XX: Kajsiewicza, Jełowickiego* i innych.

MIESIĘCZNIK TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ, pismo poświęcone sprawom oświaty pozaszkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego. Kraków 1905. Zeszyt grudniowy zawiera: *Jana Świerka*: „Rej wobec ludu“ (autor wykazuje potrzebę wydania wyboru pism Reja dla najszerzych mas). „Zakładajmy szkółki początkowe.“ *Jadwiga S.* „Nasze czytelnio ludowe,“ „O Macierzy Szkolnej Królestwa Polskiego.“ *Ed. Dobrzańskiego* „Projekt taniego domu dla szkółek ludowych w Król. Pol.“ *Dr. M. Stępowickiego*: „Praca oświatowa u obcych.“ *Maryja Bandrowska*: „Tematy do pogadanek. Mikołaj Rej z Nagłowic. Kronika. Dział sprawozdawczy Zarządu Tow. Szkoły Ludowej i Przegląd Krytyczny Literatury.“

PORADNIK JĘZYKOWY. Miesięcznik poświęcony poprawności języka, wydawany pod redakcyą *Romana Zawilińskiego*. Tarnów, Grudzień 1905. Zeszyt ten poświęcono pamięci Reja, na karcie tytułowej dano wizerunek jego i napis: Temu, który pierwszy udowodnił, „Że Polacy nie gęsi, że swój język mają“ w 400 rocznicę urodzin. Zeszyt zawiera *I. Zawilińskiego*: Ze skarb-

nicy Rejowej kilka uwag językoznawczych. II. Zapytania i odpowiedzi. III. Rozmaitości. W końcu spis wyrazów i zwrotów objaśnionych lub wspomnianych w roczniku V, oraz treść tego rocznika. W odezwie od redakcji wyczytujemy obietnicę, że w I-ym zeszytacie 1906 r. podany będzie przebieg obrad i uchwały zjazdu Rejowskiego w sprawie ujednostajnienia pisowni polskiej. Jest to niemożliwe, bo zjazd do Maja jest odłożony, a do tego czasu 4 zeszyty Poradnika ukazać się winny.

PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany pod redakcją J. K. Kochanowskiego przy udziale komitetu, do którego należą: Ign. Chrzanowski, S. Dickstein, Al. Jabłonowski, St. Kętrzyński, Al. Kraushar, Fr. Pułaski, Wł. Smoleński, W. Sobieski, Warszawa 1905. Zeszyt 3-ci. Zawiera dokończenia prac rozpoczętych w pierwszych dwu zeszytach. Znajdujemy tu ostatnie rozdziały studyum p. *Władysława Konopczyńskiego* o Genezie „Liberum Veto.“ Dokończenie rozprawy *Antoniego Prohaski* „Dwie Koronacje“ (Daniela i Mendoga), koniec pracy *Aleksandra Kraushara* p. t. Księgarze Warszawscy i spory ich z introligatorami. Dokończenie studyum *St. Kujota* o najnowszych pracach W. Kętrzyńskiego o biskupie Chrystyianie i o Krzyżakach. Wreszcie artykuł *St. Zakrzewskiego* p. t. „Nad Wieprzem i Bugiem w wieku XI i XII.“

Narodziny tego miesięcznika poświęconego przeszłości naszego kraju wypadły w porę niezbyt odpowiednią. Społeczeństwo zapatrzone w przyszłość, rozgorączkowane wypadkami chwili, niema czasu zajmowania się przeszłością, nie zwraca tak pilnej jak zawsze uwagi na rozwój nauk... A jednak zaniedbać tej placówki nie sposób. Już jeżeli nie przez wzgląd na przeszłość, na jej umiłowanie, to przez wzgląd na kulturę polską i na rozwój naszej nauki popierać należy to wydawnictwo. *Noblesse oblige.*

Żeśmy dotąd nie mieli tu, w Warszawie organu poświęconego dziejom ojczystym, to nie w tem dziwnego. Stała zawsze na przeszkodzie cenzura prewencyjna dla artykułów historycznych tak nieublagana. Dziś, gdy ta przeszkoda jest prawie usunięta, mamy możliwość rozwijania na tutejszym gruncie nauk historycznych i krzewienia ich u szerszych mas. Niech więc nie pozostaną jałowemi usiłowania komitetu Redakcyjnego Przeglądu, niech społeczeństwo go popiera. Wierzyć należy, że on będzie nie tylko przeglądany, ale starannie czytany.

PRZEGLĄD SĄDOWY I ADMINISTRACYJNY, Lwów, pod red. dr. Ernesta Tilla ze stałym spółdziałaniem prof. Uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego, oraz prawników zawodów praktycznych. Zeszyt styczniowy 1906. Treść:

Z dziedziny materialnego prawa konkursowego. Napisał dr. *Ernest Till*. O przejęciu długu. Trzy odczyty. Ułożył dr. *Stanisław Dniestrzański*. Sprawozdanie z VII. międzynarodowego kongresu w sprawach ustawodawstwa karnego i więzień, odbytego w Budapeszcie w dniach 3 do 9 września 1905. Odczyt dr. *Józefa Serkonowskiego*. Zapiski literackie.

PRZEGLĄD UNIWERSALNY. Kraków, Grudzień 1905 r. Zeszyt XII. Treść:

1) Ks. *J. Pawelski*. Wiec katolików Austrii. 2) *Józef Popowski*. Położenie świata na początku XX w. 3) Ks. *L. Lipke*. Z ruchu chrześcijańsko-spo-

lecznego w Poznańskim. 4) Ks. *Stanisław Kobyłecki*. Postulaty psychologii doświadczalnej. 5) Dr. *Władysław Czerkawski*. Udział Polaków w wojnie rosyjsko-japońskiej. 6) Ks. *Wiktor Wiecki*. Między Słowianami: Z podróży po Bułgarii. 7) Przegląd piśmiennictwa polskiego. 8) Przegląd piśmiennictw obcych. 9) Zapiski bibliograficzne. 10) Ks. *Jan Pawełski*. Sprawy Kościoła: Sprawa młodzieży na ostatniej sesji sejmiku galicyjskiego. Powszechne prawo głosowania. Sytuacja w dzielnicy pod rządem rosyjskim. 11) Dr. *A. Krzyżanowski*. Kronika ekonomiczna: Wydział krajowy, a parcelacja. Spółki oszczędności i pożyczek. Drożyzna mięsa. 12) Ks. *Jan Urban*. Z ruchu w Cerkwi rosyjskiej. 13) Ks. dr. *Wł. Chotkowski*. Odpowiedź autora.

Najbardziej dla nas interesującym jest artykuł dr. Czerkawskiego, gdzie autor na podstawie urzędowych zestawień bada liczebność Polaków, którzy brali udział w wojnie japońsko-rosyjskiej i wylicza ilość zabitych i rannych. Z wyczeń tych, opartych na niezupełnie ścisłych wiadomościach urzędowych, gdzie nie zawsze narodowość wojskowych jest oznaczoną — określić dokładnie ilości poległych Polaków nie sposób; w przybliżeniu jednak da się to przeprowadzić i jak się zdaje ze znaczną dozą prawdopodobieństwa. Na podstawie rachunku p. Czerkawskiego, okazuje się, że mylnem było przypuszczenie, tak ogólnie powtarzane, jakoby procent Polaków powołanych do szeregów był bardzo znaczny — w stosunku do ilości Rosyan, jakoby dochodzący niejednokrotnie do połowy. Mylnem było przypuszczenie, że rząd rosyjski chciał prowadzić wojnę przedewszystkiem siłami podbitych narodów. Dane statystyczne do innych doprowadzają wniosków. Ogółem straty trzech prowincyj byłej Rzeczypospolitej (Królestwo, Litwa, Ruś) wynoszą 9521 ludzi zabitych, rannych lub wziętych do niewoli. Licząc procentowo ludność tych krajów straciła 3,26 na każde z 10,000 mieszkańców, gdy w głębi Rosyi procent ten dochodzi do 5,22.

PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI wychodzący przy Gazecie Lwowskiej, w zeszycie grudniowym 1905 r. zamieszcza: Listy Zygmunta Krasieńskiego do Pani Joanny Bobrowej. Z autografów wydał i przypisami objaśnił *Leopold Méyet*. O Morskie Oko. Wywód praw polskich przed sądem polubownym w Hradcu, napisał dr. *Oswald Balzer*. Pamiętnik *Napoleona Sierawskiego*, oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego. Z dziejów konfederacji barskiej. Teki Teodora Wessla, podskarbiego w kor. (1769—1772), uapisał *Kazimierz Pułaski*. Turzonowie w Polsce i ich stosunki z Fuggerami, napisał *Jan Ptaśnik*. O Misyjonarzach w Wilnie, napisał *Wołyński*. Trzynaście dni na wodach Grecyi, przełożył i opisał *Dezydery Ostrowski*.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

CHWAŁA MARYI. Album jubileuszowy na pięćdziesięcioletnią pamiątkę ogłoszenia dogmatu przez Papieża Piusa IX o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny 1854—1904. Kompozycya i rysunek Adryana Głębockiego. Tekst objaśniający zebrał ks. C. Sokołowski. Warszawa, 1906. Nakł. i włas. T. Głębockiego. Folio duże, str. 15.

NIETZSCHE FRYDERYK. Dytyramby dionyzyjskie, przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa, 1906. Nakł. J. Mortkowicz. Skł. gł. w ks. G. Centnerszvera i Sp. 8-o, str. 40.

TARCZA WIARY. Porównanie wyznań rzymsko-katolickiego, ewangelicko-augsburskiego, braci czeskich, anglikanów, baptystów i herrnhutów z wyznaniem ewangelicko-reformowanym z dodaniem wiadomości o księgach symbolicznych. Ułożone dla członków kościoła Polskiego Ewangelicko-Reformowanego. W 400-ną rocznicę urodzin Mikołaja Reja z Nagłowic. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. M. Mietkiego. 8-o, str. 66.

HISTORIA.

AMIRA ALEKSANDRO. Storia del soggiorno di Carlo XII in Turchia scritta dal suo primo interprete ... e pubblicata da N. Jorga. Bucarest, stabilimento grafico I. V. Socecu, Gubryn. i Schmidt we Lwowie, 1905. Pełno szczegółów i aktów do historii Rzeczypospolitej Polskiej z roku 1710. 8-o, stron 98.

GŁOGER ZYGMUNT. Czy lud polski jeszcze śpiewa? Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. Gebeth. i Wolffa. 8-o, str. 24.

KAREJEW M. prof. Podręcznik historii nowożytnej z mapami historycznymi. Przekład z ostatniego wydania oryginału, dokonany z upoważnienia autora. Przez ... Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbrandów i S-ów. 8-o, str. 168.

KORZON TADEUSZ. Historia wieków średnich wyłożona sposobem elementarnym. Przez ... Z dołączeniem 4 map kolorowych, 61 rysunków i tablic genealogicznych. Wyd. trzecie poprawione. Warszawa, 1905. Nakł. Gebeth. i Wolffa. 8-o, str. XII i 474 i V i II.

KUCHARSKI WŁADYSŁAW. Sanok i sanocka ziemia w dobie Piastów i Jagiellonów. Monografia historyczna. Lwów, 1905. Gubryn. i Schmidt. 8-o, str. 118.

OSTEN L. Józef Chłopicki, luźne wspomnienia towarzyszków broni generała. Odbitka z „Kuryera Poznańskiego.“ Poznań, 1903. Nakł. autora. L. Leitgeber i Sp. 8-o, str. 38.

PODLASIAK P. J. K. Martyrologium czyli męczeństwo Unii na Podlasiu. Z wiarogodnych i autentycznych źródeł zebrał i napisał ... Kraków, 1905. D. E. Friedlein. 8-o, str. 375.

POTKAŃSKI KAROL. O pochodzeniu wsi polskiej. Lwów, 1905. 8-o, stron 48.

WAWRZENIECKI MARYAN. Ucieszne teatrum albo sprawiedliwe niektórych niewiast karanie u Warszawy. Opisał i przypisami opatrzył ... Warszawa, 1906. Nakł. J. Fiszera. 8-o, str. 23.

WIERZBICKI JAROSŁ. Trzy główne życiorysy św. Wojciecha. (Sprawozdanie dyrekcji c. k. gimnazjum w Złoczowie za rok szkolny 1905). Złoczów, 1905. Nakł. fund. nauk. 8-o, str. 72.

W ROCZNICĘ PIĘCIESETNĄ... założenia klasztoru Bożego Ciała na Kazmierzu w Krakowie (1405—1905). Szkic dziejów opactwa XX. Kanoników regularnych lateraneńskich. Kraków, 1905. Nakł. XX. Kanoników reg. lat., Spół. wyd. polska. 8-o, str. 120 z 9 ryc.

A R C H E O L O G I A.

BOŁSUNOWSKI K. Minusińsk, jako centrum epoki bronzu. Odb. z „Wiadomości numizm.-archeolog.“ Kraków, 1905. Nakładem Tow. 8-o, str. 4 i 1 tabl. z ryc.

DEMETRYKIEWICZ WŁODZIMIERZ DR. Wykopalisko z Kęblin i ślady rzymskiej „terra sigillata“ w Królestwie Polskiem. Odbitka z „Wiadomości numizm.-archeol.“ Kraków, 1905. Nakładem Towarzystwa. 4-o, str. 18 i 2 tabl. z ryc.

HADACZEK KAROL DR. Złote skarby michałowskie, wydanie i nakład imienia Dzieduszyckich we Lwowie. Kraków, 1904. 4-o, str. 30, 2 ryc. w teks. i 23 tablice w heliograwirurze.

P R A W O.

HUBE ROMUALD. Pisma poprzedzone zarysem biograficzno-krytycznym. Przez Karola Dumina. Tom II. Nakł. M. Areta. Wyd. im. Andrychiewicza. 8-a duża, str. 576.

JUSZKIEWICZ P. O prawie wyborczem. Przetłumaczył z rosyjskiego Józef Szuster. Warszawa, 1906. Nakład J. Fiszera. 8-o, str. 81.

KONSTYTUCYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ. Warszawa, 1905. Skł. gł. w Ks. Powsz. 8-o, str. 24.

REFORMY PAŃSTWOWE W ROSYI. Zbiór najwyższych ukazów, manifestów, rozporządzeń i ustaw. (Wydanie nieurzędowe). Warszawa, 1906. Jan Fiszer. 8-o, str. 84.

REEVES WILLIAM PEMBER. Prawo wyborcze kobiet w Australii. Spółszczył M. Z. Warszawa, 1905. Skład główny w Księgarni Powszechnej. 8-o, stron 87.

HISTORIA LITERATURY.

ANTONIEWICZ WŁADYSŁAW LEON. Dzieje krośnieńskiej szkoły ludowej 1786 do 1906. Część urzędowa. Sprawozdanie klasyfikacyjne sześcioklasowej szkoły męskiej w Krośnie za rok szk. 1905. Krosno, 1905. Nakł. fund. szkol. 8-o, str. 30.

GALLE HENRYK. Wypisy polskie z dziejów literatury do użytku szkolnego. Warszawa, 1906. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 413.

KARBOWIAK ANTONI. Studya statystyczne z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego 1433/4—1509/10. Odb. z „Arch. dla hist. lit. i ośw.“ T. XII. Kraków, 1905. 8-o, str. 82.

LACHS JAN DR. Lekarze krakowskiej kapituły katedralnej. Odbitka z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 48.

STUDNICKI WŁ. Polityka Rosyi względem szkolnictwa zaboru rosyjskiego. Kraków, 1905. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 260.

STUZIŃSKI CYRYL DR. Ze studyów nad literaturą polemiczną. Odb. z Rozpraw wydziału filologicznego. T. XVII. Akad. Umiej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 30.

NAUKI ŚCISŁE.

BYKOWSKI JULJUSZ JAXA. Podręcznik mechaniki technologii. Część 2. Technologia włókna dla użytku szkół technicznych i przemysłowych. „Bibl. politechn.“ Tom XVI. Lwów, 1906. Nakł. komisji wydawn. „Bibl. polit.“, Szkoła Politechniczna, Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, stron VI, 304, z 210 drzeworytami w tekście i 4 tabl.

FRANKE MARYAN DR. O wpływie naświetlania promieniami Roentgena na przebieg białaczki. Odbitka z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 20 i 3 tabl.

KORCZYŃSKI ANTONI DR. Podręcznik chemii nieorganicznej dla klasy V szkół realnych. Kraków, 1905. Nakład autora, S. A. Krzyżanowski. 8-o, str. 197 z 40 ryc. i 1 tabl. spektralną.

POŻARYSKI M. Zasadnicze pojęcia i teorye współczesnej nauki o elektromagnetyzmie. Przez ... Odb. z „Przełg. Techn.“ Nr. 1905. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 8-o, str. 68.

NAUKI SPOŁECZNE I PRAWNO POLITYCZNE.

ALSTONE LEONARD PROF. Zarys społecznych konstytucyj. Wstęp do nauki o państwie. Przekład ... Warszawa, 1905. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 70.

ENGELS FRYDERYK. Rozwój socjalizmu od utopii do nauki. Przez ... Z czwartego uzupełnionego wydania niemieckiego, przetłómaczył A. Warski. Redaktor i Wydawca St. Kucharski. Warszawa, 1905. „Bibl. Naukowa.“ 8-o, stron 95.

JELLINEK JERZY DR. Deklaracya praw człowieka i obywatela. Przełożyła z drugiego uzupełnionego wydania Zofia Libkind-Lubodziecka. Warszawa, 1905. Skł. gł. w Księg. Powszechniej. 8-o, str. 96.

CARO LEOPOLD DR. Studya społeczne. Kraków, 1906, ks. S. A. Krzyżanowski. Nakład i druk „Czasu“. 8-o, str. nl. 2, 404.

KONIC HENRYK. Samorząd gminny w Królestwie Polskiem w porównaniu z innymi krajami europejskimi. Przez ... Wydanie drugie przejrzone i uzupełnione. Warszawa, 1906. Nakładem księg. E. Wende i Sp. 8-a duża, stron 298.

LAFARGUE P. Kwestya kobieca. Z francuskiego tłómaczył J. Maciejewski. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 32.

LEWIŃSKI JAN ST. Samorząd miejski w Londynie. Warszawa, 1905. Wyd. St. Kucharskiego. 8-o, str. 152 i IV.

LIMANOWSKI BOLESŁAW DR. Rozwój przekonau demokratycznych w narodzie polskim. Wykłady. Wyższe studya wakacyjne w Zakopanem. Kraków, 1905. Sp. Nakł. „Książka.“ 8-o, str. 39.

LUTOSŁAWSKI MARYAN. Zasady przedstawicielstwa i prawo wyboreze. Warszawa, 1905. Wyd. „Gońca Wiecz. i Porannego.“ Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 8-o, str. 15.

MARKS KAROL. Praca najemna i kapitał. Warszawa, 1905. „Biblioteka Ekonomiczno-Polityczna“ № 2. Nakładem Księgarni Popularnej. Kop. 15. 8-o, str. 40.

ROŻKOW N. A. O formach przedstawicielstwa ludowego, spolszczył J. Krasny. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni T. Paprockiego. 8-o, stron 21.

TENŻE. O formach przedstawicielstwa narodowego. Przełożył K. Kuszel. Warszawa, 1905. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 30.

ZMOWA POWSZECHNA PRZECIW RZĄDOWI. Warszawa, 1905. Nakł. Ludowego Koła Oświaty. 8-o, str. 31.

ZWIEZDICZ. Ustrój państwowy i stronnictwa polityczne w Europie Zachodniej, t. I. Austria. Opracował ... Przekład z rosyjskiego A. Krasnowolskiego. Warszawa, 1905. „Biblioteka Naukowa.“ 8-o, str. 176.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

DENKER JERZY: Pieśń miłości, poezye. Księg. D. E. Friedleina. 8-o, str. 141.

KOSZUTSKI W.: Nasze prababki, szkic historyczno-obyczajowy. (Książki dla wszystkich № 241). Warszawa, 1905. 12-o, str. 96.

KOZMIAN STANISŁAW: Podróże i polityka. Paryż podczas wystawy. — Z Włoch do Aten. — Konstantynopol.—Sofia i Belgrad. Kraków, 1905. Nakł. i druk. „Czasu“. Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 227.

OSTATNIE DNI POMPEI. Powieść historyczna z I wieku po Chrystusie. Poznań, 1905. Nakł. i druk. Fr. Chocieszyńskiego. 8-o, str. 125.

PUFFKE z KUROWSKICH E.: Miłość braterska, powieść historyczna z XV w. Poznań, 1905. Nakł. i druk. Fr. Ciecieszyńskiego. 8-o, str. 114.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Na fali. Powieść współczesna. Warszawa, 1905. „Bibl. dzieł wyb.“ № 401, 402. 8-o, t. I str. 152, t. II str. 120.

SIENKIEWICZ: Vizözön. Budapest, Rákosi Jenő Budapesti Hirlap Ujsá-gwállalata, 1905. 8-o, str. 820.

STAFF LEOPOLD: Sny o pętdze. Wyd. 2. Lwów, 1905. Nakł. B. Polonickiego, E. Wende i S-ka w Warszawie. 8-o, str. 142.

ŚWIEŻAWSKI LEON: Otchłań Polska. Romans narodowy. Lwów, 1906. Księg. Narodowa. 8-o, str. 630.

(ZAPOLSKA G.) MASKOFF JÓZEF: Pan poliemaister Tagiejew. Szósty ty-siąc. Powieść współczesna. T. I—II. Lwów, 1905. Nakł. „Wieku Narodowe-go.“ Księg. Polska. Ilustrował Marceli Harasimowicz. 8-o, str. 285 i 2 nl. + 336 i 2 nl.

M E D Y C Y N A.

BECK A.: O działaniu promieni radu na nerwy obwodowe. Odb. z „Rozpr. wydz. mat. przyr.“ Tom XLV, ser. B. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiejęt. 8-o, str. 12.

F. LEVILLAIN DR.: Hygiena ludzi nerwowych. (Książki dla wszystkich №№ 231, 232, 233, 234). Warszawa, 1905. 12-o. Część I, budowa i czynność układu nerwowego, str. 60 + 2. Cz. II, układ nerwowy i jego choroby, str. 63. Cz. III, przyczyny chorób nerwowych, str. 101 + 1. Cz. IV, układ nerwów, str. 120 + 2.

PILTZ JAN DR.: Stanowisko psychiatry w rządzie innych nauk lekarskich, oraz nowoczesne jej zadania i cele. Odb. z „Przełg. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 30.

